

CZY DOBRO – TAK JAK W BAŚNI – POKONA ZŁO?

KRÓLOWA SNIEGU

A black and white illustration of a snowy forest. In the center, a person is walking away from the viewer. The trees are dark and bare, with snow on the ground and branches. In the foreground, there is a large, dark red bloodstain on the snow.

Wyjątkowo długa i mroźna zima, małe miasteczko pod Gdańskiem
i morderca, który zbiera krwawe żniwo.

ANNA KLEJZEROWICZ

FILIA

KRÓLOWA ŚNIEGU

ANNA KLEJZEROWICZ

FILIA

Dedykuje

Mojemu kochanemu

Braciszкови oraz wszystkim

miłośnikom baśni.

Wszystkie wydarzenia i postaci występujące w tej powieści są fikcyjne, podobnie jak miasteczko oraz gmina, w których grają swoją rolę.

Cytaty pod poszczególnymi częściami powieści pochodzą z książki:
Hans Christian Andersen, *Baśnie*.
Tłumaczyli: Stefania Beylin, Jarosław Iwaszkiewicz.

*Postuchajcie! Zaczynamy. Kiedy bajka się skończy,
będziemy wiedzieli więcej, niż wiemy teraz, bo to był zły
czarownik! Jeden z najgorszych, sam diabeł.*

PROLOG

Styczeń, -24°C. Godz. 23.07

Panujące dookoła ciemności, spotęgowane dodatkowo przez las, rozpraszał wyłącznie śnieg, którego w ostatnim tygodniu nasypało co najmniej metr, a zawieje i zamieci śnieżne usypały z niego gdzieś potężne zaspy. Teraz panował spokój, wiatr się wyszalał, śnieg także już nie padał – było na to zbyt zimno. Mróz trzymał siarczysty. Jednak wracający z pubu mężczyzna, zataczający się opustoszałą – na szczęście – o tej porze nocy boczną szosą, zupełnie tego nie czuł. Był pijany. Nie to, żeby wypił zbyt wiele, no... może ćwiartkę. Tak na rozgrzewkę. Do chałupy już niedaleko, tylko kawałek na przełaj przez ten las, tam czeka zgrzewka piwka, poprawi sobie, noc jeszcze długa. Gdy wtoczył się pomiędzy drzewa, zdawało mu się, że po drugiej stronie ścieżki majaczy jakiś ciemniejszy kształt. Ciemniejszy od otaczającej ciemności. Coś jakby autko. Chyba. Ale co by tutaj robiło, tędy przecież nikt nie jeździ – zauważył w miarę przytomnie. Może to tylko zwidy. W lesie, po nocy, widzi się różne rzeczy. Zanim doszedł do przesieki, kilka razy zapadł się w śnieg, a raz się nawet przewrócił. Wygramolił się jednak, klnąc i otrzepując ubranie, aż zrobiło mu się gorąco. Poczł się zmęczony, bardzo zmęczony, nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Gorąco, duszno, tylko nos i policzki trochę szczypią. Ale już niedaleko. Za tamtymi drzewami... tam gdzie jaśniej. Tam już wioska. Trzeba się pospieszyć, tyle że sił coraz mniej. Ta słabość, ta słabość, skąd to ciężkie ciało, nie, wcale nie ciężkie – właśnie że lekkie, zbyt lekkie, jakby nie istniało, jakby nie należało do niego... I wzrok się mąci. Czerń i biel, czerń i biel, wszystko się zlewa, rozmywa. Ale zaraz, ktoś tam stoi. Za drzewami. Jakaś postać. Nie, nie stoi, sunie w jego kierunku, płynie! Postać w bieli... Jest blisko, coraz bliżej, na wyciągnięcie ręki. Mógłby jej dotknąć. Gdyby nie to, że ręka nagle taka ciężka, jak z ołowiu. Światło... Dzwonią dzwonki. Postać się uśmiecha, ma piękną białą twarz. Powłóczysta biała peleryna ciągnie się za nią, na głowie... kaptur? Kaptur okolony futerkiem, coś błyszczy, coś się skrzy... korona? Diadem? Tak to się nazywa? Królowa? Czy to królowa? Królowa śniegu?... Jak w tej bajce, co mu matka opowiadała, gdy on był mały, a ona akurat trzeźwa. Sam już nie wie, czy myśli tylko, czy wypowiada te pytania na głos. Królowa uśmiecha się ciepło, pięknie, przyjaźnie. Kiwa głową. Wyciąga dłoń, wciąż z uśmiechem. Mężczyzna też się próbuje uśmiechnąć – jest taka cudowna. Jak lalka z porcelany. I naraz ręka już nie ciąży ani nie jest zbyt lekka, czuje ją, to czary, to królowa, ona to sprawiła! Bierze go za ramię i prowadzi pomiędzy drzewa. Jest tu pięknie, pięknie. Jak w niebie. Siadają w zaspie, ona – królowa – coś mu podaje. Śliczna, prześliczna buteleczka,

zielona jak te sosny wokół. Widzi to dobrze, bo od królowej bije blask. Białe światło. Dłoń też ma białą, białą i gładką jak jedwab, otoczoną futrem... Ach tak, to przecież rękawiczka, on też miał rękawiczki, zwyczajne, szare, wełniane, ale jedną zgubił, nic to, wystarczy jedna, już blisko do domu, a ręk i tak nie czuć. Ciepło jest. Królowa podnosi buteleczkę wprost do jego ust, zapach upaja, czuje ciepło, spokój, bezpieczeństwo. Jak wtedy, dawno temu, kiedy tuliła go matka. Jeśli była trzeźwa. Ona – królowa – nadal się uśmiecha, kiwa głową. On zamyka oczy, jest mu dobrze, bardzo dobrze, błogo. Tylko że gorąco, za gorąco. Czuje, jak królowa, śmiejąc się, obsypuje go śniegiem. Dla ochłody. Nie, nie śniegiem. To konfetti. Miękki, srebrny puch. Błyszczą się. Chłodzi, koi. I znów podsuwa mu buteleczkę. Pod same usta. Tak mu dobrze. Ciało gdzieś odpływa, dusza jest w raju. Więc tak wygląda raj? Biel, srebro, dzwonki. Zapach żywicy, lodów śmietankowych i spirytusu. Poddać się temu. Tak. Smakować to. Upajać się. Radować...

Gdy w końcu zmusza się, by jeszcze raz unieść ciężkie powieki, jej już nie ma. Królowa zniknęła, tylko w powietrzu wciąż unosi się jeszcze perlisty śmiech, a może to gra muzyka? Tak, muzyka. Niebiańska muzyka. Jakiś głuchy warkot przez chwilę burzy piękne dźwięki, coś jakby burza. Albo samochód w oddali. Ale tylko przez chwilę. Już. Zanika. Znowu jest cisza. Biały spokój. Mężczyzna z powrotem zamyka oczy. I gdy zapada się w czarną czeluść – jest mu dobrze...

CZĘŚĆ I

[...] zrobił bowiem lustro, które posiadało tę właściwość, że wszystko dobre i ładne, co się w nim odbijało, rozpływało się na nic, a to, co nie miało żadnej wartości, i było brzydkie, występowało wyraźnie i stawało się jeszcze brzydsze. Najpiękniejsze krajobrazy wyglądały w tym lustrze jak gotowany szpinak, najlepsi ludzie byli szkaradni albo stali na głowach bez tułowia. Twarze w tym lustrze były tak wykrzywione, że nie można ich było rozpoznać [...]

Kryszewo, styczeń

Greta Pazik, radna gminy Kryszewo, energicznie postukując wysokimi obcasami, wspinała się po schodach na poddasze domu, w którym Felicja Stefańska – nowa redaktorka gminnej gazety – tymczasowo wynajmowała biuro z aneksem mieszkalnym. Greta sama wyszukała jej to lokum, opłacane zresztą niemal w całości przez gminę. Niecierpliwie zastukała do drzwi, naciskając klamkę. Były jednak zamknięte na klucz, choć Felicja musiała przecież słyszeć, że ktoś wchodzi na górę. Zastukała jeszcze raz, tym razem kantem oczka dużego srebrnego sygnetu, by było lepiej słyszeć. A raczej, by zademonstrować swoje zniecierpliwienie, z czego sama dobrze zdawała sobie sprawę. Upłynęła dłuższa chwila, zanim po drugiej stronie dało się słyszeć leniwe kroki. Wreszcie drzwi się uchyliły. Felicja jak zwykle miała włosy ciasno spięte w koński ogon, a na sobie obcisłe legginsy i długi czarny sweter. Zero makijażu, co dla Grety było zjawiskiem kompletnie niezrozumiałym. Jak można być tak atrakcyjną dziewczyną i kompletnie tego faktu nie doceniać?! – zastanawiała się nie raz, wierząc o to dziurę w brzuchu przyjaciółce, na co ta reagowała całkowitą obojętnością. Greta była jej dokładnym przeciwieństwem: mimo przekroczonej pięćdziesiątki ciągle uchodziła za najatrakcyjniejszą kobietę w miasteczku. Prawdziwa dama. Postawna blondyna, zawsze elegancka, perfekcyjnie zadbana, z nieskazitelnym makijażem. Zresztą nikt nigdy nie odgadłby jej wieku. Wyglądała jak trzydziestolatka. Felicja miała lat trzydzieści dziewięć, a za sobą gówniany związek. Twierdziła, że ma w dupie swój wygląd i nikomu nie musi się podobać, czego Greta zrozumieć nie potrafiła, wiedziała jednak, że dziennikarka mówi to absolutnie szczerze. Mimo tych wszystkich różnic, które je z pozoru dzieliły, przyjaźniły się od lat i znały na wylot.

– Pali się? Nie mogłaś najpierw, cholera, zadzwonić? – mruknęła Felicja, krzywiąc się, lecz przepuszczając ją w drzwiach. – Pracuję teraz!

Greta wzruszyła ramionami, zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. Następnie z ulgą zrzuciła kozaki na wysokiej szpilce.

– No i o to chodzi – odparła. – Że pracujesz. O tym chciałam pogadać. Właśnie wracam z narady. Nie miałam czasu wydzwaniać, zdecydowałam, że od razu wpadnę, skoro mam po drodze. Zimno jest jak diabli, kawy daj, bo zamarłam. I padam z nóg!

– Nie mam.

– Co nie masz? Kawy nie masz?

– Nie mam. Zapomniałam kupić. Mogę zrobić herbatę.

– Zrób, byle mocną i gorącą. – Greta westchnęła zrezygnowana, idąc boso za Felicją do kuchni, a raczej wnęki kuchennej połączonej z niewielkim pokojem służącym do pracy, dość ciemnym mimo dwóch okien dachowych umieszczonych

w skosach i kolejnych dwóch – szczytowych. Powyżej, na niewielkiej antresoli, znajdowało się miejsce do spania, prywatny rewir Felicji, gdzie panował wieczny nieład, na który Greta nie mogła patrzeć. Na szczęście nie musiała. Przyjaciółka zajęła się zaparzeniem herbaty, a Greta rozsiadła się na krześle, przysuwając sobie taboret pod nogi.

– Uff... po prostu konam. – Westchnęła, poruszając palcami stóp w jedwabnych pończochach, by je rozgrzać. – Ciepło tu masz od tej kozy.

– No.

– Dobrze ci się mieszka?

– Wiesz, ja tu głównie pracuję i śpię. Mnie tam wszędzie dobrze – odparła Felicja, stawiając parujące kubki na blacie. – Chcesz do tego trochę orzechówki? Dostałam od gospodyni.

Greta uniosła dłonie.

– Żadnego alkoholu! Dobrze wiesz, że mam traumę przez buca.

Bucem nazywała byłego męża, starego pijaka, jak twierdziła. Rozwiodła się z nim parę lat temu, czego dorosła córka z tego związku do tej pory nie mogła jej darować. Dziewczyna studiowała medycynę w Stanach i praktycznie nie odzywały się do siebie. Greta ponownie wyszła za mąż, tym razem za przyzwoitego faceta, biznesmena, i z jego wsparciem pięła się po szczeblach kariery.

– Okej, to sama sobie chlapnę. – Felicja wzruszyła ramionami, siadając na drugim krześle. – No więc? O co chodzi? Wal.

– A widzisz, dobry wstęp z tym alkoholem. Bo akurat ma to związek. Nie domyślasz się jeszcze?

– Ja tępa jestem. – Felicja nawet nie mrugnęła, wpatrując się w nią wyczekująco.

Greta przewróciła oczami.

– Tego nie musisz mi mówić. A tak serio... No dobra, prosto z mostu. Chodzi o to, żebyś wywaliła z numeru ten tekst o zamierzniactwach pijaczków w naszej gminie. Rozumiesz, nie mamy się czym chwalić.

– No ale to przecież fakt, co nie?

Greta wyprostowała się, sięgając po kubek z herbatą. Na jej urodziwej twarzy pojawiło się zniecierpliwienie.

– Owszem, fakt, ale po cholere to wywlekać? – odparła ostrzej. – Żeby trójmiejska prasa załapała, a potem może jeszcze ogólnopolska? Gmina, w której zamorza najwięcej pijaków w Polsce? Pomyśl, dziewczyno! Jak to o nas świadczy?

– Chcesz to ukryć? Nie da się! – parsknęła dziennikarka.

– Nie ukryć, kretynko, tylko nie eksponować. Zresztą... no, zdarzyło się. Zima ostra, pech. Ale w końcu nie jesteśmy gminą samych meneli, to porządna miejscowość! Chcesz, żebyśmy stracili potencjalnych inwestorów, turystów...

– Turyści to raczej latem przyjeżdżają, nie?

– A właśnie że nie tylko! – uniosła się Greta. – Doskonale wiesz, że budujemy tor saneczkowy i wyciąg narciarski. Mamy tu piękne tereny do uprawiania narciarstwa. A ty wyjeżdżasz z pijaczkami. Do cholery, jesteś nie tylko redaktorką naszej gazety i strony internetowej, ale także rzecznikiem prasowym gminy! Masz dbać o jej wizerunek, a nie go psuć!

Felicja wysączyła resztkę nalewki i odstawiła kieliszek, nie spuszczać z niej zblazowanego wzroku. Tylko lekko zmrużyła oczy. Dopiero po chwili odezwała się z ironicznym uśmieszkiem:

– Od grudnia mieliśmy cztery przypadki zamrznięć, tydzień temu piąty. Coś jest na rzeczy, trudno zaprzeczyć. Jeden trup tygodniowo, takie są fakty. Mam udawać, że tego nie było? Tylko narty, saneczki, inwestycje, sielanka? Nie, nie, kochana. Chyba się nie rozumiemy. Nikomu nigdy nie obiecywałam, że będę tańczyć, jak mi kto zagra. Jestem dziennikarką. Moim zasranym obowiązkiem jest rzetelne informowanie społeczeństwa, nawet jeśli nie podoba się to władcom tego świata. A raczej światka, w tym wypadku – dokończyła zgryźliwie.

– Informowanie, a nie szukanie taniej sensacji! – zdenerwowała się Greta. – Zapominasz chyba, że to ja cię tutaj ściągnęłam! Chcesz, żebym teraz miała przez ciebie na pieńku ze wszystkimi?

Felicja parsknęła śmiechem.

– Nie graj mi tu na uczuciach, nie cierpię szantażu emocjonalnego – powiedziała, zapalając papierosa. – Chcecie, to możecie mnie od razu zwolnić. Nie wpraszałam się tutaj, to ty mnie zaprosiłaś.

Greta zamachała dłonią, by odpędzić od siebie dym.

– Czyli odmawiasz? – spytała z niedowierzaniem.

Dziennikarka pokręciła głową litościwie.

– O co wam chodzi, tak naprawdę? – zapytała. – Macie jakieś kompleksy? A może ty masz, co?

– Puknij się. Jakie kompleksy? – Greta się zmieszała. – To, że mój były pił, nie znaczy, że mi na tym punkcie odbiło. Już o nim prawie zapomniałam. Poza tym on nie zamarzył, niestety. Daj spokój, lepiej wróćmy do rzeczy. Proszę. Nie mówię przecież, że masz to przemilczeć, tylko, rozumiesz... nieco inaczej to ująć, stonować... Przestań wreszcie stroić fochy i grać mi na nerwach, zmień tylko trochę swój tekst, dobrze?

Felicja uśmiechnęła się z zadowoleniem. Czowała, że zwyciężyła. Nie zamierzała jednak pognebiać przeciwnika.

– Dobrze. – Zatrzepotała słodko rzęsami, co w połączeniu z jej ascetyczną twarzą i ciemnymi włosami ściągniętymi surowo nad karkiem wydało się Grecie zamierzoną cyniczną groteską. Którą zresztą zapewne było. O Felicji można było różne rzeczy powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest słodka. – Lubię tę waszą gminę, nie zamierzam jej szkodzić. Jednak całkiem ukryć prawdy się nie da, ludzie plotkują. A policja...

Radna machnęła ręką lekceważąco.

– A tam, policja! Mówili, że to nieszczęśliwe wypadki, i już. Zdarza się.

– Oby mieli rację. To co, na pewno odmawiasz naleweczki? Bo ja sobie chyba jeszcze strzelę za wasze zdrowie...

FELICJA

Z Gretą poznałyśmy się jakieś sto lat temu. Dokładnie mówiąc, ze dwanaście. Na kursie prawa jazdy, który – gwoli ścisłości – ona zdała bez problemu za pierwszym razem, ja z kolei podchodziłam do egzaminu jeszcze trzykrotnie, zanim w końcu zdobyłam upragniony papierek. Ponieważ była tam jedyną osobą, do której w ogóle miałam ochotę się odezwać, od razu się zakumplowałyśmy. Zaraz po pierwszym wykładzie poszłyśmy razem na piwo i tak... od słowa do słowa, okazało się, że obie tkwimy w kretyńskich układach tak zwanych sercowych. Ona w małżeństwie z alkoholikiem, a ja w toksycznym związku z pewnym bałwanem, który robił ze mną, co chciał, zdradzając mnie na prawo i lewo z kim popadnie. Nieważne, stara dupa czy młoda dupa, wszystkie musiały być jego, a ja – zakochana kretynka – udawałam ślepotę w nadziei, że on się zmieni. No tak, taka sztampa. Nie zmienił się do dziś, za to dzięki Grecie miesiąc później wykopałam go z mojego mieszkania dosłownie i w przenośni. Natomiast ona sama borykała się ze swoim debilem jeszcze przez kilka lat. Cóż, mieli dziecko. Teraz to „dziecko” daje się we znaki mamusi, nie doceniając, ile z jego powodu przeszła. Do dziś pamiętam tamten wieczór: opuściłyśmy knajpę nad ranem, nieco wstawione, za to silniejsze. Jednak czasem każdy potrzebuje wsparcia. Greta miała wtedy około czterdziestki, choć myślałam, że jest w moim wieku. Nadal tak wygląda. Jak ja wyglądam – nie wiem. Nawet w lustro nie patrzę, bo po co. Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Greta wróciła do swojej wsi, bo samo Kryszewo to administracyjnie wciąż niby wieś, nie miasteczko, choć ma miejski charakter i faktycznie z prawdziwą wsią nie ma już od dawna nic wspólnego. To po prostu duża, rozwojowa miejscowość gminna, położona nieopodal Gdańska, majątna, malownicza i cywilizowana, bardziej turystyczna niż rolnicza. Sorry, w ogóle nie rolnicza. Rolnika tu nie uświadczysz, jedynie jakieś niedobitki dawnego systemu, za to biznesmenów jest multum. Niemal wszyscy napływowi, bo Kryszewo stało się z biegiem lat czymś w rodzaju mieszkalnego zaplecza Trójmiasta – dla bogatych, bo grunty tu drogie. Jeden z nich został z czasem nowym mężem Grety, a ona, wspierana przez niego finansowo oraz moralnie, wykazała się talentem politycznym i – po wstąpieniu w szeregi lokalnego liberalnego stronnictwa – została ulubioną radną miejscowych. Zarówno „autochtonów”, jak i „miastowych”, ponieważ niejako łączy obie grupy. Wybierają ją od tamtej pory za każdym razem, wcale nie ze względu na urodę, a przynajmniej nie tylko. Jest naprawdę świetną radną, skuteczną we wszystkim, do czego się zabierze. Co do mnie, zostałam w mieście, uparcie próbując swych sił w dziennikarstwie. Raz na wozie, raz pod wozem. Podobnie w życiu osobistym. Kretynizm nie mija automatycznie wraz z wiekiem, więc wpadłam jak śliwka w kompot w kolejny toksyczny związek. Chłop tym razem się nie łajdaczył, za to okazał się niezaradnym życiowo niebieskim

ptakiem, wieszającym się jak bluszcz na babie. Utrzymywałam obiboka ze swojej dziennikarskiej pensji przez ładnych parę lat, aż w końcu rozum mi wrócił i postawiłam mu ultimatum: praca (jakakolwiek!) albo won, niech spierdala w podskokach. Oczywiście gnojek wybrał to drugie, zwiął w podskokach, tym bardziej że ja właśnie straciłam swoją robotę i nie miał go już kto utrzymać. Z tego, co mi wiadomo, przykleił się jak kleszcz do innej idiotki, oby szybko przejrzała na oczy... Wracając do rzeczy, wyleciałam z posady za politykę, gdy konfiguracja uległa zmianie. Dobrej zmianie, podobno. I znów z pomocą przyszła mi Greta, bo tak się składało, że przez cały ten czas utrzymywałyśmy ze sobą regularny kontakt. Mianowicie zwerbowała mnie tutaj w charakterze redaktorki gminnej gazety, portalu oraz rzeczniczki prasowej urzędu gminy. Nie powiem, że byłam zachwycona. W życiu nie mieszkałam w takiej pipidowie, nie miałam pojęcia, co mnie tam czeka. Dość długo musiała mnie namawiać, a namawiała usilnie, bo akurat zwolnili poprzedniego rzecznika, który był podobno totalnym analfabetą. Chyba prawda, sądząc po dokonaniach. Cóż, ostatecznie zgodziłam się, bo Greta skusiła mnie warunkami, zresztą wybór miałam niewielki, w Trójmieście byłam spalona. Zgodziłam się ostatecznie na rok, na próbę. Muszę przyznać, że nawet mi się spodobało. Ta cała przyroda dookoła, dla mnie coś całkiem nowego. No i przede wszystkim święty spokój. Odpukać, bo wygląda na to, że do czasu...

Kilka miesięcy przepracowałam bez zgrzytów, gdy wylazła sprawa tych pijaczków. I niech mi nikt nie wmawia, że to normalne. W ciągu jednego miesiąca odnotowano tu więcej ofiar zamachów niż w pozostałych gminach województwa razem wziętych! Wszystkie te osoby były w chwili śmierci pod wpływem, żadna natomiast – z wyjątkiem jednej starej kloszardki nocującej na działkach pracowniczych leśnictwa – nie była bezdomna. A oni chcą to zamieść pod dywan. Tak jakby przemilczenie faktów było jakimś zaklęciem, które sprawia, że tych faktów nie ma. Temat i bez mojej pomocy podchwyciły już gazety regionalne, wkrótce rozniesie się to na całą Polskę. A tymczasem Greta – moja przyjaciółka, cholerna lokalna patriotka – żąda ode mnie, żebym udawała ślepą, głuchą i upośledzoną umysłowo. No to się zaczęło. Niby to nie polityka, ale coś w tym rodzaju. Ja chyba nigdy nigdzie nie zagrzeję miejsca, mam bowiem jedną przypadłość, z którą nie potrafię walczyć: lubię nie mieć sobie nic do zarzucenia, a swój zawód traktuję poważnie, nawet jeśli na co dzień zajmuję się decyzjami gminy co do odśnieżania wiejskiej drogi czy zagospodarowania placu przed urzędem na lodowisko dla dzieci. Wydawało mi się do tej pory, że Greta to rozumie. Że mnie zna. Jednak mnie zaskoczyła. I co ja mam teraz robić, pytam się. Udawać, że to normalne, że w bogatej i szanowanej gminie zamarza jeden gość tygodniowo? Zgodzić się na ich warunki? Pisać i gadać pod dyktando? Czy użerać się i ryzykować, że stracę kolejną fuchę?...

Kryszewo, styczeń

Tego dnia Felicja wstała dość wcześnie, obudziła się bowiem z kamiennego snu. Zawsze tak głęboko spała, gdy za oknem szalała zamieć. Zaczęło sypać jeszcze wieczorem, a w nocy potężna śnieżycą pokryła kolejną warstwą śniegu senne jeszcze o tej porze miasteczko. Dziennikarka wyjrzała przez okno. Dopiero zaczynało się rozwidniać, wszystko wokół tonęło w bieli, w powietrzu ciągle wirowały zwarte, gęste płatki śniegu. Z ciekawości zerknęła na wiszący za oknem termometr: mróz nieco zelżał, teraz było tylko minus dwanaście stopni, ale do wieczora wzrośnie, jak zwykle. Zaparzyła sobie kawy, w lodówce znalazła jeszcze trochę sera, zorientowała się jednak, że nie ma ani kawałka chleba. Wczoraj zapomniała go kupić. Skończył się nawet zapas chrupkiego pieczywa. Zakłęta pod nosem. Trzeba wyjść do sklepu coś kupić. Wypiła kawę i ubrała się niechętnie. Dzinsy, polarowa bluza, na to płaszcz. Z kapturem, bo czapek nie znosiła od dziecka. Kozaki. Rękawiczki. Szalik. A niech diabli wezmą zimę cholerną... Cicho, żeby nie budzić gospodarzy, zbiegła po schodach. Na szczęście tylko sień była wspólna, do niej – w prawo, na poddasze – prowadziły kręte drewniane schody, do mieszkania właścicieli drzwi na wprost. Gdy tylko wyszła na zewnątrz, mróz szczyptała ją w policzki. Niby marne dwanaście stopni, a jednak. To pewnie od wiatru, który nadal powiewał, choć w porównaniu z nocną zawieją był już o wiele słabszy. Na ulicach pusto, tylko gdzieniegdzie przemykała się spiesznie jakaś otulona w kurtkę i czapę, zgarbiona postać. Sklepek był blisko, zaraz za rogiem. Do najbliższego supermarketu Felicja musiałaby iść spory kawałek dalej, pobłogosławiła więc w duchu drobną miejscową inicjatywę. Gdy wyszła z uliczki na plac, przystanęła i odetchnęła pełną piersią, lodowate powietrze przywróciło jej energię, drobinki śniegu osiadły na wargach i rzęsach. Uśmiechnęła się do siebie pod grubym szalikiem z polaru. Nagle poczuła coś w rodzaju szczęścia. To było coś, co odkryła dopiero tutaj: regenerująca siła natury. W oddali, zamglone w padającym śniegu, widniały słabe zarysy okolicznych wzgórz otulających kotlinę, w której nadal spało miasteczko. Spało jednak tylko z pozoru. Gdy bowiem weszła do sklepu, buchnęła w nią para z oddechów zgromadzonych tam ludzi oraz gwar podnieconych głosów. W kolejce przy ladzie zgromadziło się kilka osób, w większości starszych mężczyzn. Dyskutowali o czymś zawzięcie, dopiero na jej widok wszyscy nagle ucichli. Stała na końcu kolejki. Sklepowa, a zarazem właścicielka sklepu, wysoka, ładna, miła kobieta po czterdziestce – z uśmiechem pakowała produkty do jednorazowych toreb. Od czasu do czasu zapisywała też zamówienia, posługując się legendarnym już dla całego miasteczka „etatowym” niemieckim (zapewne pochodzącym jeszcze z NRD) długopisem z napisem *Ordnung muß sein*, pozostawionym przez poprzednich właścicieli lokalu, a który zatrzymała sobie na szczęście, by interes dobrze kwitł. Wszystko wskazywało na to, że rekwizyt

dobrze jej służy – klientów tu nigdy nie brakowało.

Mężczyźni jednak ze sklepu nie wyszli, tylko przesunęli się na bok, jakby czekali, aż Felicja kupi swoje i sobie pójdzie. Nieco zmieszana, choć starała się to zignorować, poprosiła o razowy chleb i paczkę sucharków, do tego jogurt owocowy. Skusił ją także ostry ser pleśniowy, który zobaczyła w chłodziarce. Ekspedientka wyczuła chyba niezręczną sytuację, bo wydając resztę, zagaiła:

– Słyszała już pani? Szukają tego Kowalskiego, co to zaginął przedwczoraj w nocy...

Felicja uniosła brwi.

– Jak to zaginął? – zapytała.

– No, do domu nie dotarł, w knajpie go ostatnio widziano. Sam mieszka, dopiero sąsiedzi zgłosili. A taka śnieżycą była. Policja go szuka, z psem. I ochotnicy.

– Gdzie?

– W lasach. Tu, w okolicy. Bo on w tej osadzie w lesie mieszkał. Dawniejszymi czasy sołtysem tam był, ale się rozpił i zmarnował.

– Myśli pani, że to będzie kolejny przypadek?...

Sklepową pokiwała smętnie głową.

– Wszyscy tak myślą. Bo niby gdzie zaginął? A tam często na skróty przez las wracali. Nawet teraz, w zimie, choć tam pewnie śniegu po pas. Choć pani sama w gazetce ostrzegała, żeby po bezdrożach nie chodzić w taką pogodę...

Starsi mężczyźni przysłuchiwali się tej wymianie zdań z uwagą. Podczas gdy Felicja pakowała swoje sprawunki do siatki, jeden z nich nie wytrzymał i wtrącił zachrypniętym głosem:

– Kłątwa, pani! Jak nic, kłątwa na tych grzeszników!

– Panie Janku! – przerwała mu właścicielka sklepu. – Jaka znowu kłątwa? Co też pan opowiada?

– W gorzale diabeł siedzi, pani Renatko szanowna, ot co! – odparł z urazą.

– Kłątwa? Jeśli już, to skutki bezmyślności, proszę pana, a nie żadna kłątwa – dodała Felicja, szykując się do wyjścia.

– Cała ta wieś przeklęta! – upierał się dziadek. – My swoje wiedzą.

Dziennikarka zerknęła porozumiewawczo na sklepową. Od początku lubiła Renatę Dudzińską. Sklepiarka była bystra, grzeczna, rozsądna, i zawsze dobrze poinformowana. Wiadomo, jak to w sklepie. Mimo że w Kryszewie namnożyło się dużych marketów jak grzybów po deszczu, miejscowy sklepik nadal pełnił funkcję placówki pierwszego kontaktu. Wymieniły znaczące spojrzenia, po czym Felicja pożegnała się i opuściła sklep, obiecując sobie, że tym razem Grecie nie przepuści. Musiała przecież wiedzieć o zaginięciu kolejnego delikwenta...

– Przestań się tak unosić! Tak, już się podobno znalazł... – weszła jej w słowo Greta. Słysząc było wyraźnie, że jest w nie najlepszym humorze. – Właśnie otrzymałam wiadomość. Są jeszcze na miejscu...

– Martwy, tak? Sopel lodu?

– A jak myślisz? Że żywy przetrwałby w lesie dwie noce z rzędu? Przy mrozie

ponad dwadzieścia stopni i w dodatku śnieżycy? Tak, znaleźli nieboszczyka. I nie, nic wcześniej nie wiedziałam, że ten facet zaginął! Sąsiedzi zgłosili policji zaginięcie dopiero wczorajszego wieczoru, ale po ciemku i tak nie byli w stanie nic zrobić, dlatego dopiero dziś rano rozpoczęli poszukiwania. Właśnie wtedy się dowiedziałam, i przestań mnie wkurzać, bo zrobiłam wszystko, co mogłam, by potraktowali tę sprawę priorytetowo! Akurat miałam do ciebie dzwonić, bo i tak...

Felicja przerwała jej rozeźlona:

– Jestem rzecznikiem prasowym, a dowiaduję się o wszystkim w sklepie! Dzięki bardzo. Miałaś dzwonić? To dlaczego nie zrobiłaś tego od razu, co?

– Bo cię nie chciałam budzić! Była szósta rano, a ty zawsze długo śpisz! Co byś pomogła? Daj spokój. Miałam dzwonić, bo policja chce, żebyś nadała jakiś komunikat. Nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale chyba nie mamy wyjścia...

– Czyli kolejny przypadek cudem zamarznętego umarlaka? Który to już?

– Czy ty musisz być taka cyniczna?

– Ja?!

– Tak, ty. Wszyscy mają o tobie taką opinię: wredna, cyniczna, zimna suka. O mnie nikt tak jakoś nie mówi. Wręcz przeciwnie – dodała złośliwie Greta.

– Mam to w dupie, jak o mnie mówią. Był pijany?

– Tego jeszcze nie wiadomo, muszą wpierw zrobić sekcję. Ale owszem, gość podobno był alkoholikiem, choć to dawny sołtys – przyznała niechętnie. – Zresztą prawdopodobnie wracał z pubu. Z wnioskami jednak zaczekajmy na wyniki badań. Na razie zadzwoń do tego twojego aspiranta... jak mu tam... dowiedz się, o co chodzi z tym komunikatem. I bądź ze mną w kontakcie!

– Aspirant Zygmunt Ryba. Sorry, Zygmunt Ryba. Tak on się zwie, o czym doskonale wiesz, bo go znasz dłużej niż ja. Nie jest mój. Ale oczywiście zaraz do niego zadzwonię. Może wreszcie dowiem się czegoś konkretnego.

– Masz być ze mną w kontakcie! Nic bez porozumienia, słyszysz?

Felicja się rozłączyła. Zanim jednak zdecydowała się zadzwonić do młodego policjanta z lokalnego komisariatu, postanowiła zjeść śniadanie. Bo potem mogłaby już nie mieć okazji. O utracie apetytu nie wspominając. Zalała wrzątkiem herbatę i przygotowała sobie kanapkę, którą przełknęła na stojąco. Dopiero potem wystukała numer aspiranta. Policjant poprosił ją o zamieszczenie w gazecie i na portalu informacji o tym, że policja poszukuje potencjalnych świadków zdarzenia.

– Chodzi o to, pani Felu...

– Felicjo! – poprawiła.

– Pani Felicjo... chodzi o to, że na miejscu, przy zwłokach, nasi ludzie znaleźli ślady butów nienależących do zmarłego. Wygląda na to, że nie był sam. A przynajmniej jest taka szansa – wyjaśnił.

– Znaleźli ślady? Po takiej zawiei? – zdziwiła się dziennikarka.

– Niewyraźne, ale tak. Tam, w lesie, aż tyle śniegu nie napadało. Oczywiście, jak będziemy mieli więcej informacji, to skontaktujemy się z panią. Albo z panią Gretą, bo naciska. Lubi być zawsze na bieżąco.

– Proszę się kontaktować ze mną, okej?

– Jasne. W takim razie...

- Niech pan zaczeka! Gdzie to jest? To znaczy miejsce zdarzenia?
- Niedaleko, przy szosie na Kościerzynę. Pod Leśnym Dołem. Denat był stamtąd.
- Mogłabym tam podjechać?
- Sama? Nie dopuszczają pani. Prowadzą czynności, zabezpieczają ślady. Z pewnością nie zechcą teraz rozmawiać z prasą...
- Szkoda. A później? Jutro? Chciałabym się tam rozejrzeć, rozumie pan, będę musiała wysmarować jakiś tekst, powinnam się przecież orientować, a nawet nie wiem, jak to miejsce wygląda... Jestem tu nowa. Proszę...
- Aspirant Ryba zawahał się, lecz trwało to tylko krótką chwilę.
- Jutro mogę tam z panią podjechać – zaproponował.
- Świetnie! – ucieszyła się. – W takim razie do jutra rana. A komunikat zaraz nadam. Proszę mi tylko podesłać jego treść mailem, a ja go zredaguję i wrzucam.

Nazajutrz

Po wczorajszej nawałnicy las stał cichy i obsypany śniegiem, którego jednak im głębiej wchodzili pomiędzy drzewa, tym było mniej. Felicji wydawało się, że starodrzew emanuje odwieczną powagą i spokojem, choć zdawała już sobie sprawę z tego, że to tylko spokój pozorny. Lasy żyją przecież własnym życiem. Miejsce odnalezienia zwłok wciąż oznaczone było białą-czerwoną policyjną taśmą, w niektórych miejscach uszkodzoną, co sugerowało, że pewnie gapie już tutaj trafili. Teraz jednak nie było nikogo, ani człowieka, ani zwierzęcia, nawet ptaki o tej porze roku milczały. Gdzieniedzie tylko dało się słyszeć typowe dla lasu skrzyknięcia i trzaski.

- Brr – odezwała się półgłosem. – Wolałabym nie znaleźć się tutaj sama.
- I w dodatku nocą, prawda? – Aspirant Ryba pokiwał głową.
- Był wysokim brunetem w okolicach trzydziestki, ze śladami niedokładnie ogolonego zarostu na smagłych policzkach. Przystojnym, choć Felicja nie interesowała się tak młodymi facetami. Żadnymi facetami.
- Tutaj go znaleźli, tak? – Rozejrzała się dookoła. Szosy nie było stąd widać z powodu zarośli oraz obniżenia gruntu, jednak wiedziała, że są od niej blisko. Z rzadka coś tu przejeżdżało, jednak akurat taki cud przed chwilą się zdarzył, a warkot silnika słyszeć było doskonale. No i nie szli długo, zaledwie parę minut, w dość głębokim śniegu.
- Tak, tutaj siedział, oparty o to drzewo – powiedział policjant i wskazał. – Tutaj też znaleziono ślady, raczej nienależące do ofiary, bo mniejsze. Teraz ich nie zobaczymy, bo widzę... – skrzywił się – że grunt został już dokładnie zdeptany. Są jednak obfotografowane i zabezpieczone. Prowadziły aż do granicy lasu, w stronę szosy, i tam zniknęły. Prawdopodobnie ktoś wsiadł do zaparkowanego na skraju drogi samochodu. Oczywiście o śladach opon nie ma co marzyć; coś tu jednak od czasu do czasu jeździ, w dodatku sypało nieźle, no i pług śnieżny przejeżdżał tędy parę razy.
- Ale coś dało się odczytać z tych śladów?
- Niewiele, nie były zbyt wyraźne. Za dużo sypkiego śniegu. Jednak dużo

wskazuje, że mogły należeć do kobiety. Wskazuje na to nie tyle nawet rozmiar, ile jakby... ślad obcasa. Jak w damskich kozaczkach – odparł.

Felicja się zdziwiła.

– Kobieta? Mógł spacerować z kobietą? Miejmy nadzieję, że nie znajdziemy tu gdzieś następnego trupa...

– Nie, raczej nie. Nikt nie zgłosił kolejnego zaginięcia. Ta kobieta... o ile to rzeczywiście była kobieta... mogła wcale nie przebywać tu równocześnie z Kowalskim. Mogła chodzić tędy wcześniej. Lub później.

– Jeśli później, to by znaczyło, że widziała zwłoki. I nie zgłosiła tego faktu.

– Mogło tak być. – Ryba pokiwał głową. – Ludzie czasem w ten sposób reagują. Nie chcą być w nic zamieszani, ciągnani po komisariatach i po sądach. Szczególnie tu, na wsi. Tutaj świadomość jest inna, a waga życia i śmierci... no, rozumie pani. Też inna – dokończył zakłopotany.

Dziennikarka skinęła głową, podciągając wyżej szalik, aż na brodę, bo mróz dalej trzymał. Ostre powietrze szczypało w gardło. Przykre doznania łagodził jednak zapach igliwia i żywicy, tak świeży, że z ochotą wciągała go nosem i ustami.

– Niech pani zakryje usta, pani Felu, bo jeszcze się pani przeziębą – zatroszczył się policjant.

– Felicjo! Żadna „Felu”! – zaprotestowała. – Ile razy mam panu mówić? Nie cierpię tego zdrobnienia!

– Przepraszam. Pani Felicjo.

– Felicjo – mruknęła. – Wystarczy. Znamy się już co nieco.

– Bardzo się cieszę, Felicjo. – Uśmiechnął się do niej. – Zygmunt. A ten Kowalski mieszkał tam, za tymi drzewami. – Wskazał palcem kierunek. – Biedny facet. Miał już całkiem blisko do domu.

– Biedny jak biedny. – Wzruszyła ramionami. – Po co chlał jak świnia?

– Tego jeszcze nie wiemy. Ale wracał z knajpy, więc pewnie masz rację. Mamy kolejny podobny przypadek. Głupia sprawa.

– Co o tym myślisz? O tych wszystkich przypadkach? Macie jakąś teorię? Ludzie gadają coś o klątwie...

Ryba otrzepał rękawicą kurtkę, na którą z drzewa obsypał się śnieg. Teraz on wzruszył ramionami.

– Ludzie zawsze wygadują głupoty. Szczególnie starsi uważają, że na miasteczko spadł gniew boży. Dawniej, oczywiście w ich wspomnieniach, była to spokojna wieś, bogobojna. A teraz wszystko się zmieniło. Osiedli tu ludzie z miasta, pozakładali biznesy, centra handlowe, banki, pizzerie, żyją po swojemu, do kościoła nie chodzą. Wioska raptem przekształciła się w miasteczko, zmieniła się nawet wizualnie, wygląda teraz jak kolejna dzielnica Gdańska. Dla miejscowych dziadków to dowód demoralizacji, choć wcześniej wcale tu lepiej nie było. W okolicy królował pegeer, wioska była biedna i zacofana. A ludzie od wieków pili. Kiedyś pewnie więcej niż teraz...

– Ale to właśnie teraz przodujemy na niechlubnej liście ofiar zamarznięć – zauważyła przytomnie.

– No tak. – Pokiwał niechętnie głową. – Przypadek. Po prostu pech. Do tego zima

naprawdę ciężka. Tak się złożyło. Oby nam tylko nie wybuchła panika...

– A może właśnie lepiej, żeby wybuchła? Przynajmniej ludzie by bardziej uważali.

– Może i masz rację – przyznał.

– Tylko urzędnicy nie chcą tego dostrzec, co?

– Wiadomo. Woleliby, żeby takie informacje się nie rozeszły.

– Ale i tak się rozejdą! Tego przecież nie da się ukryć. Powinni bardziej skupić się na zapobieganiu, nie na wizerunku!

– Racja.

– Wiesz, mnie tu coś zgrzyta. I ten ślad... We wcześniejszych przypadkach nie było takich podobnych śladów obok nieboszczyków?

Aspirant się zastanowił.

– Nie wiadomo. Wtedy non stop sypało. Poza tym nikt tego nie dochodził. Okoliczności śmierci wydawały się oczywiste, czyli naturalne...

– A teraz się takie nie wydają? – podchwyciła.

– Nie łap mnie za słówka, Felicjo! – Zaśmiał się. – Bez pochopnych wniosków! Teraz inaczej do tego podchodzimy. Za dużo tych przypadków. I tyle.

– Okej...

– To co, wracamy?

Dziennikarka jeszcze raz rozejrzała się wokół, chłonąc nastrój tego miejsca.

– Wracamy. – Skinęła głową.

FELICJA

Głupia sprawa, ale ta „wycieczka” do lasu zapisała się w mojej pamięci, i to niemal sentymentalnie, pomimo okoliczności, dość w końcu makabrycznych. W ten sposób jednak zwykle działa na mnie las, a tym wypadku może także obecność u mego boku młodego policjanta; nie ukrywam, że miło się na niego patrzy. Oczywiście jest ode mnie co najmniej z dychę młodszy, więc ewentualnych brudnych myśli wystrzegam się pilnie. Jednak czemu się nie pogapić? Chłopak jak malowany, wzroku przecież nie odwrócę, jestem estetką. Greta utrzymuje z przekonaniem, że Zygmunt Ryba od samego początku się we mnie „podkochuje”. Pewnie zdziwiona, że ktoś wreszcie nie podkochuje się w niej. Ha! Myli się. Nawet jeśli sam aspirant jeszcze o tym nie wie, ma to niewiele wspólnego z miłością. Prędeż z ciekawością. Facet ma dookoła tabuny chętnych młodych dziewczuch do kochania. Mnie po prostu lubi. Być może jest zresztą jedyną osobą w tym miasteczku, która czuje do mnie szczerą, autentyczną i niekłamana sympatię. Oczywiście, oprócz Grety. Bo wiem, że Greta również mnie lubi, zresztą z wzajemnością. I to od lat. Jest dla mnie siostrą, matką, przyjaciółką, terapeutką, spowiednikiem, katem. Symbolicznym katem, ale katem. Wszyscy go od czasu do czasu potrzebujemy, nie tylko bezkrytycznego wsparcia. Nie wiem, kim ja jestem dla niej. Być może tym samym. To nawet bardzo prawdopodobne. Fakt, że niejednokrotnie działamy na siebie wzajemnie jak płachta na byka – jesteśmy urodzonymi przeciwnościami – jednak się zdecydowanie lubimy.

Tak więc mój pobyt tego dnia w lesie był bogaty we wrażenia estetyczne, a poza tym owocny. Po raz pierwszy znalazłam się na miejscu... czego? Zdarzenia? Wypadku? A może zbrodni? Bo nie ukrywam, że już tamtego dnia coś mnie tknęło i nie chciało odpuścić. Czułam to. Coś w rodzaju wibracji. No dobrze, można to nazwać przecuciem. Coś tu było nie w porządku, coś mocno nie grało. I wcale nie chodziło o te ślady. Oczywiście ślady były ważne, choć mogły oznaczać wiele. Nawet rzeczy zupełnie niewinne. Jednak wówczas jeszcze nie myślałam tak racjonalnie. Bardziej zadziałała na mnie aura tego miejsca niż realne okoliczności. Choć chyba sami przyznacie, że jedna śmierć przez zamarznięcie po drugiej na tak małym obszarze – choćby i w czasie ostrej zimy – nie sprawia wrażenia czegoś realnego ani nie wydaje się naturalna.

I o to właśnie wrażenie chyba mi wtedy chodziło...

Kryszewo, styczeń

Tego dnia pogoda była mroźna, lecz piękna. Na tle iskrzącej bieli zabudowania miasteczka wydawały się jeszcze bardziej kolorowe, odrealnione i bajkowe – jakby zostały wybudowane z klocków lego – a okoliczne wzgórza zbliżyły się optycznie, jeszcze ciaśniej otulając je swoim pierścieniem. Za nagimi konarami ogołoconych z liści drzew widniała zamarznięta i pokryta śniegiem tafla jeziora. Na szczęście stąd nie dało się dostrzec osiedla nowych bloków, które miała za plecami, bo zdecydowanie zepsułoby efekt. Felicja swoim zwyczajem zatrzymała się w pół drogi, by chłonąć krajobraz i magię miejsca, w które rzucił ją los. Pstryknęła nawet kilka zdjęć smartfonem. Może da się je wykorzystać na stronie internetowej, na przykład w raporcie o pogodzie. Ludzie lubią obrazki. Prędko jednak podążyła dalej, ponieważ trudno było stać zbyt długo na takim mrozie: termometr nadal wskazywał około minus dwudziestu stopni, i to pomimo świecącego dzisiaj od rana słońca. Nawet chwila bezruchu powodowała brak czucia w stopach. Chowając ręce w kieszeniach, szła szybkim krokiem w kierunku urzędu gminy, gdzie spodziewała się zastać jeszcze Gretę, która tego dnia, zaraz po posiedzeniu rady gminy, miała tam swój cotygodniowy dwugodzinny dyżur dla mieszkańców. O tej porze zapewne nie będzie już interesantów, Greta jednak i tak siedziała zwykle dłużej, niż musiała. Na wpół opustoszały urząd zdawał się idealnym miejscem do rzeczowej rozmowy. A to, co miała jej do zakomunikowania, wolała załatwić właśnie na neutralnym gruncie, zamiast w położonym wysoko na wzgórzu, ponad jeziorem, luksusowym prywatnym domu koleżanki. Tam Greta z pewnością zagadałaby ją i zmiękczyła, urobiłaby ją jak zwykle po swojemu, pojąc doskonałą kawę oraz karmiąc czekoladowymi ciasteczkami własnej roboty. Skądinąd Felicja wiedziała, że wypiekami w domu Pazików zajmowała się dochodząca gosposia, jednak Greta z uporem utrzymywała, że są one „własnej roboty”.

Na parkingu przed urzędem zauważyła niebieską hondę Grety. Weszła do budynku i już w holu się zorientowała, że dobrze wymierzyła czas. Korytarze urzędu były puste i ciche, jednak drzwi do sekretariatu rady gminy pozostawały otwarte i dochodził stamtąd wyraźnie niski, mocny głos przyjaciółki. Znak, że Greta – już po pracy – gawędzi sobie w najlepsze z sekretarką.

– O, co ty tu robisz? – zdziwiła się radna na widok Felicji. – Już po dyżurze. Nie mówiłaś, że chcesz dziś tu przyjść...

– Chciałabym chwilę pogadać.

– Teraz? Tutaj?

– Nie zajmę ci dużo czasu. Dosłownie chwilę.

Greta pokręciła głową zniecierpliwiona.

– A nie możemy jechać do mnie? Chciałabym wreszcie znaleźć się w domu,

odpocząć. Zresztą pani Zosia też się już pewnie zbiera...

Sekretarka, ładna tleniona blondynka po czterdziestce, spieszyła się.

– Nie, niestety nie. Muszę jeszcze spisać protokół. Ale możecie panie chwilę tutaj posiedzieć, a ja wyskoczyłabym w tym czasie do sklepu, bo później mi zamkną.

– Oczywiście – podchwyciła Felicja, mimo że Greta nie wyglądała na uszczęśliwioną. – Dziękujemy.

– Jakby co, pani Greto, zamknie pani pokój, a klucz zostawi na portierni, dobrze?

– Zaczekam na panią – warknęła radna ze sztucznym półuśmiechem, opierając się o biurko. W świetnie skrojonym liliowym kostiumie wyglądała wyjątkowo szykownie. – No to o co chodzi? – zaatakowała, gdy sekretarka już wyszła.

Felicja usiadła na krześle dla petentów.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że przemyślałam sobie wszystko i... nie będę robiła rabanu o te zamarznięcia, tak jak sobie życzyłaś... – zaczęła. Jednak zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, Greta jej przerwała:

– Świetna decyzja, Felicjo! Wiedziałam, że będziesz rozsądna.

– Nie skończyłam jeszcze. Będę dyplomatyczna, choć jak wiesz, przychodzi mi to z trudem. Dyplomacja jest raczej twoją mocną stroną, nie moją. Jednak spróbuję, oczywiście zastrzegam, że kłamać ludziom w żywe oczy także nie będę. Ale...

– Ale? – czujnie zareagowała radna.

– Ale zamierzam przyjrzeć się tej sprawie bliżej. Byłam na miejscu ostatniego zdarzenia i są pewne poszlaki... mniejsza o to. Niepokojące poszlaki. Zapytaj Rybę. Niepokoją mnie te wszystkie przypadki, że jest ich tyle. Chciałabym się tym zająć.

Greta gwałtownie oderwała się od biurka i usiadła na drugim krześle, ustawiając je na ukos, by widzieć twarz przyjaciółki. Chcąc nie chcąc, Felicja zrobiła to samo, chociaż dzielący dystans wydał jej się teraz zbyt mały.

– Masz zamiar prowadzić własne śledztwo?! – podchwyciła radna.

Dziennikarka wzruszyła ramionami.

– To chyba za mocno powiedziane – odparła ostrożnie. – Zamierzam tylko przyjrzeć się temu bliżej. Pogadać z ludźmi. To mój zawód, a sprawa jest...

– Rozumiem. Ale czy nie mogłybyśmy pojechać do mnie i pogadać spokojnie przy kawie?

– Odwal się ode mnie wreszcie z tą swoją kawą! – obruszyła się Felicja. – Żebyś na własnym terytorium owinęła mnie sobie wokół małego palca, tak? Nie chcę. Nie mam czasu, robota czeka. Otwarcie ci mówię, co planuję. To chyba uczciwe? Możecie mnie wywalić, nie będzie to dla mnie niczym nowym. Przeżyję. Jednak w takiej sytuacji też nie odpuszczę i nadal będę się tą sprawą zajmować. Mam do tego prawo. Mogę ci tylko obiecać, że zebranych informacji nie użyję niezgodnie z interesami gminy. Ani bez twojej wiedzy – dodała polubownie. – Chcę je zebrać na potrzeby ewentualnego reportażu, niekoniecznie zresztą dla gazety gminnej.

Greta milczała, bębniąc wypielęgnowanymi paznokciami o oparcie krzesła. Felicja mimochodem zerknęła na własne dłonie. Jej paluchy w porównaniu z dłońmi przyjaciółki przypominały surowe serdelki.

– Stawiasz mnie pod ścianą – odezwała się wreszcie radna. – A do tego oczekujesz, że będę cię osłaniać.

– Nie oczekuję.

– No dobrze. Ale zdajesz sobie sprawę, że nie tylko o mnie tu chodzi, tylko o politykę gminy. Ja cię akurat rozumiem. Mnie też ta historia intryguje. Jeśli obiecasz mi, że będziesz ostrożna, to ci nawet pomogę...

– Niby w jaki sposób?

Greta się roześmiała.

– A jak, kretynko, zamierzasz jeździć po tych wszystkich zasypanych śniegiem siołach, żeby gadać z ludźmi? Autobusem nie dojedziesz, tym swoim małym truchłem tym bardziej nie, bo nadaje się tylko do robienia zakupów w mieście. Na piechotę? Prędzej staniesz się wtedy kolejną tragiczną ofiarą mrozów. Możesz korzystać z mojej starej terenówki. Nie używamy jej, ale jest sprawna. Nawet ma łańcuchy.

– Dzięki. Doceniam.

– Obym się tylko na tobie nie zawiodła.

– A zawiodłaś się kiedyś?

Spojrzały sobie w oczy.

– Nie. I dlatego jestem po twojej stronie. Tylko pamiętaj: muszę być o wszystkim informowana...

Felicja wstała.

– Jasne – zgodziła się. – Polecę już. Też idziesz?

– Zaczekam na panią Zosię. To kiedy zaczynasz?

– Jutro. Rano wpadnę po samochód. Jesteś naprawdę świetną radną, zawsze to powtarzam. Bye, bye!

Dziennikarka wyszła pośpiesznie, nie chciała wracać razem z Gretą i dalej wałkować tematu. Jeszcze się jej koleżanka rozmyśli. Albo będzie wypytywać. Poza tym Felicja miała wiele do zrobienia: musiała wszystko rozplanować, spisać dane, przemyśleć. Zadzwoić do Ryby. W drzwiach spotkała wracającą z zakupów sekretarkę. Pożegnały się grzecznie. Gdy tylko wyszła na zewnątrz, zauważyła, że znów się zmieniła pogoda. Nadeszły chmury, słońce zaszło. Zaczynało sypać, najpierw nieśmiało, drobnymi płatkami, ale nocą zapewne znów nadejdzie śnieżyca...

GRETA

Ta Felicja... Doprawdy, wyjątkowo lubię tę dziewczynę, wręcz ją kocham jak młodszą siostrę, ale czasem doprowadza mnie do szewskiej pasji. Musi, po prostu musi wiecznie zadzierać i podskakiwać! Inaczej nie potrafi. Jeśli ściągając ją tu, spodziewałam się sielanki, to chyba mi rozum odjęło. Oczywiście jest dobra, może nawet świetna w swoim fachu, a już na pewno najlepsza spośród dziennikarzy, których mielibyśmy szansę u nas zatrudnić. Ale ten brak pokory... Zawsze byłam zdania, że to pozytywna cecha w jej zawodzie, jednak teraz muszę przyznać, że niełatwo współpracuje się z kimś takim. My widzimy swoje, ona swoje. Zdenerwowałam się. Nie to, że chcemy zamykać oczy na nieprawidłowości czy nieszczęśliwe zdarzenia. Rozumiem przecież doskonale, że nie da się zamieść pod dywan tych przeklętych zamarzeń. Tyle że ona chce zrobić z tego medialne show! A to nie przysłużyłoby się naszej miejscowości. Od lat walczymy o jej wizerunek, o status najlepszej gminy w województwie. To ja odpowiadam za Felicję, to ja ją tutaj sprowadziłam, poręczyłam za nią. Teraz – jakby co – wszystkie gromy spadną na mnie...

Śledztwo sobie wymyśliła. Zamiast robić swoje i żyć tu jak u Pana Boga za piecem. Dlaczego tego nie przewidziałam? Czemu do tego dopuściłam? Przecież tak dobrze ją znam! Będzie ciągnąć ludzi za języki, szperać, myszkować, drażnić temat. Tego smarkacza Rybę już przekabaciła. Na pierwszy rzut oka widać, że patrzy w nią jak w święty obraz. Trudno się dziwić: jest atrakcyjna, choć o siebie nie dba, i do tego ma charakter. Młodzi chłopcy, a przecież Zygmus Ryba nie skończył nawet trzydziestki, od dzieciaka go pamiętam... no więc tacy młodzi chłopcy podziwiają tego typu kobiety. Dojrzałe, silne, twarde. Szkoda, że wyłącznie młodzi chłopcy, starsi chłopcy już zdecydowanie mniej. Felicja. Ona nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo jesteśmy podobne. Ja też zawsze taka byłam. Dokładnie taka sama: zadziorna, niepokorna, zdecydowana. Bezkompromisowa. Zawsze gotowa do walki. Inaczej nie osiągnęłabym obecnej pozycji. Bez niczyjej pomocy! Nikt mnie nie wspierał – tylko zwyczajni ludzie, moi wyborcy. Zaszłam wysoko, sama jak palec, za to z alkoholem u boku, jak z kulą u nogi. Dopiero później poznałam Przemysława, obecnego męża. Ułożyłam sobie życie na nowo. Stałam się tu kimś znaczącym. Zaufanym. Podziwianym. Ta gmina, praca na rzecz jej rozwoju, stała się całym moim życiem. Moim dziełem. A teraz – przez nią, przez Felicję, przez moją, o ironio, przyjaciółkę, którą sama dobrowolnie tutaj sprowadziłam na własną zgubę! – mogę to wszystko stracić. Co będzie, jeśli dokopie się zbyt głęboko? Jeśli dotrze do... tamtej historii? Nie mogę do tego dopuścić. To by była katastrofa. Ci cholerni pijacy sami się proszą o śmierć. Mój były najlepszym tego przykładem. Marnie skończył, choć przeżył, ale tylko z tego powodu, że córka go wzięła w obroty, inaczej zapiłby się

na śmierć. Skorzystał z ostatniej szansy, poszedł do klubu AA. Lusia go tam zaciągnęła. Córeczka, oczko w głowie tatusia. Choć tatuś niczego jej w życiu nie dał. Tylko dzięki niej ten ludzki wrak jeszcze jakoś ciągnie. Jednak zdążył zawalić wszystko: szlag trafił rodzinę, pracę, firmę, zdrowie. Teraz wygląda jak starzec i choruje na wątrobę. Na szczęście mieszka daleko ode mnie, więc go nie muszę oglądać, a bardzo możliwe, że córuś ściągnie go niebawem do Stanów, bo zamierza tam zostać na stałe, a tatusia przecież nie zostawi. Mamusię owszem, bo mamusia zła, nie pozwoliła zrobić z siebie ofiary, jak każe tradycja.

Felicja. Co ja narobiłam? Po co ją tu przyciągnęłam? Ona zawsze miała dobrze. Pochodzi z dobrego domu, z rodziny akademickiej, kulturalnej, inteligenckiej z dziada pradziada. O nic nie musiała walczyć w młodości, przeciwnie niż ja, więc teraz walczy z całym światem. Mogłam w końcu przewidzieć, że... Trudno. Stało się. Nic jej nie powstrzyma, ale jeśli będę zmuszona... przekonam ją. Jakoś. Mam przynajmniej nadzieję, że zdołam ją przekonać. Dla dobra wszystkich. Nie, w żadnym wypadku nie zaszkodzę Felicji. Jest dla mnie jak rodzina, znamy się sto lat. Będę ją ochraniać choćby wbrew sobie. Na tyle siebie znam.

Tylko co dalej?

Jak wysoką zapłacę za to cenę?...

Kryszewo, styczeń

Leopold Babel, 38 lat – Karczewki
Eugeniusz Miotke, 66 lat – Kryszewo
Franciszka Malinowska, 77 lat – Kryszewo działki
Jacek Gwint, 44 lata – Sosnowo
Antoni Brodak, 29 lat – Potulewko
Feliks Kowalski, 57 lat – Leśny Dół

Felicja przepisała sobie z komputera na kartkę papieru nazwiska ofiar zamarznień, począwszy od grudnia zeszłego roku (wcześniejszych nie było, ostatnia jesień akurat dopisała łagodną aurą, dopiero potem niespodziewanie nadszedł horror), ich wiek oraz miejscowości, w których za życia mieszkali. Cholera – zakłęła pod nosem. Prawie każdy z innej dziury. Będzie trochę jeżdżenia. Dobrze, że jest czym. Uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie Grety, kawał z niej żoły, ale po raz kolejny nie zawiodła. Dokładnych adresów dziennikarka nie miała, wołała jednak nie naciskać o nie aspiranta. Poradzi sobie sama. W tak małych pipidówkach każdy jej przecież wskaże drogę. Zamierzała zresztą nie tyle oglądać domy denatów, ile pociągnąć za języki rodziny i sąsiadów. Przyjaciół i wrogów. Z tego, co udało jej się już wstępnie ustalić, ci ludzie różnili się wiekiem, wykształceniem, pozycją społeczną. Byli wśród nich na przykład: bezrobotny kryminalista, wykwalifikowany robotnik budowlany, kloszardka, były sołtys z wykształceniem średnim. Nie spodziewała się niczego sensacyjnego, choć może udałoby się odkryć jakąś prawidłowość, z wyjątkiem tej jednej oczywistej, że wszystkich tych ludzi łączył pociąg do alkoholu. Ale może jednak coś więcej. Nie łaknęła sensacji. Jednak tak spektakularny wysyp zgonów zaintrygował ją do tego stopnia, że nie mogła przejść nad nim do porządku dziennego. Zawodowa ciekawość domagała się zaspokojenia. Zamierzała po prostu zebrać materiał, który – ewentualnie – da się później wykorzystać w reportażu. To była na razie luźna wizja, bez konkretów: etap researchu. Przecież trzeba ludzi przestrzegać. Choćby przed nimi samymi. Uczulać ich. Pokazywać problem, analizować go...

Przygotowała sobie lekką kolację i postanowiła iść wcześniej spać, tak by z samego rana – gdy tylko się rozwidni – odwiedzić pierwszą ze wskazanych miejscowości. Kluczyki do czarnego suzuki vitary Pazików miała już w kieszeni. Jutro musi je tylko zabrać z ich posesji, a to też kawałek drogi, w dodatku pod górkę. Po zalodzonej powierzchni, nawet jeśli posypali ją piachem, nie będzie to raczej miły spacer. Nic to. Oby tylko drogi okazały się przejezdne.

Leśny Dół, nazajutrz

Do Leśnego Dołu dojechała bez przeszkód. Główna szosa była na szczęście starannie odśnieżona i w miarę bezpieczna, gorzej z tymi bocznymi, jednak poczciwa stara terenówka poradziła sobie z nimi bez zarzutu. Felicja zdecydowała się pozostawić sobie Kryszewo na sam koniec, a w pierwszej kolejności odwiedzić dalsze miejscowości, tak by zdążyć przed kolejną zapowiadaną w mediach falą zawiei i zamieci śnieżnych. Niestety, nie zanosilo się na to, by zima szybko odpuściła. To pewnie kara za to, że w ostatnich latach wszyscy ustawicznie narzekali na brak śniegu – pomyślała. Uważaj, czego sobie życzysz, bo może się spełnić.

Na pierwszy ogień odruchowo wzięła ostatnią ofiarę. W jakiś przedziwny sposób czuła się z nią emocjonalnie związana. Tak jakby sam wcześniejszy pobyt w miejscu śmierci tego człowieka obligował ją do tego, w pewien sposób naznaczył. Wyjechała z lasu jak z tunelu i znalazła się nagle na pokrytej jaskrawym śniegiem płaszczyźnie. Zaparkowała na poboczu, przy wjeździe do wioski, na skraju lasu. Osada położona była w dolinie, na leśnej polanie, z każdej strony otoczona ścianą drzew, przede wszystkim wysokich sosen. Stąd wzięła się zapewne nazwa Leśny Dół, widoczna na tablicy przy drodze, zbędnej tu tak naprawdę, gdyż w pobliżu nie było przecież żadnej innej wsi ani nawet pojedynczych zabudowań. Sam Leśny Dół składał się z zaledwie kilku niewielkich gospodarstw, skupionych blisko siebie. Dawniej mieszkali tu zapewne pracownicy leśni, obecnie być może ich potomkowie lub też ludność napływowa, która przywędrowała w te okolice po wojnie. Nie dotarli tutaj jeszcze miastowi, choć sądząc po urodzie miejsca, stanie się to prędzej czy później. Dziennikarka wciągnęła nosem świeże balsamiczne powietrze i rozejrzała się wokół, podziwiając malowniczy krajobraz. Pstryknęła parę ogólnych ujęć. Następnie zawinęła szalik dookoła szyi i ruszyła pomiędzy domy. Mróz wciąż dawał się we znaki, być może z tego powodu maleńka miejscowość zdawała się pogrążona we śnie, tylko dym buchający z kominów wskazywał, że ktoś tam jednak żyje. Felicja zastanawiała się, co teraz robić: pukać do pierwszych lepszych drzwi czy raczej najpierw się po prostu przespacerować w nadziei, że po drodze kogoś spotka. Jej rozterki rozstrzygnęły się same, gdy zza zakrętu wyszła okutana grubym kożuchem starsza kobieta. Na widok obcej osoby zatrzymała się niepewnie, lecz po chwili pozdrowiła ją uprzejmie.

– Szuka pani kogoś? – zagała. – Czy może się pani zgubiła? Na tym bezludziu można zgubić drogę, oj, można. Wystarczy źle wjechać. A mróz tęgi, prawda? Ja do autobusu idę, na szosę, to może panią naprowadzę?

Felicja zdobyła się na ciepły uśmiech, choć czuła, że szczęki zeszywniały jej z zimna.

– Dzień dobry, z nieba mi pani spadła! Nie zabłądziłam. Szukam... – Postanowiła mówić szczerze, ludzie tutaj byli konkretni, nie lubili kluczenia. – Szukam domu Feliksa Kowalskiego. Jego rodziny.

Na życzliwej twarzy obcej kobiety pojawiła się rezerwa, może nawet podejrzliwość.

– Kowalski nie żyje – poinformowała krótko. – Od niedawna. Dlaczego pani go szuka? Jest pani krewną?

Karty na stół – zdecydowała dziennikarka.

– Nie, nic z tych rzeczy. Nazywam się Felicja Stefańska, jestem rzecznikiem prasowym gminy. Chciałabym o nim porozmawiać z osobami, które go znały.

– To pani prowadzi tę naszą gazetkę? Znam panią. To znaczy ze słyszenia, a gazetę czytuję, zawsze jak jestem na zakupach w miasteczku, to biorę nawet po kilka egzemplarzy, dla siebie i dla sąsiadek. Sama bym pani pomogła, ale trochę się spieszę, to jedyny autobus, który tędy przejeżdża, a potem muszę jeszcze jakoś wrócić. Żeby tylko w ogóle dojechał, bo przy tej pogodzie to różnie bywa. Nas już tu policja przepytowała, ale po co, to nie wiem, przecie on sam sobie zgotował swój los, dziwne, że dopiero teraz. Biedne chłopisko. Niech pani do Nowaka pójdzie, to trzeci dom po lewej, oni sąsiadowali ze sobą. Wszystko pani opowie, choć sam pijaczysko. Albo do Jaśkowiaka, po przeciwnej stronie drogi. Bo dom Kowalskiego pusty stoi, nikt tam teraz nie mieszka. Dopiero jakaś kuzynka z Niemiec ma przyjechać porządek tam zrobić, pewnie będą go chcieli sprzedawać. Nie obłowią się, do ruiny chałupę doprowadził, o obejściu nawet nie wspominając. Wszystko zniszczało, zarosło. Nie miał rodziny, to znaczy bliskich, sam był. Stary kawaler. Może to i dlatego to wszystko, w tych lasach człowiek nie powinien żyć samotnie. No, ale ja już muszę uciekać...

– A może pójdzie pani ze mną, potem panią autem zawiozę, będę wracała do miasteczka?

– No nie wiem. A długo to pani zajmie?

– Tyle, ile potrzeba na opowieść o panu Kowalskim.

Kobieta się zastanowiła.

– To wie pani co, niech już pani po domach nie chodzi. Tu każdy dba tylko o siebie. Ja chyba najwięcej mogę pani powiedzieć, bo gotowałam dla Feliksa i opiekowałam się nim, odkąd... Ale zapraszam do mnie na herbatkę z malinami i domową drożdżówkę. To niedaleko, tuż za rogiem. A potem mnie pani zawiezie. Stratna na tym nie będę, i tak powrotny mam dopiero za cztery godziny. – Zaśmiała się, ruszając przodem zakopaną w śniegu uliczką.

Felicja poszła za nią.

Dwie godziny później

Felicja wysadziła starszą panią pod supermarketem, dziękując jej za pomoc. Czuliła się przybita i zdołowana usłyszaną historią. Zgromiła się jednak w myślach. Do cholery! Nie powinna tak emocjonalnie do tego podchodzić, w końcu jest profesjonalistką. Na tej zasadzie nie da się pracować – trzeba nabrać dystansu. Odegnęła więc natrętne myśli, postanawiając, że wieczorem spisze to, czego się dowiedziała, i zadzwoni do Ryby, bo może mają już wyniki sekcji zwłok Kowalskiego. Teraz zdecydowała, że musi coś zjeść. Ciastem, choć było pyszne, tylko się przesłodziła, teraz marzyło jej się coś konkretnego, najlepiej na ostro. Może w sklepie u Renatki – wszyscy w miasteczku tak mówili, choć sklepik nosił oficjalnie nazwę: „Bochenek” – znajdzie się jakiś gotowiec do podgrzania w mikrofali. Miała po

drodze, więc od razu zajrzała. Renata Dudzińska układała akurat towar na półkach. W środku oprócz niej nie było nikogo. Dziennikarka odetchnęła z ulgą, po pierwsze, że nie będzie musiała stać w kolejce, a po drugie, uniknie natrętnych spojrzeń zgryźliwych dziadków.

– O, dzień dobry, pani Felicjo! Co podać? – Sklepiarka stanęła przy ladzie, gotowa do obsługi.

– Paczkę fajek, tych co zawsze. I czegoś na obiad szukam...

– Ale czego? Mam zamrożone udka kurczaka. A może białą kiełbasę?

– Nie jadam mięsa. – Felicja się skrzywiła. – Zresztą wolałabym gotowca, coś do odgrzania na szybko. Nie ma pani jakiejś pizzy?

– Jedną chwileczkę...

Sklepową zajrzała do zamrażarki, poszperała w niej chwilę, po czym wyprostowała się i rozłożyła ręce.

– Niestety. Miałam, ale wyszły. Już sobie notuję, żeby zamówić nową dostawę. – Wyjęła z szuflady swój pamiątkowy długopis–talizman z napisem *Ordnung muß sein* oraz gruby bloczek z samoprzylepnymi karteczkami. – Zostały nam tylko warzywa na patelnię... Ale przecież naprzeciwko ma pani pizzerię! Dają tam tanią i dobrą pizzę, i nie tylko, zwykłe dania obiadowe też serwują. Wiem, bo syn stale tam biega, ulubione miejsce naszej młodzieży i turystów. Niech pani spróbuje.

– Rzeczywiście. Chyba tam wreszcie zajrzę, do tej pory jakoś nie było okazji. To obok pubu, prawda?

Renata machnęła ręką, podając jej papierosy.

– Drzwi obok, w tym samym budynku, nawet właściciel ten sam. Do pubu niech pani lepiej nie idzie, tam same pijaki. O tej godzinie będzie ich pełno. I jeść tam nie dają, co najwyżej orzeszki do procentów. – Zaśmiała się. – Za to w pizzerii spokój. Ale widzi pani, miałam rację z tym biednym Kowalskim... – Odruchowo ściszyła głos, choć w pomieszczeniu nadal były tylko we dwie. – Tragedia!

– No, tragedia. – Dziennikarka pokiwała głową. – Kolejny tragiczny przypadek.

– Coś okropnego z tymi ludźmi. Że też w ogóle nie myślą!

– Puszczę ostrzeżenie do gazety. Choć co to da. Tak mi przyszło do głowy... Pani Renato, do pani przecież cała gmina przychodzi, ufają pani. Niech ich pani jakoś przestrzega. To pewnie lepiej się sprawdzi niż moje apele w prasie. Mnie tu uważają za miastową zdzirę.

– Co też pani... – zgorszyła się sklepową. – A jeśli chodzi o przestrzeganie, pani Felicjo, myśli pani, że tego nie robię? Ja ich przecież całe życie ostrzegam! I co z tego wynikło? Nic... Jak grochem o ścianę. Do mnie oni zresztą po wódkę nie przychodzą, bo nie prowadzę, co najwyżej po piwko. Za bardziej procentowym alkoholem łążą do samu. Pełno ich tam wystaje wiecznie przed sklepem, nawet mróz ich nie powstrzyma. Albo od razu do baru lecą, bo tam dostają na kreskę. Właśnie do tego pubu po drugiej stronie, tak szumnie nazywają teraz tę spelunkę, dawniej to po prostu była knajpa, a nie żadne wymysły, co by brzmiało lepiej, a znaczy to samo. Pub, też coś! Myślałby kto, że zagranica. Piętnaście złotych pani płaci...

Felicja położyła odliczone pieniądze na ladzie, smętnie kiwając głową, bo słowa Renaty dokładnie oddawały obraz sytuacji.

– Proszę – powiedziała. – Ma pani rację. Przykre to. Chyba zajrzę do tej pizzerii, dzięki za radę. Do widzenia.

– Do zobaczenia, pani Felicjo, proszę do mnie zaglądać. Następnym razem będzie pizza mrożona, na pewno, zamówię większą ilość.

Pożegnały się. Dziennikarka przeszła na drugą stronę ulicy i stanęła przed pizzerią oraz klubem „U Zbycha”. Oba przybytki mieściły się w odnowionym starym warsztacie kowalskim, co dodawało im klimatu. W środku pizzerii panowała cisza, jednak lokal był czynny. Natomiast z pubu dobiegały podniesione głosy oraz donośne dźwięki disco polo. Zawahała się, po czym otworzyła drzwi. Te od pubu. Uderzyło w nią jednocześnie: ciepłe, śmierdzące nieprzetrawionym piwem powietrze, harmider oraz opary dymu z papierosów. Nikt tu najwyraźniej nie respektował żadnych europejskich zakazów palenia. I jeszcze do kompletu odór z klozetu. Na prawo, pod kiblem, słańiał się na nogach gruby zarośnięty facet z zakazaną gębą.

– Laluniu! – wybełkotał na jej widok, chwytając ją znienacka za łokieć.

Oswobodziła się jednym szybkim ruchem, zamykając za sobą drzwi. Następnie odwróciła się do rechoczącego mężczyzny.

– Posłuchaj, łajzo – oznajmiła spokojnie. – Tknij mnie brudnymi łapskami jeszcze raz, a nie odkleisz się od ściany.

Zostawiając za sobą oniemiałego pijaka, skierowała się prosto do baru, udając, że nie zauważa nagłej ciszy, jaka zapadła wraz z jej wejściem. Śledziło ją wiele par oczu. Umilkły nawet automaty do gry. Zrobiłam wejście smoka – zachichotała w duchu, zadowolona z efektu.

Młoda tłuściutka blondynka za bufetem przyglądała się jej spłoszonym wzrokiem. Wyglądało na to, że z wrażenia aż spłasowała.

– Coś podać? – wyszeptała.

– Tak. Najlepiej szefa na tacy. – Dziennikarka uśmiechnęła się do dziewczyny porozumiewawczo. Ta spłoszyła się jeszcze bardziej.

– Szefa? Eee... szefa nie ma, on tylko czasami tu zagląda. Jest za to kierownik...

– To proszę poprosić kierownika. Albo mnie do niego zaprowadzić.

– Chwileczkę... Roman! Roman, pani do ciebie! – zawołała głośno barmanka, odchylając kotarę za swymi plecami. Następnie, widząc, że goście nadstawiają uszu, ustawiła głośniejszą muzykę w radiu. Po chwili za barem pojawił się równie młody, za to chudy chłopak z krostami na twarzy.

– Czym mogę służyć? – zapytał szarmancko.

Felicja wyjęła swoją legitymację dziennikarską.

– Jestem... – zaczęła, lecz młody człowiek natychmiast jej przerwał.

– Wiem, kim pani jest – oświadczył z przymilnym uśmiechem. – Pani z gminy. Wszyscy tu panią znają!

– Serio? – zdziwiła się, chowając legitymację.

– Pewnie, że serio. To mała miejscowość. Więc...

– Czy macie monitoring?

Chłopak się zmieszał.

– No mamy – odparł. – Niby mamy. Tyle że... no...

– Co? Nie działa?

– Tak jakby – dokończył niepewnie, ściszej głos. – To droga sprawa te kamerki. Jak raz nawaliły, to... no, rozumie pani. Od lata czekają na naprawę, ale na szczęście nasi klienci o tym nie wiedzą, więc się pilnują. Już tu były gliny i o to samo nas pytały.

– Gliny? Kiedy? – zdziwiła się.

– Dzisiaj rano. Taki młody od nas z komisariatu.

– Wysoki brunet? Aspirant Ryba?

– O, ten, ten! – potwierdził zadowolony kierownik.

– O co jeszcze pytał?

– Czy nikt się koło pubu nie kręcił. To znaczy spoza naszej klienteli. Ale nikogo takiego nie zaobserwowaliśmy. I o... no... o tych klientów, którzy... no, wie pani.

– Ofiary ostatnich mrozów?

– Tak, właśnie.

– Znał pan ich wszystkich? Bywali tu, tak?

– No, bywali. – Chłopak pokiwał głową. – Prawie wszyscy. Oprócz tej babinki z działek, ona tu nie przychodziła. Nie wiem, skąd brała alkohol, chyba zebrała. Mówię, bo ten policjant też o to pytał. Reszta to byli nasi stali klienci.

– Tutaj imprezowali, zanim zamarzli?

– Tego nie pamiętam, czy akurat wtedy. Kowalski tak. Ten, co był sołtysem. Stąd wyszedł i ślad po nim zaginął. Dopiero go potem w lesie znaleźli.

– To wiem.

– No. A jak reszta, to już nie pamiętam. Ale możliwe. U nas alkohol tani – pochwalił się – to i przesiadują całymi popołudniami, aż do nocy. Zamykamy niby o dwudziestej trzeciej, ale szef kazał, żeby siedzieć do ostatniego klienta. Nawet w zimie. Dlatego zatrudniają tylko miejscowy personel.

– Ale nie narzeka pan? – zauważyła ironicznie.

Wzruszył ramionami.

– Pracę należy szanować – odparł.

– Racja – przyznała. – Poproszę o małą szkocką.

– Się robi! Krystyna, podaj pani! Na koszt firmy, oczywiście! – Na twarzy chłopaka wymalowała się niekłamana radość. Wreszcie znalazł się na pewnym gruncie. – W takim razie, no... jeśli to już wszystkie pytania, to ja bym wrócił do pracy...

– Tak, to wszystko, dzięki.

– Do widzenia. Proszę do nas zaglądać, zawsze będzie pani mile widziana i obsłużona! – Wycofał się z widoczną ulgą za kotarę.

Gdy Felicja zapytała, czy wolno zapalić, barmanka bez słowa postawiła przed nią ciężką szklaną popielniczkę. Dziennikarka przyjęła szklaneczkę, zapaliła i rozejrzała się dyskretnie. Kilkanaście par oczu nadal wpatrywało się w nią w milczeniu. Nawet dziewczyna za barem łypała w jej stronę co chwila, odwracając wzrok natychmiast, gdy tylko ich spojrzenia się zetknęły. Felicja wypaliła papierosa do połowy, zgasiła i dopiła whisky. Następnie podziękowała i wyszła, odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami. Tym razem nikt jej nie zaczepiał.

Weszła naprzeciwko do pizzerii i zamówiła pizzę z tuńczykiem i kaparami.

– Średnią? – zapytała dziewczyna z obsługi.

– Dużą. Jak szaleć, to szaleć.

W tym lokalu było z kolei pusto, spokojnie i przytulnie. W kominku buchał ogień, wyłożone drewnianą boazerią ściany ozdabiałały reprodukcje obrazów. Całkiem inny klimat niż surowe i dość niechlujne wnętrze pubu. Felicja zajęła stolik.

– Co tu tak pusto? – zapytała, gdy kelnerka przyniosła jej pachnący placek.

– Jeszcze za wcześnie – wyjaśniła dziewczyna. – U nas bywa przede wszystkim młodzież. Po szkole. Pod wieczór się zapełnia. My głównie dowozimy pizzę na zamówienie, tutaj nie ma zbyt wiele miejsca – pozaliła się jeszcze. – Coś do picia? Mamy soki, napój firmowy, wodę mineralną, colę...

– Poproszę colę.

Dziennikarka miała wrażenie, że kelnerka również przygląda się jej z zaciekawieniem. Obsesja albo... szybka informacja – skonstatowała. Pizza smakowała równie dobrze, jak pachniała. Felicja poprosiła o ulotkę. Dobrze wiedzieć, że coś takiego jest tu w zasięgu, do tego w zachęcających cenach. Uroki prowincji.

Godzinę później

– Czemu mi nie powiedziałeś, że węszysz w pubie?! – zaatakowała, gdy tylko usłyszała w słuchawce głos Ryby.

Aspirant się zaśmiał.

– To moja robota – oświadczył z dumą pomieszaną z zakłopotaniem. – W końcu jestem psem, jak to się mówi. Ale wcale nie planowałem tam węszyć, tylko coś mnie tknęło, żeby wejść i popytać. Akurat przechodziłem w pobliżu. Ale co ty tam robiłaś, pani rzecznik? Chyba nie poszłaś na kielicha?

– Przy okazji. A co, nie wolno?

– Nikt ci nie zabroni – zachichotał. – Ty na mnie krzyczysz, a ja do ciebie dzwonię z informacjami. Tak jak obiecałem.

– Co masz?

– Mamy już wyniki sekcji Kowalskiego. Chłop zmarł na skutek wychłodzenia organizmu. No i miał prawie pięć promili we krwi. Nieźle musiał zatankować. Nawet gdyby nie zamarzał i tak mógłby od tego kojfnąć... przepraszam, zemrzeć. Tak à propos, doszły mnie słuchy, że zamierzasz jeździć po wioskach i wypytywać ludzi?

– Greta ci nakablowała? – wkurzyła się Felicja.

– W tak małej miejscowości wieści szybko się rozchodzą. Nieważne, to przecież nic złego. Też twoja robota, ja to rozumiem. Jakby co, uprzedź, chętnie się z tobą przejadę, jeśli tylko będę mógł.

– Dzięki, chyba jednak wolę nie. Spłoszysz ludzi, a przede mną może zechcą się otworzyć. Chcę się trochę rozeznać, zobaczyć, co to za środowisko, jakie rodziny... sam wiesz. Za to potem możemy sobie o tym pogadać. Ale zadziwiasz mnie! Co się dzieje? Czyżbyś nabrał wątpliwości?

– Wiesz, może. Nie mówię tak ani nie. Coś mi w tym wszystkim coraz mocniej śmierdzi. Technicy podobno potwierdzili, że to był ślad obcasa. To znaczy, ślady damskiego obuwia typu kozaczek. Na dziewięćdziesiąt procent. To oczywiście żaden dowód, ale... dziwne. Nikt się nie zgłosił mimo naszych apeli, które sama dwa razy zamieszczałaś. Owszem, różne telefony mieliśmy, niestety nic sensownego. Sami dowcipnisie albo świry. Zaczyna mnie to trochę męczyć, bo dochodzeniowcy z miasta nas olewają, więc pomyślałem, że nie zaszkodzi, jeśli sam trochę się temu przyjrę...

FELICJA

Ofiara: Feliks Kowalski, 57 lat, zamieszkały w Leśnym Dole.

Rodzina Feliksa Kowalskiego należała do napływowych, przybyła z wschodniej granicy, z terenów obecnej Białorusi – spod Grodna – i osiadła w miejscowości Leśny Dół zaraz po wojnie. Dziadkowie to byli prości ludzie, żarliwi katolicy, zabobonni, pracowali na roli, ale nie otrzymali zbyt dużo ziemi i klepali biedę. Mieli kilkoro dzieci, które wyemigrowały, głównie do Niemiec. Na gospodarstwie został jeden syn, ojciec Feliksa. Ożenił się z dziewczyną z sąsiedztwa: mało kto ją pamięta, tyle tylko, że w późniejszych czasach owdowiała, nie radziła sobie z życiem, rozpiła się, zaniedbując dom i dziecko. Kowalski pracował jako kierowca autobusów, zginął dość młodo w wypadku drogowym, gdy syn miał mniej więcej dziesięć lat. Feliks wychowywał się więc z matką alkoholiczką oraz zdewociałą i coraz bardziej zdziecinniałą babką (dziadek chyba już wtedy od dawna nie żył). Być może z tego powodu rozpaczliwie próbował wyrwać się z domu. Był zdolnym uczniem, skończył szkołę, zrobił nawet technikum mechaniczne, a później jeszcze jakieś kursy zawodowe. Mógłby spokojnie studiować, musiał jednak zarabiać, bo w domu panowała nędza. Dlatego od razu po maturze poszedł do pracy. Następnie pod sam koniec lat siedemdziesiątych wstąpił do partii, choć – jak to wówczas bywało – wcale nie popierał komuny, a nawet często dość otwarcie (oczywiście w prywatnych rozmowach) krytykował system. Uznał jednak, że to dla niego jedyna szansa na wyrwanie się z kręgu społecznego piekiełka, w którym od lat tkwiła jego rodzina. Raz jedyny pojechał z wycieczką – organizowaną przez jakieś lokalne koło – do Berlina Zachodniego. Do końca życia o tym opowiadał. Marzyła mu się praca na Zachodzie, nawet podejmował próby w tym kierunku, jednak nieudane. Został natomiast kierownikiem w jakimś zakładzie w Kryszewie, dawno już nieistniejącym, sąsiedzi pamiętają tylko, że był tam specjalistą od konserwacji maszyn rolniczych. Próbował także robić karierę w sporcie, skończyło się jednak na tym, że przez wiele lat społecznie pełnił tylko funkcję instruktora sportu dla młodzieży w wiejskim domu kultury. Nigdy się nie ożenił, choć był całkiem przystojny. Podobno przeżył zawód miłosny, rzuciła go dziewczyna, którą poznał na zawodach sportowych gdzieś w Polsce. Pochodziła z innego województwa, z dużego miasta, nie dogadali się, bo każde żyło swoim życiem i nie chciało się przeprowadzać, zmieniać pracy i tak dalej... no i nie wyszło. Chłopak bardzo to przeżył i od tej pory unikał dziewcząt, a i od innych ludzi trzymał się raczej na dystans. Mimo to nie pił jeszcze wtedy. Prawie wcale, tyle co na imprezach zakładowych. Starał się. Po śmierci babki i matki odziedziczył domek, odsprzedał pole, a w zarośniętym chwastem ogrodzie zasadził warzywa. Kwiatów nie lubił,

może budziły jakieś złe wspomnienia. Ponieważ sąsiedzi uważali go za człowieka kształconego, był poważany, został więc – mimo młodego wieku – wybrany na sołtysa Leśnego Dołu i funkcję tę pełnił przez wiele kolejnych lat. Niestety, gdy nadeszły przemiany ustrojowe, zakład, w którym był zatrudniony, przestał istnieć, a Feliks niemal z dnia na dzień stracił pracę i grunt pod nogami. O nową nie było łatwo, a z symbolicznego wynagrodzenia sołtysa nie dało się przeżyć. Tym bardziej z bycia społecznym instruktorem sportu. Zresztą wkrótce i to diabli wzięli, bo wiejski dom kultury upadł. Powstały na jego miejsce nowe kluby, tam go jednak nikt nie zapraszał. W tej odmienionej Polsce był tylko zwyczajnym wiejskim byłym aparaczykiem, a dzieciaki się z niego śmiały. Imponowali im młodzi instruktorzy, po AWF-ie, wyszczekani miastowi karierowicze. Imał się więc różnych zajęć, ale tylko dorywczo. Na etat gdziekolwiek nie miał szans. Brakowało mu dyplomów, nie znał języków, komputera nie potrafił obsłużyć. Maszyny rolnicze nikogo już nie obchodziły, bo rolnictwo w regionie przestało się liczyć. Zaczął dominować szeroko pojęty biznes, a on do biznesu głowy nie miał. Żadna partia już go nie chroniła, bo ona też przestała istnieć, w nowej się nie odnalazł: tam kariery robili wyłącznie krewni i znajomi królika. Zresztą przeszłość partyjna nie pomagała, wręcz przeciwnie, wypominano mu ją. Bezrobocie pożerało jego siły vitalne, ambicję, nadzieję, a w końcu też wiarę w siebie. Żył samotnie, gorzkniał, zaczął pić. Mimo że nienawidził swej matki właśnie z powodu jej alkoholizmu, coraz bardziej się do niej upodabniał. Wreszcie nadszedł dzień, gdy nawet na sołtysa już go nie wybrali. I tak marniał. Oprócz sąsiadki, która za młodu przyjaźniła się z jego rodzicami, nie miał go nawet kto wspierać. Był sam jak palec, bo kolegów od kieliszka trudno uznać za wsparcie. To starsza pani próbowała przemówić mu do rozsądku, a gdy się nie udawało, opiekowała się nim jak własnym synem, gotowała mu, prała, sprzątała i porządkowała obejście. Za darmo, bo pieniędzy albo Feliks nie miał, albo przepijał je w knajpie do ostatniego grosza. Któregoś dnia wpadł pod samochód – prawdopodobnie był pod wpływem – i z powodu urazu kręgosłupa otrzymał rentę inwalidzką, byle jaką, miał jednak za co pić. Więc pił. Na umór. Aż do samego końca...

Ostatni raz widziany w pubie w Kryszewie. Był nietrzeźwy, lecz wyszedł o własnych siłach tuż przed zamknięciem pubu. Stamtąd prawdopodobnie wracał do domu skrótem przez las. Tak jak to miał w zwyczaju.

Sąsiadka – pani Krysia – wiedziała, że to się źle skończy. Każdego dnia tego się obawiała. To się musiało źle skończyć.

Potulewko, nazajutrz

Potulewko okazało się maciupenką, chyba jeszcze mniejszą od Leśnego Dołu dziurą, zagubioną gdzieś pomiędzy bocznymi drogami, daleko od głównej szosy. Terenówka ponownie się sprawdziła, tyle że Felicja – pomimo nawigacji satelitarnej – miała spory problem z odnalezieniem na tych zasypanych śniegiem bezdrożach właściwej trasy. Gdy w końcu dotarła w miejsce, skąd widoczne już były zabudowania, okazało się, że dalszy dojazd do wsi jest całkowicie nieprzejezdny, spory kawałek musiała więc iść pieszo, pokonując zasypy śnieżne sięgające jej chwilami po uda. Wreszcie – biała i oblodzona jak bałwan – znalazła się na skraju zabudowanego podupadłymi ruderami osiedla. Znajdowało się tu zaledwie kilka zagród i – w przeciwieństwie do Leśnego Dołu – miejsce nie było malownicze. Wręcz przeciwnie. Biła od niego bieda, szarość, zaniedbanie, a cały krajobraz wokół stanowiły po prostu niekończące się, puste, pofałdowane, białe powierzchnie. Zapewne otaczające wioskę pola, teraz zasypane warstwami zmarzłego śniegu. Sprawiało to wszystko odrzucające wrażenie, wręcz przyprawiające o dreszcz. Pustka jak okiem sięgnąć. Jedyne na horyzoncie majaczyły jakieś nagie, wyglądające na uschnięte drzewa. I tu także, jak w Leśnym Dole, domy wyglądały jak wymarłe. Tylko psy ujadają, brzęcząc łańcuchami. Felicję zdjęła groza. Wyobraziła sobie, co czują nieszczęsne zwierzaki, uwiązane na tym mrozie w skleconych z byle czego budkach. Ile z nich zamarzło, tego nikt przecież nie odnotuje. Nikt się nie dowie. Zanotowała sobie w pamięci, by i ten temat poruszyć w najnowszym wydaniu gazety. Otrzepawszy dzinsy z bryłek śniegu i lodu, ruszyła do pierwszego z brzegu obejścia. Gdy drogę przebiegł jej czarny kot, od razu poczuła się lepiej. Dla niej nie oznaczało to żadnego „pecha”, na odwrót. Bratnia dusza na tym wygwizdowie. Kochała koty, zwłaszcza czarne. Lubiła wszystkie zwierzęta, jednak do kotów miała szczególny sentyment, jeszcze z dzieciństwa. W rodzinnym domu wychowywała się wraz z nimi, a jej ostatni – czarny – kocur, Kuba, odszedł niespełna dwa lata temu, ze starości. Żałowała, że teraz – w wynajętym tymczasowo pokoju – nie może sobie pozwolić na ich towarzystwo. Na szczęście gospodyni miała dwa szarobure „tygryski”, które od czasu do czasu ją odwiedzały. Kiedy zbliżyła się do na wpół drewnianej i chylącej się już mocno ku upadkowi chałupy, zauważyła, że w jednym z okien drgnęła poszarzała na tle wszechobecnej bieli firanka. Na jej stukanie nikt jednak nie zareagował. Wokół panowała głucha cisza, przerywana jedynie skrzypieniem jej własnych kroków oraz poszczekiwaniami psów w oddali. Zrezygnowana, skierowała się do kolejnej posesji...

Ta sprawiała wrażenie, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej zapuszczonej. Tym razem ktoś otworzył. W progu stanęła kobieta w średnim wieku, ubrana w warstwy swetrów, brudną kamizelkę i watowane spodnie. Była pijana. Mimo najszczerzych chęci nie udało się z nią porozumieć. Dziennikarkę ponownie

ogarnęła groza, gdy ujrzała wyglądające zza jej pleców dzieciaki, sztuk kilka, wszystkie odziane tak jak matka, z bezmyślnie półotwartymi buziami i gilami pod nosem. Zdawało się jej, że gile zamarzały, ale być może to tylko jej wyobraźnia podsuwała tak surrealistyczne myśli. Jednak po raz drugi zanotowała sobie, by zwrócić na ten dom uwagę opiece społecznej. Co tam dom! – zwymyślała się w duchu. Na całą tę osadę... Ponieważ kobieta bełkotała na wpeł przytomnie i bez wyraźnego sensu, Felicja ruszyła dalej. Kolejna chałupa wyglądała nieco solidniej. Dziennikarka zastukała do drzwi. Dzwonków tu najwyraźniej nie znali. Po chwili po drugiej stronie usłyszała kroki. Stare drewniane skrzydło zaskrzypiało przy otwieraniu. W uchylonej szparze dojrzała małego, zasuszonego staruszka w wełnianej czapce na głowie.

– Pani tu czego? – zachrypiał nieprzyjaźnie.

Felicja się przedstawiła.

– Możemy porozmawiać o Antonim Brodaku?

– O Antku?...

– Tym, który ostatnio...

– Zachlał się na śmierć i skończył w rowie – dokończył za nią dziadek z nieskrywaną satysfakcją. – Jakie życie, taka śmierć. Ale już była paniusia w jego chałupie, widział ją przecie z okna. Co tu gadać, pani! To luj był! Człowiek, nie powiem, czasem se popije, bo co tu robić w zimowe wieczory, ale żeby tak stale? Młode ludzie, a dzieciów narobili, ino co z nimi tera będzie? Sama pani widziała te jego babe. A wchodź pani do sieni, bo się chałupa wychładza, to jo wszystko opowiem...

Godzinę później

Greta zatelefonowała, gdy Felicja dojeżdżała do Kryszewa. Droga powrotna minęła jej szybciej, jechała po własnych śladach. Nie zabawiła długo w domu staruszka, bo chciał ją uraczyć czystą wodą z niedomytej szklanki. Nic sobie nie robił z jej tłumaczeń, że przyjechała samochodem i musi jeszcze jakoś wrócić. Orzekł, że tu wszyscy jeżdżą po alkoholu, byle przytomności nie stracić, a co to jest jedna szklaneczka gorzały – tyle co nic. Najwyraźniej potrzebował kompana do picia. Dziennikarka pomyślała, że w tej wiosce mieszkają sami kandydaci na ofiary... czyje? Mrozów? Tajemniczej klątwy, o której plotkują miejscowi? Tak czy siak, dziadek zdążył udzielić jej ciekawych informacji, zanim sam się zamroczył. Po opuszczeniu jego chałupy usiłowała zajrzeć jeszcze do dwóch kolejnych, tam jednak nikt jej nie wpuścił. W pierwszej nawet drzwi nie otwarto, choć w oknie pojawiła się na moment czyjaś twarz, w drugiej jakiś dryblas odziany w połatany dres zwymyślał ją od najgorszych i zagroził, że psem poszczuje. Felicja widziała biednego małego kundelka, skulonego w prowizorycznej budzie. Obok stała upiornie brudna miska z resztkami jakiegoś zamarzniętego na kość jedzenia. Miała ochotę pobić zwyrodnialca, ten jednak zatrzasnął jej drzwi przed nosem, wrzeszcząc, że w gminie siedzą same darmozjady i pasibrzuchy. Wyglądało na to, że nikt w tej wsi nie

pracował. Wcześniej zagadką było dla Felicji, z czego żyją. A raczej, za co piją...

Odebrała telefon, zatrzymując się na poboczu w miejscu, gdzie zaczynały się pierwsze zabudowania Kryszewa, a droga była już odśnieżona.

– Czy wam już obojgu całkiem odbiło?! – usłyszała na wstępie. Radna chyba naprawdę była wściekła. – Tobie i temu smarkaczowi z policji? To ty go przekabaciłaś! Teraz ten też łązi i ludzi wypytuje, śledztwo sobie wymyślił... Na mózgi wam padło, z nudów chyba! Chcecie, żeby nam tu do kompletu panika wybuchła?! Skargę złożę na smarka, oficjalnie policja z Gdańska zamknie sprawę...

– Greta, zamknij się wreszcie – wtrąciła Felicja dobitnie. – Tak? Posłuchasz mnie przez chwilę spokojnie? Siedzę w samochodzie i marznę. Nie zamierzam jeszcze wysłuchiwać twoich wrzasków.

Usłyszała ciężkie westchnienie i wreszcie odpowiedź:

– Gadaj.

– Lepiej, żeby ludzie panikowali, niż zamarzali, prawda? Więc mi tu nie wymyślaj, tylko zastanów się, w jaki sposób temu zaradzić. Daj Rybie robić swoje. Od tego jest. Tak à propos wracam właśnie z Potulewka. Byłaś tam kiedyś? Wiesz, co to za koszmar? Tam wszyscy są chyba wiecznie pijani! Dzieciaki jak z dziewiętnastego wieku, brudne, zaniedbane. Trzeba by tam skierować kogoś z opieki społecznej...

Greta zaśmiała się w głos.

– Oni są przez cały czas na garnuszku opieki społecznej! – odparła. – Cała wiocha.

– I z tego mają na alkohol?

– Pewnie. Dzieciom od ust odejmą, żeby się napić. Poza tym bimber pędzą. I zapewne nim handlują.

– To chyba nie jest w Polsce legalne?

– Nie jest. I co z tego? Kary za małe, poza tym co z nimi robić? Żadnej pracy przecież nie podejmą, to sieroty po PRL-u. Tam dawniej był pegeer, pewnie o tym słyszałaś. Do dziś mamy skutki: demoralizacja z pokolenia na pokolenie. Ale jeśli przecież coś muszą. Dzieciaki co jakiś czas łądują w pogotowich opiekuńczych, jednak większość wraca, bo panuje przekonanie, że każda rodzina jest lepsza od domu dziecka. Choć sama widziałaś. To się nigdy nie skończy, te dzieciaki dziedziczą patologię! Myślisz, że mamy na to jakiś wpływ?! Ech, nie znasz tych problemów...

– To może lepiej o nich pogadajmy, zamiast się kłócić?

– Innym razem. Nie teraz przecież, bo sama zamarzniesz gdzieś w polu. A ja muszę kończyć, mam huk roboty. Zajrzyj do nas przy okazji, zrobię jakąś kolację. Co?

– Może.

– Weekend?

– Zobaczymy. Ale...

– Felicjo, tylko bądź rozsądna. Proszę cię. Muszę kończyć, pa! – Radna rozłączyła się, najwyraźniej w pośpiechu.

Felicja ruszyła. Też się zdenerwowała. Na szczęście do domu nie miała już daleko. Czula się przemarznięta i miała ochotę na duży kubek gorącej herbaty z cytryną.

FELICJA

Ofiara: Antoni Brodak, 29 lat, zamieszkały w Potulewku

Niedługa to historia. O rodzinie Antka Brodaka niewiele wiadomo. Brak danych, skąd przybyli i kiedy dokładnie. Napływowi byli z pewnością. Dziadkowie i rodzice zamieszkali w Potulewku w czasie, gdy powstawał tam pegeer, a więc jakoś na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Tam też zostali zatrudnieni i jak większość pracowników napływowych otrzymali lokal w postaci baraku mieszkalnego, który rodzina zajmuje do dziś. W tej chwili – po śmierci Antoniego – pozostała w tym domu jego matka Krystyna, żona Daria (rok młodsza od męża) oraz czwórka dzieci w wieku od lat dwóch do dziewięciu. Ojciec opuścił rodzinę przed laty (gdy Antek był jeszcze chłopcem w wieku szkolnym) i nikt nie wie, co się z nim od tej pory działo ani gdzie w tej chwili przebywa. Matka oraz żona nigdzie nie pracują, matka ma rentę inwalidzką, choć – jak twierdzi sąsiad – zdrowa jest jak koń. Tyle że pije, podobnie jak żona Daria. Osobą, która otworzyła mi drzwi, była prawdopodobnie starsza z kobiet, jednak trudno powiedzieć na sto procent, bo podobno na oko trudno je rozróżnić. Cóż, jak wiadomo, alkohol robi swoje: zniekształca rysy twarzy, postarza i upodabnia do siebie ludzi. Daria Brodak korzysta z zapomogi, nigdy nie pracowała zawodowo, choć niby kończyła jakieś kursy na kasjerkę. Młodzi ludzie poznali się na wieczorku tanecznym w Kryszewie mniej więcej dziesięć lat temu i prawie od razu brali ślub (kościelny), ponieważ Daria zaszła w ciążę z pierwszym dzieckiem, potem przyszły na świat kolejne, w sumie czwórka małych dzieci: trzy dziewczynki i jeden chłopczyk (najmłodszy). Antek Brodak uczęszczał do zawodówki (budowlanki), jednak porzucił szkołę, gdy się ożenił, a wcześniej powtarzał dwie klasy. Zawsze miał trudności w nauce. Fach jednak zdobył na tyle, że zatrudniano go dorywczo na budowie i przy remontach. Zawsze coś tam zarabiał, więc mieliby na życie, gdyby tych pieniędzy nie przepijali. Lubili się bawić, często jeździli na dyskoteki organizowane w Kryszewie, wówczas dzieciakami opiekowała się babka wraz ze swoim konkubentem, a czasem zostawały tylko pod opieką najstarszej dziewczynki, dziewięcioletniej Ani, która zajmowała się młodszym rodzeństwem od lat. Babka ma w końcu dopiero po pięćdziesiątce i sama chce jeszcze też używać życia. Ania potrafi podobno sprawnie ubrać dzieciaki, zaprowadzić je na spacer, nawet nakarmić najmłodszego braciszka, a także ugotować prosty posiłek. Sąsiad twierdzi, że pod jej opieką maluchy mają najlepiej. Wraz z upływem czasu w rodzinie działo się coraz gorzej. W ciągu ostatnich dwóch lat Antek stale pił i wyrzucali go z każdej roboty. Podobno też kradł materiały budowlane z placów budowy i handlował nimi pokątnie. Tracił klientów. W końcu żyli głównie z pomocy społecznej. Dom Brodaków często odwiedzała policja,

zazwyczaj z powodu rozmaitych licznych awantur Antoniego. Dzieci dwukrotnie zabierano do pogotowia opiekuńczego, jednak za każdym razem Darii udawało się – dzięki pomocy Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej oraz sądu rodzinnego – odzyskać je. Co będzie z nimi teraz, po śmierci głównego żywiciela rodziny, trudno powiedzieć.

Antoni Brodak w ostatnim czasie niewiele przebywał we wsi. Pił głównie poza domem, bo, jak twierdził, pokłócili się z Darią. Ostatni raz widziany był w Kryszewie, dwa tygodnie temu, w godzinach wieczornych, gdy pobił się z dwoma kolegami przed pubem. Był pod wpływem alkoholu, zataczał się. Rozdzielono ich i jeden z kolegów próbował zatrzymać Antka, ten jednak wyrwał się i obrzucając go przekleństwami, oznajmił, że wraca do domu, by „przylać żonie”. Żadnych perswazji nie chciał słuchać, zawsze był uparty. Tamtej nocy było ponad dwadzieścia stopni mrozu. Jak poszedł, tak nikt go więcej nie widział, dopiero dwa dni później przypadkowy przechodzień odkrył jego zamarznięte zwłoki w przydrożnym rowie, w miejscu, gdzie nieczęsto ktoś się zapuszcza (Antek próbował zapewne dojść do Potulewka na skróty). Przez te dwa dni w ciągu dnia sypał gęsty śnieg, tak więc ciało zostało przykryte dość grubą białą warstwą. Gdyby nie przypadek (czerwony plecak wystający spod śniegu, jak się potem okazało – skradziony), mogłoby zostać nieodnalezione nawet do wiosny.

Sąsiad, który najwyraźniej sam nie był świętoszkiem, powiedział, że „sprawiedliwości stało się zadość”.

Tylko co to za sprawiedliwość?...

Kryszewo, styczeń

– Mogłem ci to samo sam opowiedzieć. – Ryba odłożył wydruki na stół. – Mam w małym palcu te historie. Myślisz, że tego nie sprawdzaliśmy? Poza tym nie zapominaj, że jestem stąd. Znałem tych ludzi w większości osobiście. Nie musiałaś tarabanić się w śniegu na koniec świata.

– Ale chciałam zrobić to sama – odparła Felicja z rezygnacją.

Policjant pokręcił głową, jakby była niesfornym dzieckiem.

– I nie masz już dość? – zapytał kpiąco. – Powiem ci jedno: tło jest we wszystkich tych przypadkach identyczne. Łączyła ich woda i nieudane życie. Mówię ci, daj sobie spokój. Streszczę ci, co powinnaś wiedzieć. Już i tak jeden pijak szczuł cię psem! A mogło być jeszcze gorzej. To menele, nic na to nie poradzisz, takie środowisko. Po co się masz narażać?

Felicja sięgnęła po swój kieliszek wina. Było cierpkie, kwaśne, choć niby dobrej marki. A może to jej było kwaśno.

– Zobaczymy – mruknęła bez przekonania, bawiąc się kieliszkiem. Zauważył to, i dołał jej wina.

– Tylko o tej kloszardce niewiele wiemy, bo pojawiła się na tych działkach nie wiadomo skąd. Resztę znałem. Ten Brodak był wielokrotnie notowany: bójki, kradzieże, jazda rowerem po pijaku... Zresztą ta jego dziunia też nie lepsza. Kradła w sklepach samoobsługowych. No po prostu masakra.

Pokiwała głową. Co tu dodać? Faktycznie – masakra. Rzeczywiście. Spodziewała się różnych rzeczy, ale chyba jednak słabo znała wiejskie realia.

Aspirant niespodziewanie złożył Felicji wizytę, po tym, jak zajrzała do komisariatu, by dowiedzieć się, co naprawdę miał na sumieniu Antek. Nie zastała go, jednak młoda policjantka z recepcji musiała mu o tym wspomnieć, bo pojawił się pod wieczór z butelką wytrawnego czerwonego wina. Jeśli spodziewał się kolacji – pomyślała – to srodze się zawiódł. Felicja znów miała pustą lodówkę, ponieważ nie zdążyła zrobić zakupów. A raczej nie miała na nie siły. Sklepek Renaty był już zamknięty, a do najbliższego supermarketu za daleko, kiedy ma się przemarznęte na kamień wszystkie cztery kończyny. Podała do wina wyłącznie solone orzeszki. I tak cudem się uchowały. Ryba wydawał się jednak zadowolony. Poprosił, by opowiedziała o rezultatach swoich wywiadów, dała mu więc notatki do przeczytania, a on obiecał, że odpowie na jej pytania. Siedzieli już tak razem ponad godzinę, atmosfera była całkiem przyjemna. Musiała przyznać, że dobrze się czuje w towarzystwie młodego policjanta. A w ciemnozielonej polarowej bluzie wyglądał jeszcze lepiej niż w mundurze. Zauważyła, że jego oczy mają intrygujący niebieskozielony odcień – czasem wydawał się on bardziej niebieski, czasem bardziej zielony – zdecydowanie pasujący do naturalnie ogorzałej twarzy i ciemnych włosów.

Jej własne oczy były zawsze takie same, zwyczajne, po prostu szarobłękitne. Jak nasze morze w pochmurny dzień, zwykł mawiać jej tata, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Tymczasem nie do końca określona barwa oczu aspiranta fascynowała ją...

Co nie znaczy, że ją to obchodzi. Tak tylko zaobserwowała. Chłopak jest dla niej zdecydowanie za młody.

– No dobra, to opowiadaj. – Westchnęła. – A ja będę robiła notatki.

– O czym? – Zaskoczony, oderwał się od kontemplowania prowizorycznej półki z książkami, którą powiesiła nad biurkiem. Książek wciąż przybywało, choć cały ich liczny zbiór zostawiła w Gdańsku. Tutaj miała tylko te potrzebne jej do pracy oraz kilka powieści kryminalnych, bez których by nie zasnęła.

– Jak to o czym? Sam mówiłeś, że znałeś te ofiary. Przynajmniej trzy z nich, bez tej z ogródków działkowych.

– Czujna jesteś!

– Pewnie. Zawsze uważnie słucham, co się do mnie mówi. No to zaczynajmy, bo szkoda czasu.

FELICJA

Ofiary: Leopold Bąbel, 38 lat – Karczewki, Eugeniusz Miotke, 66 lat – Kryszewo, Jacek Gwint 44 lata – Sosnowo.

Rodziny Miotków i Gwintów są miejscowe, Miotkowie mieszkali w Kryszewie od czasów przedwojennych, mają niemieckie korzenie, choć po wojnie już mieszane. Dawniej chłopi na gospodarstwie, obecnie nie wiadomo kto. Gwintowie prawdopodobnie też wywodzą się z Kaszub, choć z innej gminy, w Sosnowie zamieszkali rodzice Jacka, bo podobno ojcowizny zabrakło. Trudnili się, czym popadło, rodzice Eugeniusza Miotke pracowali w pegeerze, on sam najczęściej był bezrobotny, choć od czasu do czasu zatrudniał się przy remontach i do pomocy w ogrodnictwie. Ostatnio na rencie, ponoć chorował na oczy. Tak naprawdę rodzinę utrzymywała żona, Eulalia, o ile mąż nie podebrał jej pieniędzy na wódkę. Miotke ma – a raczej miał – dwoje dzieci, z których jedno zmarło na zapalenie płuc, gdy było małe (syn), a drugie (obecnie dorosła córka) kilka lat temu wyjechało na stałe do Niemiec i rzadko odwiedza rodzinne strony. Eugeniusz zasłynął z tego, że po pijanemu znęcał się nad rodziną, a żonę bił do swojego niechlubnego końca. Podobnie Leopold Bąbel, który należał do „pierwotnych” napływowych. Jego rodzina sprowadziła się w te strony po wojnie, otrzymali dom po Niemcach i kawałek ziemi. Wszystko szło względnie dobrze do przemiany ustrojowej. Potem z roli nie dało się już przeżyć, a Bąble do przedsiębiorczych nie należeli. Rodzice Poldka jakoś dotrwali do emerytury i teraz cienko przędą, ale przędą. Matka założyła szklarnię i sprzedaje warzywa na targu, w ten sposób sobie dorabiają. Tyle że z synem mieli gehennę: chłop pił na potęgę, rodziców traktował jak szmaty, żonę i dziecko tak samo. Na szczęście miał tylko jedno dziecko, czternastoletniego syna, który niestety idzie w ślady ojca: szkoła zawsze zgłaszała kłopoty z tym chłopcem, a ostatnio za kradzieże, bójki i wagary przesiedział rok w schronisku dla nieletnich. Ta rodzina miała założoną „niebieską kartę”, z uwagi na liczne interwencje w kwestii przemocy domowej. Wnioskowała o to żona Poldka, Sylwia Bąbel (lat ok. 35). Bo jeśli chodzi o rodzinę Eugeniusza Miotke, nikt nigdy niczego nie zgłaszał, żona Gienka wypierała się w żywe oczy, zawsze „spadała z drabiny” lub „uderzała w głowę” podczas wykonywania czynności domowych. Choć wszyscy sąsiedzi od lat wiedzieli, że jest maltretowana. W tej sytuacji nawet policja była bezradna. Teraz kobieta odetchnie, bo ma środki na skromne życie – pracowała w zakładach mięsnych, obecnie jest na emeryturze. Podobnie zresztą jak żona Bąbla, ta jest jeszcze młoda, nie pije, poradzi sobie, choć nie należy do zaradnych – pracy nie ma, brak wykształcenia i zawodu. Jednak pomagają jej rodzice i teściowie, bierze zasiłek na

dziecko, oby tylko z tym synem nie miała dalszych kłopotów, bo zaczyna dorastać, a przecież ziółko z niego.

Jeśli chodzi o Jacka Gwinta, to sytuacja jest nieco inna. Kawaler, mieszkał z matką. Matka wciąż go osłaniała i nawet po śmierci osłania, w jej mniemaniu był ofiarą perfidnych plotek. Ludzie twierdzą, że był gejem i miał skłonności do młodych chłopców. Trudno powiedzieć, jak było naprawdę, za rękę nikt go nigdy nie złapał. Ale coś może być na rzeczy, bo za młodu miał iść na księdza, nawet był jakiś czas w seminarium, jednak został z niego wyrzucony albo sam zrezygnował – to również jest niejasne. Matka – Henryka Gwint – utrzymuje, że odszedł, by pomagać jej na gospodarce (uprawiali kawałek pola, potem Henryka prowadziła coś na kształt gospodarstwa agroturystycznego, do tej pory tym się trudni – sprzedaje bardzo dobre sery własnej roboty). Syn rzeczywiście ją wspomagał, jeśli akurat nie pił. Coraz częściej miewał swoje „tygodniówki”, podczas których szedł w cug i znikał z domu na wiele dni, imprezował wtedy gdzieś w mieście, czasem też w pubie w Kryszewie. Wszyscy trzej zmarli tak samo: jako kolejne ofiary mrozów, w stanie upojenia alkoholowego. Gwint i Bąbel w odludnych miejscach, prawdopodobnie w drodze do swoich wsi, Miotke niemal w centrum Kryszewa, w parku.

O kobietę z działek najlepiej popytać działkowiczów i mieszkańców Kryszewa (działki położone są na jego skraju, ludzie muszą ją pamiętać).

CZEŚĆ II

Wtedy lustro zadrżało tak strasznie, że wypadło im z rąk na ziemię, gdzie rozprysło się na tysiące milionów, bilionów i jeszcze więcej okruchów. Teraz dopiero wyrządzili o wiele większą krzywdę niż przedtem, gdyż niektóre kawałki były mniejsze od ziarenka piasku i pofrunęły daleko w świat; gdy wpadły komuś do oka, tkwiły w nim, i wtedy człowiek ten widział wszystko na odwrót albo spostrzegał tylko to, co było w danym przedmiocie złe, gdyż każdy odłamek lustra miał tę samą właściwość co całe lustro; byli ludzie, którym taki odłamek wpadał do serca, i wtedy działo się coś okropnego: serce stawało się jak kawał lodu.

Kryszewo, styczeń

Nadeszła sobota, a z nią mroźny wiatr, który hulał wściekle przez całą noc i dalej – nieco tylko osłabiony – z impetem szarpał drzewa, przygniatał ludzi do ziemi, a śnieg wznosił tumanami ku niebu, tworząc mleczone zadymki w powietrzu, tak gęste, że nikt już nie wiedział, czy to sypie z góry, czy z dołu. W takich warunkach w godzinach południowych odbywał się na kryszewskim cmentarzu parafialnym pogrzeb Feliksa Kowalskiego. Felicja dowiedziała się o nim przypadkiem, oczywiście w sklepie Renaty. Dudzińska – pakując jej do siatki bułki i twarożek – zapytała ją po prostu poprzedniego dnia, czy się wybiera, a aspirant Ryba potwierdził, że rodzina Kowalskiego – czyli kuzynostwo, które specjalnie w tym celu przyjechało z Niemiec – uzyskała wreszcie pozwolenie na pochówek. Dziennikarka postanowiła się wybrać, choć trwający za oknem koszmar odstraszyłby każdego. Okazało się jednak, że nieskutecznie, ponieważ na pogrzebie był obecny chyba cały Leśny Dół, co najmniej połowa dość ludnego przecież Kryszewa, a także wiele osób z okolicznych wiosek i osiedli. Tłumy jak na ceremonii pogrzebowej jakiejś gwiazdy filmowej. Felicja wymierzyła czas tak, by ominąć uroczystości w kościele, trafiła więc od razu na kondukt pogrzebowy zmierzający wprost na położony za kościołem cmentarz. Wśród żałobników dostrzegła liczne znajome twarze, była tam między innymi Renata Dudzińska w czerni wraz z synem, bladym młodzieńcem o długich ciemnych włosach spiętych w kucyk oraz czerwonych uszach, bo chłopak zdjął czapkę i trzymał ją w ręku, gdzieś tam w tłumie mignęła jej sylwetka Zygmunta Ryby oraz przyszczonego kierownika pubu, tuż za trumną i rodziną w kondukcje szła Greta z mężem – oboje wyróżniali się ubiorem, a może nawet bardziej dystynkcją, tak jakby otaczał ich niczym aureola niemal namacalny majestat autorytetu i władzy. Już na cmentarzu uściskała ją zapłakana starsza pani z Leśnego Dołu, sąsiadka i przyjaciółka rodziny zmarłego. Ceremonia trwała krótko, bo wiatr dawał się mocno we znaki, nie sposób było wystać długo w takich warunkach. Dziennikarka zanotowała sobie w pamięci, by któregoś dnia pogadać z proboszczem, teraz jednak – widząc przed sobą młodego jeszcze człowieka – zwątpiła z celowość tej rozmowy. Nie za wiele jej powie. Może za to wpłynąć na ludzi, więc mimo wszystko któregoś dnia spróbuje. Podobnie bez sensu była rozmowa z „niemiecką” rodziną Kowalskiego, ponieważ nawet już dobrze języka polskiego nie znali, a zmarłego kuzyna w ogóle nigdy nie widzieli. Teraz za to odziedziczą dom, choć pewnie więcej będą z tego mieli kłopotów niż pożytku. Gdy trumna spoczęła już w dole – jakim cudem udało im się go wykopać w tej zmrożonej glebie, zachodziła w głowę – wycofała się dyskretnie z tłumu żałobników, jednak zawołała ją Greta. Nic nie ujdzie jej uwagi. Mimo szalejącej wichury wyglądała jak spod igły.

– Nie będziesz na stypie? – zapytała.

– Skąd, nikt mnie nie zapraszał, nie znam ludzi.

– Okej, jasne. My zajrzemy, rozumiesz... wypada, okazuje się, że nasze rodziny się znały. Ryba też się wybiera. Ale wieczorem jesteś u nas na kolacji! Punkt dwudziesta. Chyba nie zapomniałaś?

Felicja naturalnie zapomniała. Nie dała jednak tego po sobie poznać.

– Będę – odparła krótko, zarzucając na głowę kaptur, który zerwał z niej wiatr. – Lecę, bo cała zeszywniałam.

Boczną alejką opuściła cmentarz. Usta i dłonie całkowicie jej zgrabiały, a obecność na pogrzebie niczego interesującego nie wniosła. Ujrzała tylko ludzi ubranych na czarno, mających na głowie czapki i kapelusze. Na wielu twarzach malowała się bardziej ciekawość niż żaloba. Choć nawet twarzy za szalikami nie było dobrze widać, trudno wyczuć, co kto czuł i jak się zachowywał, pomijając rozpaczliwe próby osłonięcia się przed śnieżnymi podmuchami.

Wieczorem

Zostawiła terenówkę na podjeździe pod domem Grety i wąską, najwyraźniej dopiero co odśnieżoną ścieżką dobrnęła do drzwi. Wiatr już się wyszumiał, pozostały lekkie podmuchy. Tylko mróz nie zelżał – przeciwnie, dochodził do minus dwudziestu czterech stopni i zdawało się, że wciąż rośnie. Świeży, zmrożony śnieg skrzypiał pod butami. Felicja zerknęła na wyświetlacz komórki i stwierdziła, że jest trochę za wcześnie. Wyjechała z zapasem, obawiając się, że może mieć problem z dojazdem pod górkę. Trudno, nie będzie tu przecież stała na tym zimnie. Zadzwoiła do drzwi, po chwili usłyszała szybkie tupanie na schodach, dobiegające ze środka, po czym Greta jej otworzyła. Tyle że trochę inna, bo w znoszonym niebieskim dresie, w samych wełnianych skarpetkach, bez makijażu, z włosami związanymi jedynie w kucyk. Taka jak dawniej, kiedy się dopiero poznały.

– No wchodź, nie stójmy tak w tym przeciągu! Wcześnie przyjechałaś. Nie zdążyłam się przebrać. Idź do salonu, a ja zaraz będę gotowa, jedną sekundkę. – Zrobiła półobrót, by z powrotem wbiec na schody prowadzące do sypialni i garderoby.

– Spodziewasz się kompletu gości?

– Nie, masz być tylko ty...

– To zostań, jak jesteś, mnie się podobaś.

Przyjaciółka się roześmiała.

– Dobra, dobra. Zaczekaj w salonie, masz tam wszystko do drinków, nalej coś sobie. Zaraz wracam. Przemka jeszcze nie ma, musiał zajrzeć do firmy, ale na kolację powinien chyba zdążyć – oznajmiła i poleciała na górę.

Felicja skierowała się tymczasem do wielkiego jasnego pokoju otwartego na hol oraz kuchnię. Nalała sobie odrobinę wytrawnego wermutu i obeszła pomieszczenie dookoła, podziwiając wiszące na ścianach gustowne grafiki. Jeszcze lepiej prezentował się widok z okna, wychodzącego na pokryty śniegiem ogród wyglądający jak kawałek lasu, teraz nastrojowo podświetlony stylowymi

latarenkami. Z marmurowego kominka malowniczo buchał ogień. Greta rzeczywiście wróciła po chwili, odziana po domowemu w nowe granatowe dżinsy i różowy sweterek. Z lekkim makijażem – zauważyła Felicja. Ona sama nie zawracała sobie głowy strojem. Miała na sobie ocieplane sztruksy i obszerną bluzę z brązowego polaru. Co do makijażu, to nakładała go tylko w sytuacjach oficjalnych, na co dzień jej się nie chciało.

– Masz co pić? – zapytała radna. – Świetnie, to chodźmy do kuchni, będziemy gadać, a ja w tym czasie nałożę jedzenie. Wszystko mam gotowe, tylko do stołu trzeba nakryć.

– Catering? – Dziennikarka się uśmiechnęła.

– Wcale nie! Gospościa część przygotowała, ja dokończyłam. Możesz wierzyć albo nie, czasem sama gotuję. Jak mam czas.

Przeszły do ultranowoczesnej kuchni, gdzie Greta zaczęła się krzątać, zaganiając gościa na krzesło pod oknem.

– Czekaj, pomogę ci – zaproponowała Felicja.

– To ja wszystko ponakładam, a ty zmieszaj sałatkę z winegretem. Tam masz wszystko, na blacie.

Zajęły się każda swoją robotą, na moment zapadło milczenie. Felicja z zapałem mieszała warzywa z ostrym sosem, zachwycona faktem, że dla odmiany po serkach i mrożonych pizzach wchłonie odrobinę luksusu w postaci koktajlu z krewetek domowej roboty oraz bakłażanów w cieście, faszerowanych serem feta. Greta zdradziła jej szczegóły menu już wcześniej przez telefon. Ta myśl przypomniała jej z kolei o wydarzeniu dnia.

– I jak było na stypie? – zapytała.

Radna wzruszyła ramionami.

– Jak to na stypie. Urządzili ją w pubie, tylko kawa, piwo i fistaszki. No i ciasto do kawy. Rozmowy się nie kleiły, bo wiesz, nikt tam zbyt blisko ani ze zmarłym, ani ze sobą nawzajem nie był. Całe szczęście, że ci Niemcy nie obwiniają nas o żadne zaniedbania, rozumieją, że pogoda nie wybiera, u nich zresztą w tym roku też ciężka zima. Pojęcia nie mieli, że ich kuzyn w Polsce ma problem z alkoholem...

– Zdaje się, że w ogóle nie bardzo pamiętali o jego istnieniu?

– Też prawda. – Greta ułożyła w koszyczku różnego rodzaju pieczywo, po czym na elektrycznej kuchence ustawiła garnek. – Na początek proponuję supę krem z papryki. Lubisz?

– W życiu nie jadłam, ale już lubię! Pachnie zabójczo. – Felicja się uśmiechnęła.

– Dla mnie to też odkrycie. A jak twój research?

– A, właśnie! W zasadzie już zakończony. Została mi tylko jeszcze jedna osoba, ta kobieta z działek, ale to na miejscu. Więc mogę wam już zwrócić samochód. – Sięgnęła do kieszeni po kluczyki.

– No co ty, a jak wrócisz? Niby kawalek, ale przy tym mrozie... Nie, mowy nie ma. Masz go używać przez zimę. Po co ma stać? – zaproponowała Greta.

– Serio? Dzięki!

– I co takiego odkryłaś?

– Eeee... same smutne sprawy – odparła Felicja. – Bieda, patologia, brak

perspektyw. Różni ludzie, podobne problemy. Ale wszystkich ich łączy jedno – alkohol.

– Czyli nic nowego. – Radna westchnęła. – No widzisz, my się z tym borykamy od lat. To jest naprawdę problem społeczny! Beznadziejny, powiem ci. No bo co z tymi ludźmi zrobić? Nie nawykli do troszczenia się o własne życie. Za to są roszczeniowi. Niewykształceni, niechętni do roboty, z pokolenia na pokolenie dziedziczą patologię... To jest najgorsze. Weź te dwa półmiski na stół...

– To klasyczny mechanizm wykluczenia. Ci ludzie pogubili się po upadku komuny, znaleźli poza nawiasem – powiedziała dziennikarka.

– Kochana, oni byli zawsze poza nawiasem!

– To znaczy?

Greta ustawiła na stole jadalnym kolejne potrawy.

– To pokłosie dawnego systemu. Już kiedy pracowali w tutejszym pegeerze, pili. Oni, ich rodzice czy dziadkowie. Tyle że wtedy nie było zmiłuj. Za komuny potrafili sobie z nimi radzić.

– Zamordyzm, co?

– Można to tak ująć. Zamordyzm, przywileje socjalne, kij i marchewka. No i robota była wtedy dla nich. A dziś co? Sama wiesz, jak jest. W obecnych czasach nie ma na tych ludzi skutecznego sposobu.

– Tylko czekać, aż wymrą? – zakpiła Felicja.

Radna się wyprostowała.

– Czy ty coś sugerujesz? – zapytała z niesmakiem.

– Tak sobie ponuro zazartowałam...

– Oni nie wymrą. Rodzą się następne pokolenia, a teraz jeszcze dostają na ten cel gratyfikację od państwa, którą przeznaczają oczywiście na wódkę, bo przecież nie na te dzieci, płodzone w pijanym widzie. Co tam dla nich dzieci, to tylko efekt uboczny... – Greta z impetem postawiła na blacie talerze, aż zabrzęczały.

– Hej, uwaga na cenną porcelanę!

– Skończ już te swoje żarty, dobrze? Słyszę, że Przemek podjechał. Za chwilę siadamy do stołu.

Rzeczywiście, po chwili usłyszały zgrzyt klucza w zamku. Mężczyzna przywitał się, z Gretą czule, z Felicją kurtuazyjnie, mimo że znali się już długo i zwracali do siebie po imieniu. Przemysław Pazik był typowym przedstawicielem nowej rodzimej klasy średniej: przystojny, wysportowany, wyluzowany, lecz zarazem zachowujący dystans, dobrze ubrany człowiek biznesu. Przed sześćdziesiątką, jednak z pozoru bez wieku, szlachetnie siwiejący na skroniach. Doskonale wykształcony w swoim fachu. Zapewne seksowny, choć akurat nie w guście Felicji.

– Skoczę jeszcze tylko umyć ręce – oświadczył. – Przepraszam na chwilę, szanowne panie, zaraz jestem z powrotem. Z otwarciem wina zaczekajcie na mnie, zgoda, kochanie? Wszak to męska rzecz.

Dziennikarka gapiła się na niego z niedowierzaniem.

– Nie do wiary, że naprawdę istnieją tacy faceci – zauważyła z westchnieniem, siadając przy stole. – Wracając jeszcze do naszej rozmowy, żeby potem nie psuć kolacji... Może warto by w waszej gminie opracować jakiś konkretny program

pomocy tym ludziom? Przynajmniej dla ich dzieci, myśląc perspektywicznie. I nie chodzi mi tylko o samą pomoc społeczną, raczej o coś bardziej wszechstronnego, w sensie wychowawczym. Macie coś takiego?

Greta się zastanowiła.

– Mamy system opieki socjalnej, ale rozumiem, że nie o tym myślisz. Wiesz, to niegłupie. Warte zastanowienia. Pomyślę o tym, dzięki za odpowiedź. Ale teraz już bierzmy się do jedzenia. Przemku, wino stoi w kuchni, weź je po drodze!

Przy stole rozmawiali o wszystkim i o niczym, zwykle towarzyskie gadki szmatki. Potrawy okazały się przepyszne, wino doskonałe, choć Felicja tylko go spróbowała, wiedząc już, że wraca autem, a przy tej pogodzie nie odważyłaby się zaryzykować. Atmosfera zrobiła się przyjacielska, niemal rodzinna, budząca marzenia o własnym domu i uporządkowanym życiu. Gdy już byli przy kawie i deserach, zawibrowała komórka Felicji. Dyskretnie rzuciła okiem na wyświetlacz: Ryba. Postanowiła nie odbierać, nie chciała rozmawiać z aspirantem w obecności Pazików, a wychodzić byłoby jej jakoś niezręcznie. Odrzuciła połączenie, jednak po chwili dostała SMS. „Oddzwon” – odczytała. Schowała telefon, obiecując sobie zadzwonić do niego później, zaraz po wizycie. Upłynęły kolejne minuty, podczas których Przemysław opowiadał o jakichś zabawnych sytuacjach ze swojej pracy, gdy nadeszła kolejna wiadomość. Nie zajrzała do niej, a za moment rozdzwonił się z kolei stacjonarny telefon Pazików, znajdujący się w holu. Greta przeprosiła i wstała od stołu, by odebrać. Felicja – nagle tknięta złym przeczuciem – obserwowała jej mimikę podczas rozmowy: twarz radnej spoważniała, wydłużyła się, zbladła. O coś dopytywała, jednak z tej odległości nie było jej słyhać. W końcu odłożyła słuchawkę, a następnie spojrzała na przyjaciółkę z dziwnym grymasem, była w nim panika. Felicja zastygła. Teraz już i mąż Grety dostrzegł, że coś się święci, bo urwał opowiadaną anegdotę w pół słowa. W powietrzu dało się wyczuć prawie namacalne napięcie. Dziennikarka pierwsza nie wytrzymała.

– Coś się stało? – zadała ostrożnie pytanie.

Radna jeszcze przez chwilę milczała, wyglądało to tak, jakby z trudem dochodziła do siebie. Odezwała się dopiero wtedy, gdy Felicja, coraz bardziej zaniepokojona, powtórzyła swoje pytanie. Pazik wstał i podszedł do żony. Dała mu znak dłonią, że sobie poradzi, po czym oboje wrócili do stołu.

– No to mamy problem – powiedziała Greta. – Dzwonił Ryba. Znalezione kolejną ofiarę.

– Teraz?

– Tak, jakoś niedawno. Te same okoliczności, tyle że... człowiek przeżył.

– No to całe szczęście! – wtrącił Pazik.

– Jest w ciężkim stanie, majaczy, ale żyje. I opowiada niestworzone rzeczy...

Pół godziny później

Felicja podjeżdżała pod swoją kwaterę. Opuściła dom Pazików prawie od razu po telefonie do Grety, która powiedziała dziennikarce, że Ryba szukał jej pilnie, by

ustalić treść komunikatu do gazety. Obiecała, że oddzwoni do niego zaraz po powrocie, a potem, ewentualnie rano, zatelefonuje jeszcze do Grety, jeśli policjant zdradzi jej coś więcej. Dziwne – pomyślała – jak bardzo Greta przeżywa sprawę gminy. Sądząc po jej reakcji, bardziej niż własne prywatne życie. A w zasadzie nic dziwnego, przecież tak właśnie powinno być. Wygląda na to, że jej przyjaciółka jest idealną działaczką pracującą na rzecz swojej małej ojczyzny. Budujące. Zjeżdżając ze wzgórza, jak zwykle zachwyciła się rozciągającą się stamtąd panoramą. To morze światła, rozsianych w dole i pnących się dookoła na okoliczne wzniesienia morenowe, ponad którymi szumiał już tylko las... Piękne, zupełnie jak w górach, a nie nad morzem. Niesamowity krajobraz, czyste powietrze. Nie, nie będzie żałowała tej przygody życiowej. Fajnie pomieszkać w takim miejscu i poczuć się jego częścią. Wiatr ucichł, wokół panowała cisza jak utkana z waty. Biel świeżego śniegu iskrzyła w świetle latarni. Dotarła wreszcie pod dom, zaparkowała na podwórku. Jej kwatery mieściła się wprawdzie na nowoczesnym osiedlu, jednak sama willa z pruskim murem ostała się tu jeszcze z czasów znacznie wcześniejszych. Teraz nawet zabawnie wyglądała wśród wysokich bloków z późnych lat dziewięćdziesiątych – taki mały grzybek w wielkim lesie. O tej godzinie – a zrobiło się już, jak zauważyła, kilka minut po dwudziestej trzeciej, czas szybko zleciał – stała ciemna, widocznie gospodarze poszli spać, a może oglądali jeszcze nocny program na tyłach domu. Zamknęła samochód i sięgnęła do kieszeni, by poszukać kluczy, gdy nagle usłyszała jakiś szelest i wielki cień padł na nią od strony furtki. Wystraszona upuściła klucz prosto w śnieg i zrobiła półobrót, instynktownie gotowa do walki, jednak w tym samym momencie ktoś złapał ją za ramię...

– Felicja, to ja! – usłyszała nad uchem, zanim jeszcze zidentyfikowała w mdłym świetle latarni sylwetkę aspiranta Ryby i rozpoznała jego głos.

Odetchnęła głęboko, schylając się po klucz.

– Zwariowałeś? – wybuchła, starając się mimo wszystko mówić cicho. – O mało na zawał nie zeszedłem! Co ty tu robisz, do cholery?

Zygmunt objął ją przepraszająco.

– Czekam na ciebie chyba od godziny, już prawie zamarłem. Dzwoniłem, esemesowałem, ale nie odbierałaś. W końcu domyśliłem się, że mogłaś pojechać do Grety, no i trafiłem w dziesiątkę, jak się okazało. Zadzwoniłem też od razu do niej, ale nie zdążyłem powiedzieć, że siedzę w aucie pod twoim domem. Prosiłem ją tylko, żeby ci przekazała, że jesteś mi pilnie potrzebna. No i o tym... zresztą na pewno już wiesz, że mamy powtórkę z rozrywki. Greta ci chyba mówiła? Strasznie się przejęła!

– Wspomniała. Chodźmy na górę, ale musisz mi wszystko opowiedzieć.

– Tyle, ile mogę – odparł przepraszająco. – Bo teraz to już jest sprawa. Wszystko się nam trochę skomplikowało. No i wygląda na to, że miałaś nosa...

Gdy już znaleźli się w mieszkaniu, Felicja wstawiła wodę na herbatę. Ryba był zamarznięty, w końcu dość długo sterczał w swoim samochodzie przed nieczynnym urzędem pocztowym. Na tym mrozie takie autko nie było wymarzoną osłoną przed zimnem. Przyrządziła gorące napoje z cytryną i umościła się w fotelu, policjantowi pozostawiając wersalkę.

– Chcesz coś zjeść? – zapytała dla formalności, lodówka i tak świeciła pustkami.

– Nie, dzięki. Jadłem po akcji.

– Dobrze, to ci się chwali. Teraz gadaj. Wszystko, bo inaczej będę węszyć po ludziach i do różnych rzeczy dojdę sama. A wtedy to opiszę.

Parsknął śmiechem.

– Greta by ci na to w życiu nie pozwoliła – zripostował. Riposta była celna, musiała to przyznać, lecz nie dała się zbić z pantafelku.

– Phi! – parsknęła. – Zrobiłabym to za jej plecami. Swoją drogą, jesteście tu strasznie przewrażliwieni w tej waszej gminie.

– Cóż, taka gmina. – Wzruszył ramionami, siorbiąc gorącą herbatę z kubka tak, by się nie poparzyć.

– No dobra, dość tej gadki, czekam na konkrety – ponagliła go.

Skinął głową.

– Okej. Najpierw chciałbym cię prosić o krótki komunikat do gazety, oczywiście także na portal. Dobrze byłoby też, gdybyś wystąpiła razem ze mną przed kryszewską telewizją. Jutro przed południem, już to mamy uzgodnione. Nagranie znajdzie się po południu na ich kanale na YouTube, wrzuciłabyś też link na stronę gminy. Tekst mam odgórny, ale gdybyś go mogła wygładzić... pewne szczegóły dotyczą wyłącznie Kryszewa, więc zostawili je dla nas. – Podał jej kartkę. – Tyle że dostałem wytyczne. Ale to możemy później. Najpierw powiem ci, co się stało.

– Właśnie na to czekam – zauważyła zimno.

– Strasznie jesteś, że tak powiem, niecierpliwa – zauważył. – Można u ciebie zapalić? Bo widzę popielniczkę...

– A jaraj sobie. I tak przed spaniem wietrzę, nawet w mróz, a moi gospodarze palący, więc im nie przeszkadza.

Zapalili oboje, Felicja dołała do kubków herbaty i nastawiła wodę na dolewkę.

– No już, zaczynaj, bo ranek się zbliża, a przed południem mamy przecież oboje, jeśli dobrze zrozumiałam, występy w telewizji – ponagliła go.

– No więc – zaczął z namysłem. – Kierowca ciężarówki, który wracał z trasy, zatrzymał się przy zjeździe do lasu, tym zaraz przed samym Kryszewem, żeby się wysikać. Tylko za pierwsze drzewa poleciał, bo w szoferce miał laskę, więc nie chciał, żeby go widziała podczas tej, no... czynności. Spieszył się, bo raz, że mróz tęgi, a dwa, że już był według grafiku spóźniony, no i chciał wreszcie w domu odtajać, pewnie razem z tą laską. Zrobił swoje i już miał biec z powrotem do wozu, gdy coś usłyszał. Jakiś jęk czy może stękanie. Wystraszył się, latarką poświecił, no i za następnymi drzewami zobaczył jakiś kształt, coś jakby na pierwszy rzut oka worek. Polazł tam, brodząc w śniegu, i z bliska zobaczył, że znalazł nie żaden worek, tylko delikwenta opartego o pniak. Pijaniutkiego w sztok. Próbował go ruszyć z miejsca, ale gość był jak kłoda. Nie dawał oznak życia, nawet postękiwać przestał. Kierowca wykazał się przytomnością umysłu i od razu zadzwonił pod sto dwanaście. Miał kłopoty z zasięgiem, na szczęście jednak, gdy wrócił do wozu, telefon zadziałał. Dopiero z szosy. Naturalnie my byliśmy na miejscu pierwsi, przystąpiliśmy do reanimacji. W końcu zaczął rzezić i coś gadać, ale trudno go było zrozumieć. Coś jak „królowa”, „królowa”. A może „krowa” – wtedy nie wiedziałem. Zdawało nam się, że majaczy bez sensu. Zaraz po nas przyjechało pogotowie, stwierdzili, że facet jeszcze

dycha, więc go natychmiast zabrali. Zdążyłem jednak rozpoznać gościa. Taki jeden z Kryszewa, pewnie znajomy Kowalskiego, bo z tej samej wsi, był na stypie. Nazywa się Mieczysław Nowak, emeryt, dawniej pracował jako woźny w naszej podstawówce, siedemdziesiąt lat. Alkoholik nastojaszczyj, jak zwykły mawiać mój świętej pamięci dziadek. Pomyśleć, że sam go tam, w pubie, kilka godzin wcześniej widziałem. To jeden z tych, którzy po stypie zostali w knajpie, pewnie chlał tam potem na umór do późnego wieczora. No dobra, dalej, bo to jeszcze nie koniec. W pewnym momencie w oczy rzuciły nam się ślady. Podobne do tych przy Kowalskim. Nietrudno je było rozróżnić od śladów pozostawionych przez kierowcę, bo ten miał buciory jak traktor, a te ślady były o wiele drobniejsze, tak jakby po damskich butach na obcasie. Tym razem śnieg ich nie przysypał, wyraźnie były świeże. No i jeszcze jedno. Też ślad, ale jakby ciągnięcia. Wyglądało na to, że od szosy facet został pod to drzewo przyciągnięty i zostawiony tam na pastwę mrozu. Oczywiście wkrótce po nas przyjechali techniczni i dochodzeniówka. Oni przejęli sprawę. Zabezpieczyli ślady, wszystko jak trzeba. No i w szpitalu zdołali wstępnie przesłuchać faceta. Tym razem powiedział coś więcej. Coś bardzo dziwnego. Że niby kiedy wracał z knajpy, spotkał pod lasem królową. Królową Śniegu, tak mówił. I ona go zabrała. Dała mu się napić wódki, a może to był czysty spirytus, jak sugeruje lekarz. A potem, śmiejąc się, odjechała. Przycisnęli go, żeby powiedział, czym odjechała, bo chyba nie podniebną karetą, ale zdaje się, że nie widział pojazdu, tylko słyszał. I nie była to karetka, bo karety raczej nie mają silników. Technicy odkryli jednak w pewnym miejscu przy drodze ślady opon. Jeszcze ich nie zidentyfikowali, ale jeden z technicznych twierdzi, że to mogą być ślady terenówki. To znaczy najprawdopodobniej terenówki... Hej, ty przecież jeździsz terenówką! – Przyjrzał się bacznie dziennikarce.

– Ale nie noszę butów na obcasie – zripostowała.

– Czyli nie jesteś królową?

– Nie, tylko paziem. Serio, nie mam zimowych butów na obcasie. A terenówek jeździ tu całe mnóstwo, takie macie warunki geograficzne. Przestań błaznować, mów dalej! Chyba nie jestem podejrzana?

– Bo ja wiem? Nie wiem. Dalej już nie ma za wiele. Oczywiście dochodzeniówka nieco... no, jakby to ująć, żeby nie skłamać... lekceważy sytuację. Uważają, że ofiara po prostu majaczy po pijaku, że chłop miał zwidy, jak to w delirce. Postacie z bajek nie czyhają na ludzi, a te ślady to jeszcze nic pewnego. Rozumiem ich, nie są stąd. Ale mnie od razu przypomniała się ta klątwa...

– Chyba w nią nie uwierzyłeś?

– Aż takim idiotą nie jestem. – Zerknął na nią z wyrzutem. – To tylko proste skojarzenie. Że coś jest na rzeczy.

– Wiesz, skąd się wzięła ta bajka o klątwie?

– Nie za bardzo. Chyba stąd, że w gminie dużo alkoholików, całe wioski, pozostałość z mrocznej przeszłości. Pewnie niejeden zamarzył w jakimś rowie.

– Trzeba by się tego dowiedzieć – powiedziała.

– Starszych ludzi warto wypytać. Wyobrażam sobie, co teraz będą wygadywać!

– Tym lepiej, niech gadają. Czyli co, śledztwa nie będzie?

– Nie, no – zachnął się. – Będzie! Obawiam się tylko, że je po prostu odwałą... W mieście mają ważniejsze sprawy na głowie niż wioskowe pijaczki. Zobaczymy. Na razie sytuacja tak wygląda, że sprawa jest podejrzana, bo są dziwne ślady i w ogóle. Ślady nawet ważniejsze od tego, co opowiada ten Nowak, bo na to biorą poprawkę.

– Dobra. To zajmijmy się tym komunikatem, bo mnie się już gały zamykają. Jutro jeszcze pogadamy – zdecydowała.

Gdy pół godziny później wychodził, spróbował ją pocałować. Odsunęła się. Cholera, robię wszystko, by go nie zachęcać, a ten się czuje zachęcony – pomyślała, zła i zarazem rozbawiona.

– Dlaczego nie? – zapytał, gapiąc się na nią wzrokiem odtrąconego mopsa.

– Bo jesteś na to za młody.

– No, weź!... Czy ja ci w metrykę zaglądam? Nie interesuje mnie ona, tylko ty. Jestem dorosły. Doskonale wiem, czego chcę. Pytanie tylko, czego ty chcesz...

– Czy dałam ci w jakiś sposób do zrozumienia, że chcę właśnie ciebie?

– Okej, zrozumiałem. No to do jutra. – Sięgnął po kurtkę.

Speszyło ją to.

– Ej, zaczekaj, nie obrażaj się! To nie tak. Lubię cię, jesteś fajnym kumplem. Ale...

– Ale?

– Nie szukam faceta.

Naprawdę nie szukała. Miała powyżej dziurek w nosie samców skomlących lub dyszących na widok kobiety jak kundel za suką z cieczką. Śmiertelnie ją nudzili i wzbudzali politowanie. Dojrzała już do tego, by wyżej sobie cenić normalne relacje międzyludzkie, intelektualne partnerstwo, bez obowiązkowego seksu w tle. Niestety wiek ma swoje prawa, a Zyga był jeszcze bardzo młody. Gorzej, gdy niektórym nie mija to z wiekiem.

– Nie musisz szukać – odparł z poważną miną. – Czasem tak się dzieje, że ktoś cię sam znajduje.

– Chyba jednak nie rozumiesz. Przyjechałam tu do pracy, nie w celach towarzyskich czy romansowych. Tylko tyle.

Odwrócił się i przyjrzał jej się uważnie, choć w spojrzeniu tym, gdzieś na dnie, kryła się lekka kpina.

– Mówią, że jesteś...

– Lesbą? – podchwyciła szyderczo.

– Coś w tym rodzaju. A jesteś?

– A masz coś przeciwko lesbom?

– Nie. Ale wolałbym być uprzedzony. Bo nie zamierzam się tak łatwo poddać. No to... do jutra, królowo! – Wyszedł i po prostu zamknął za sobą drzwi.

Usłyszała jego kroki na schodach, następnie zatrzasnęły się za nim drzwi wejściowe. Zrobiło jej się głupio, chciała wybiec, powstrzymała się jednak siłą woli. Po chwili zeszła tylko na parter, by zamknąć zasuwę. Nawet nie wyjrzała. Dopiero kiedy wróciła do siebie, ujrzała w lustrze odbicie swojej błogo uśmiechniętej gęby. Opuść sobie, kretynko – powiedziała do lustra półgłosem, myjąc zęby.

Kryszewo, luty

Budzik zbudził ją o dziewiątej, za oknem delikatnie spadały drobne śnieżne płatki, zbyt zmrożone, by objawić się w całej krasie. Zaparzyła sobie tym razem mocną kawę do kanapek z serem. O jedenastej byli umówieni z telewizją, nagranie miało się odbyć przed komisariatem, by zaakcentować warunki pogodowe. Potrzebowała kofeiny, żeby sprostać zadaniu. Postarała się też jakoś wyglądać. Wełniana szara spódnica i płaszcz zamiast kurtki z kapturem. Dżinsy precz. Opaska na uszy. Włosy luzem. Zerknęła w lustro: może być. Nie za sztywno, ale wygląda jak kobieta. Wysłała SMS-a Grecie, że zadzwoni do niej po nagraniu. Radna odpisała, że czeka, i zapytała, kiedy nagranie pojawi się w sieci. Felicja odpowiedziała, że dokładnie nie wie, ale na pewno jeszcze dzisiaj, i że ma się nie obawiać, to tylko oficjalny komunikat. Na tym zakończyły wymianę wiadomości. Dziennikarka udała się pieszo do komisariatu, nie miała daleko. Lokalna telewizja już czekała, Ryba był z nimi, wymieniali akurat ostatnie uwagi. Felicja przywitała się ze wszystkimi i dowiedziała się, że ma odczytać treść wstępnego komunikatu z kartki, którą policjant będzie trzymał poza okiem kamery, odparła jednak, że tego nie potrzebuje, bo zna tekst na pamięć, w końcu też nad nim pracowała. Po niej Ryba miał wygłosić parę słów od policji oraz odpowiedzieć na kilka pytań, sprowadzających się głównie do tematu przestrzegania przez mieszkańców gminy zasad bezpieczeństwa, wraz z prośbą do ewentualnych świadków o pilne zgłaszanie się pod podane numery telefonów. Dziennikarka powinna w tym czasie stać obok niego z zatroskaną miną, następnie raz jeszcze – w imieniu urzędu gminy – ponowić apel. Gdy wreszcie przystąpili do pracy, śnieg sypał nawet dość gęsto, osadzając się na włosach i ubraniach, co w obrazowy sposób wzmacniało dramatyzm sytuacji. Nagranie trwało w sumie dość długo, bo prawie kwadrans, oczywiście Felicja wiedziała, że po obróbce technicznej i montażu wyjdzie krótsze.

– Kiedy otrzymam materiał? – zapytała, gdy już było po wszystkim.

Realizatorka odparła, że za kilka godzin prześle jej link oraz plik mailem. Na tym w zasadzie rola Felicji się kończyła. Z Rybą, który również spieszył się do swoich obowiązków, umówili się na telefon. Felicja wiedziała, że w razie potrzeby policjant wpadnie do jej – a niech tam, oficjalnie tak to się właśnie nazywało – biura. Do siebie jej przecież nie zaprosi, chyba że na komisariat. Wiedziała, że wciąż mieszka z rodzicami w rodzinnym domu, na zaadaptowanym do tego celu dawnym strychu, gdzie urządził sobie prowizoryczne kawalerskie gniazdko. Pożegnała się więc z ekipą telewizyjną i ruszyła z powrotem do siebie, czyli do swojego maleńkiego biura połączonego z sypialnią. Chciała jeszcze raz w spokoju przeanalizować wszystko, czego się dowiedziała, a następnie przekręcić do Grety, która zresztą już od wczorajszego wieczoru czekała na ten telefon. Wczoraj jednak było już za późno na

wydzwanianie. Za to w nocy przyszedł jej do głowy pewien pomysł, lecz żeby wprowadzić go w życie, potrzebne było współdziałanie Grety. A raczej podparcie się jej autorytetem...

Godzinę później

– Wyślę ci link do YouTube z tym nagraniem telewizyjnym – oznajmiła na wstępie, gdy tylko radna odebrała połączenie. – Mają mi go przesłać jeszcze dziś. Chyba całkiem nieźle nam poszło. Wygląda na to, że policja tym razem poważniej potraktowała sprawę. No, ale trudno się dziwić...

– Właśnie, mów, co wiesz! – niecierpliwiła się Greta.

Felicja streściła jej w miarę dokładnie wszystko, czego dowiedziała się wczoraj od aspiranta. Radna była bardzo zdenerwowana, zadawała mnóstwo pytań, na które Felicja nie знаła odpowiedzi. Ale to właśnie było jej na rękę.

– Słuchaj – wpadła Grecie w słowo – mam pomysł.

– No? Co znowu za pomysł?

– Żebyśmy dowiedziały się więcej. Z pierwszej ręki...

– Czyli co? – nie wytrzymała przyjaciółka. – Od glin?

– Nie od glin, oni nam niczego więcej na razie nie zdradzą. Od ofiary.

– To znaczy?... A, właśnie, co z tym biednym człowiekiem?

Felicja ostrożnie dobierała słowa.

– Z tego, co dziś mówił Ryba, coraz lepiej. Jest przytomny, wytrzeźwiał. Wciąż przebywa w szpitalu...

– Chcesz jechać do niego do szpitala?

– Razem z tobą – odparła. – Nawet wypada, żeby ktoś ważny z gminy zainteresował się jego zdrowiem. Ukochana radna będzie w sam raz. Czy on nie należy do twojego okręgu?

– Fakt...

– Widzisz. Zabierzemy kwiaty i pojedziemy razem. Kto wie, może nam powie więcej niż policji. A przynajmniej więcej, niż oni mówią nam. Co ty na to?

Greta zastanawiała się przez chwilę.

– Masz rację, to świetny pomysł – oświadczyła wreszcie. – Tylko nie wiem, czy... Myślisz, że policja wyrazi na to zgodę? Może on jest jakoś chroniony czy coś?

Dziennikarka się roześmiała.

– Nie żartuj, to nie amerykański serial kryminalny! Akurat. Ryba wyraźnie mówił, że śledczy z Gdańska traktują sprawę jak bez mała kradzież zasranego batonika w supersamie. Kto by go tam chronił, nie bądź naiwna. A dla personelu to po prostu zwykły pacjent. Dowiedz się tylko, w którym szpitalu leży ten cały Nowak, tobie Zygmus wyśpiewa jak na świętej spowiedzi. Sprawdzimy godziny wizyt i jedziemy, choćby jutro. A gdyby kto pytał, nie odważą się przecież nie wpuścić oficjalnej urzędowej delegacji! Ważna persona w towarzystwie rzecznika prasowego, niech no tylko spróbują... No i daj spokój, nie przestraszają się chyba dwóch lasek?

– Okej. – Grecie wyraźnie spodobał się pomysł.

– Okej? To zajmij się Rybą. Tylko nie daj się spławić. Chodzi o podopiecznego gminy, urząd ma prawo i moralny obowiązek interesować się jego losem. Jak będzie trzeba, pogadaj z przewodniczącym rady. I daj mi znać, co załatwiłaś...

Nazajutrz

Dojeżdżały pod szpital. Mieczysław Nowak leżał w wojewódzkim, nie miały zbyt daleko, prosta droga, na całe szczęście dobrze odśnieżona. Nie sypało dzisiaj. Nawet korki cudem je ominęły, przynajmniej te najgorsze, może dlatego, że pora była dość wczesna, ludzie siedzieli jeszcze w pracy, gorzej może być w drodze powrotnej. Pojechały razem terenówką, za kierownicą siedziała Felicja, elegancko wystrojona Greta Pazik obok w fotelu pasażera, z tyłu na siedzeniu leżał okazały bukiet jakichś egzotycznych kwiatów, zamówiony wczorajszego dnia przez urząd w najlepszej kryszewskiej kwiaciarni. Odebrały go po drodze. Felicja doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że – jak prychała Greta – Nowak sto razy bardziej ucieszyłby się z butelki, jednak nie mogły przecież odwiedzać poszkodowanego pacjenta z pustymi rękami.

– Co ty właściwie wiesz o tym Nowaku? – zapytała dziennikarka, gdy stały na światłach.

Greta wzruszyła ramionami.

– Tyle co o pozostałych – odparła. – Pijak. Dawniej pracował w naszej szkole jako woźny, ale od paru lat jest na emeryturze. Wdowiec, bezdzietny. Żonę pewnie wpędził do grobu. A dlaczego pytasz?

– Bo, cholera, wygląda na to, że nic tych ofiar nie łączy... Poza alkoholem.

– Dokładnie. Poza alkoholem. Czy to mało? Widzisz, ja naprawdę nie bardzo wierzę w te wasze szalone teorie. Moim zdaniem prawda jest prosta i oczywista: wszystkiemu winna jest wódka. Reszta to bajki.

Felicja ruszyła, tylko po to, by za chwilę stanąć na kolejnych światłach.

– Bajki, bajki – powtórzyła zgryźliwie. – A te ślady? A ta królowa śniegu? No bajka, rzeczywiście. Tyle że dość podejrzana, nie uważasz?

Radna ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie, nie uważam – upierała się. – Alkoholicy różne rzeczy widzą. A śladów w lesie może być cała masa, w końcu ludzie chodzą tamtędy na skróty, to nie bezлюдne okolice. Jestem pewna, że wszystko da się racjonalnie wyjaśnić.

– Ale Nowak mieszka w Kryszewie! Co by tam robił, w zasadzie już poza miasteczkiem?

– Może szedł na działki? Tam za lasem są ogródki działkowe.

– Po co by tam szedł?

– Chryste, Felicja! Tam często piją kłoszardzi. Włamują się do altan, a ta staruszka, która też... no, zamarzała, miała tam nawet własną budę, legalnie, bo teoretycznie pilnowała terenu ogródków. Była bezdomna. Mogło tak być, że Nowak szukał tam po prostu kompanów do dalszego chłania.

– A właśnie, ta staruszka. Będę musiała o nią jeszcze popytać. To znaczy, że tam

jest więcej takich bezdomnych?

– Jest – przyznała niechętnie Greta. – Ale wątpię, żeby się przed tobą ujawnili. A do tego zechcieli gadać...

Felicja ponownie ruszyła.

– Okaze się – odparła.

– Daj już spokój. Pogadamy z tym Nowakiem i zobaczysz sama, że nic się za tym nie kryje. Chyba że rzeczywiście kłątwa.

– A co wiesz o kławie?

– Kurczę, nic! – wykrzyknęła radna. – Toż to bzdury! Wymysły prostych ludzi. Traktujesz poważnie takie durne gadki?! Całkiem już chyba oszalałaś...

– Ale nie wkurzaj się tak, co cię ugryzło? – Felicja zdumiała się jej reakcją.

– Tam masz parking – nie dała jej dokończyć Greta. – Wjeżdżaj, bo za chwilę go miniesz! Padło ci na mózg, do tego wciągasz w to Rybę. Głupi smarkacz, przez ciebie skończy karierę jako krawężnik, a chyba ma większe ambicje. Czy na serio nie rozumiecie, że kiedy ludzie żłopią wódkę bez umiaru, to wszystko im się może przytrafić? A wy się w tym doszukujecie jakiegoś drugiego dna. Sensacji szukacie? To tylko biedni, prości ludzie! Taki mają sposób na życie...

Dziennikarka ze stoickim spokojem ustawiła auto na jednym z wolnych miejsc parkingowych i wyłączyła silnik.

– Jasne. Bo chleją tylko „prości ludzie”. Elity nie żłopią wódki. Elity biorą dragi i dopalacze, popijając je niskokalorycznymi drinkami. – Zaśmiała się.

– Twój obrzydliwy sarkazm doprowadza mnie do szału. – Greta pierwsza wysiadła z samochodu, zabierając bukiet.

Nowak leżał na czteroosobowej sali. Jedno łóżko było puste, na kolejnym spał jakiś starszy człowiek pod kropłówką. Pacjent w szlafroku, dość młody, leżący obok Nowaka, na ich widok natychmiast odłożył gazetę i wyszedł na korytarz. Felicja zastanawiała się, czy kierowała nim dyskrecja, czy może raczej zwietrzył pretekst, by zapalić papierosa w kiblu. Z daleka zalatywało od niego tytoniem. A może po prostu ich widok mu nie odpowiadał. Sam Mieczysław Nowak okazał się chudym siwym mężczyzną o czerwonej twarzy. Wydawało się, że jest w doskonałej formie. Jak na to, co przeszedł, tryskał wręcz świetnym humorem. Wizyta ważnej radnej oraz „kobiety z prasy” podziałała nań najwyraźniej niczym kieliszek czegoś mocniejszego. Wstawiły kwiaty do szklanego wazonu, który przezornie przywiozły ze sobą.

– Jak się pan czuje, panie Mietku? Dobrze tu panu? – zagaiła Greta.

– A co ma być źle, szefowo? – Wyszczrzył w uśmiechu zepsute zęby. – Dają jeść i różne badania robią. Skaczą przy człowieku jak kole jakiego paniska! Jo nienawykły. Ino pić się chce, a tu tylko taka cienka lura. Albo kompot, taki jak kisiel. No.

– Zorganizujemy panu dużą butlę wody mineralnej – wtrąciła Felicja, na co Nowak nie zareagował.

– Policja u pana była?

- A jakże! Nawet dwa razy. Wszystkom im powiedział.
- A nam pan powie? Co tam się panu właściwie przydarzyło? Co pan pamięta? – indagowała dalej radna.
- Co mam nie powiedzieć. Takim pięknym paniom bym miał odmówić? – Wyraźnie Nowak był chętny do opowiadania. Aż się do tego rwał. Ma chłop swoje pięć minut – pomyślała dziennikarka.
- No, to świetnie. Niech pan zacznie od początku. Co się działo, odkąd wyszli z pubu goście ze stypy?
- Mężczyzna podrapał się w głowę.
- Tego to tak dokładnie nie pamiętam. Wypiło się kilka głębszych z koleśkami. Piwko głównie...
- Późno pan wyszedł?
- Późno. Bo ziąb był taki, że się nie chciało z ciepła iść precz. Ale jak szefunio powiedział, że mnie więcej nie obsłuży, to wyszłem. No i do domu szłem...
- Prosto do domu?
- Ano, nie całkiem pamiętam. Pod lasem ja był. Chciałem świeżego powietrza zażyć. We łbie mi się kołowało, no troszkę człek sobie popił, nie powiem. Wypierał się przecie nie będę. Kumpel miał pogrzeb, to czego się dziwić. Upadłem jak długi w ten śnieg. I wtedy ona się przede mną objawiła.
- Jaka „ona”? – wtrąciła Felicja.
- Królowa.
- Ale jaka królowa, panie Mieczysławie? Taka z bajki?
- No.
- Jak wyglądała?
- Cudna była – rozmarzył się. – I dobra. Podniosła mnie i zawiozła. I napić się dała.
- Zawiozła? Czym? – podchwyciła dziennikarka. – Gdzie zawiozła?
- Na nabrzmiałej twarzy Nowaka odmalowała się konsternacja. Po raz kolejny podrapał się w głowę.
- Jo nie pamiętam. Film mi się trochę urwał. Ciepło się zrobiło, muzyka grała. A potem w lesie wysiedliśmy. I ona mi dała pić. Dobrze mi było. Ciepło. Jak w raju. Chciałem tam zostać na wieki.
- No i by pan został, niewiele brakowało.
- No jo. Ale ona taka przepiękna była. Miała białą... no, taką suknię. Albo płaszcz. Z kapturem i cały misiemiem obszyty. I takie coś srebrne na czole.
- Diadem?
- Jo.
- I co jeszcze? Młoda była?
- Bo ja wiem. Cudna jak z bajki. Biała na twarzy. Jak ten śnieg.
- A jakie miała buty?
- Ano, takie tyż białe. Eleganckie. Elegancja Francja.
- Na obcasie?
- Jo.
- No i kiedy dała panu coś do picia, to co się dalej stało?

– Nie coś, ino czysty spiryt! Dobry jak kurwa mać. O, przepraszam szanowne panie! Przedni gatunek, chciałem powiedzieć. Jo mówił już tym psom, bo tyż o to pytali. To co miałem kryć. A co się dalej stało?... No. Nie całkiem kumam. Śmiała się. Jak dzwonki był ten jej śmiech. Śniegiem na mnie sypała, to i jo się śmiał. Zabawa taka. A potem znikła. Odfrunęła. Jak w tej bajce. Jo został, a potem... jakieś ludzie namolne męczyli, dręczyli, kuźwa. Pełno glin. No i tutej sie jo obudził. Tyż jak w bajce. – Zachichotał pod nosem.

– Panie Mietku, a nie przyśniło się to panu? – zasugerowała Greta.

– Pani radna, mnie śniło?! – oburzył się. – Jo, myśli pani, dureń jakiś jestem? Nic mi się nie przyśniło. To była prawdziwa królowa. Sama by pani chciała tako ujrzeć.

– Mówiła coś do pana?

Pokręcił głową zdecydowanie.

– Nic nie gadała. Ino się śmiała. Jakby kto perły na wietrze rozsypał...

– No dobrze – powiedziała Felicja. – To by się mniej więcej zgadzało – zwróciła się do towarzyszki – z tym, co mówił Zyga.

Nowak opadł na poduszki, oznajmiając, że się zmęczył. Zostawiły mu jeszcze dwie pomarańcze.

– Pójdziemy już, zaraz będzie pan miał spokój. Niech pan odpoczywa i wraca do sił. Tylko... Felicjo! – szepnęła radna do przyjaciółki. – Zrób zdjęcie, proszę. Ja z panem Mieczysławem, na tle bukietu. No wiesz, do gazety...

Później

– No i co, nadal uważasz, że nie ma nic na rzeczy, że wszystko jest takie cacy, proste i oczywiste? – triumfowała Felicja. – Teraz, kiedy już usłyszałaś to na własne uszy?

Greta skrzywiła się nieznacznie, zapinając pas.

– Sama nie wiem – mruknęła. – Faktycznie, dziwne to wszystko. O ile, oczywiście – zastrzegła – Nowak nie miał zwidów. Bo mógł mieć, kochana, zwróć uwagę, że był narąbany jak bąk. Ryba mówił, że miał prawie pięć promili we krwi! Koń by ujrzał białe myszki, a co dopiero stary dziad!

– Przypominam ci, że znaleziono ślady damskiego obuwia. I to przynajmniej w dwóch przypadkach.

– No dlatego mówię, że dziwne to. Daj mi już spokój, wracajmy. I tak jestem w takich nerwach przez to wszystko, że chyba sama zejdem...

Felicja posłusznie wyjechała z parkingu i zawróciła w stronę Kryszewa. Miała zamiar namówić przyjaciółkę na wizytę w domu swoich rodziców w Orłowie, jednak teraz sama już straciła na to ochotę. O czym miałyby im niby opowiadać, o tych zamierzających na mrozie ludziach? Na dodatek w obecności Grety, za którą nie przepadali, bo to ona zabrała im córkę gdzieś „na prowincję”, gdzie ich zdaniem diabeł mówi dobranoc? Matka by się tylko przeraziła. Pojedyncze przypadki to wiadomo, co innego, zdarzały się i w mieście, szczególnie wśród bezdomnych. Ale tyle naraz? Jakaś klątwa? Nie, innym razem. Zadzwoń tylko i powie, że ma dużo

roboty. Wyrzuty sumienia są lepsze od kolejnej kłótni na temat jej życia i pracy...

O tej porze dnia ruch był znacznie większy, wlokły się w koszmarnych korkach aż do zjazdu na obwodnicę. Dalej na szczęście było już nieco łatwiej, choć przy kolejnych zjazdach się korkowało. Droga powrotna zajęła im całą godzinę, podczas której obie głównie milczały. Felicja chciała dać przyjaciółce czas na własne przemyślenia, sama skupiła się na słuchaniu radia. Radna chyba nawet na chwilę przysnęła, bo – jak twierdziła – pracowała tego dnia od świtu. Pożegnały się przed urzędem. Greta poszła tam zdać relację z wizyty, Felicja tymczasem skierowała swe kroki do sklepu Renaty. Musiała zaopatrzyć lodówkę, a poza tym wysłuchać lokalnych plotek. W końcu cudem uratowany niedoszły umarłak był prawdziwą sensacją. Ciekawa była, czy rozniosła się już wieść o tajemniczej „królowej śniegu”. Policja trzymała tę informację w tajemnicy. Ryba nie wspominał o tym ani słowem w nagraniu telewizyjnym, które zapewne obejrzeliby już wszyscy w całej gminie, oczywiście mający dostęp do Internetu. Czyli większość. Dziennikarka jednak wiedziała, że plotka rozchodzi się niezbadanymi kanałami. Każda, choćby nawet najbardziej zastrzeżona informacja zawsze jakimś cudem wypływa.

Nie inaczej było i tym razem.

– I jak się ma ten nasz biedny Nowak? – Sklepowa zniżyła głos, nachylając się ku Felicji. Niepotrzebnie, bo w sklepiku nastąpiła od razu taka cisza, że jej półszept dał się słyszeć niczym wystrzał armatni. Skupieni nad butelkami z piwem dziadkowie wlepili w nie wzrok. – Może pani coś wie, pani Felicjo?

– Ma się całkiem nieźle – odparła, prosząc o sery i pumpnikiel.

– Ten to miał szczęście... – Renata westchnęła. – Mało brakowało i też byłoby po człowieku. Nie myślą ci ludzie. – Zerknęła w stronę dziadków. – Ale podobno on kogoś widział, tam gdzie go znaleźli. Prawda to?

Felicja wzruszyła obojętnie ramionami, starając się, by jej mina niczego nie zdradziła.

– Nic o tym nie wiem. A kogo widział?

– E, pewnie nikogo! Ludzie gadają, że ponoć jakieś bajki opowiadał. Pijany był, to co się dziwić...

– Pewnie tak. Ale kto gadał?

Sklepowa się zastanowiła.

– A całe Kryszewo gada. Ale pierwsza była, zdaje się, ta starsza pani Skowrońska z Leśnego Dołu. Sąsiadka. Ona jeździła z wizytą do niego, do szpitala. Od razu na drugi dzień. Jeszcze przed paniami...

Masz ci los – zakłęła w duchu Felicja. A one tak się stresowały, że nie zostaną wpuszczone! Nawet nie zapytały Nowaka, czy już ktoś u niego był. Skowrońska to chyba ta sama starsza pani, która opowiadała jej o Kowalskim. Ciekawe.

– No tak – odparła. – Poproszę jeszcze sałatkę śledziową. Tę w jogurcie.

– Bardzo proszę. Podobnie jakąś królową w lesie widział! – Renata zachichotała, sięgając po pojemnik. – Cud, że nie różowego słonia. Nic to, najważniejsze, że żyje. Pieczywo, serki, sałatka... Siateczkę do tego?

Felicja skinęła głową.

– Paniusie się tak nie śmiejo – odezwał się raptem z kąta jeden z dziadków. – Bo to

mało śmieszne jest. Ni ma się z czego cieszyć. Jak jego klątwa nie sięgła, to innego sięgnie! Józek od dawna przepowiadał, to nikt go nie słuchał.

– Panie Wróbel, co też pan. – Sprzedawczyni skrzywiła się z niesmakiem. – Znowu zaczynają swoje. – Mrugnęła do dziennikarki.

– Co panowie wiecie o tej klątwie? – zainteresowała się Felicja.

Dziadkowie zastygli z butelkami przy ustach.

– No? Przecież panowie coś o niej wiedzą, prawda?

– My nic nie wiemy – odparł jeden. – Józek wiedział.

– Józek to ten krzykliwy staruszek, co to wszystkich na okrągło straszy – wyjaśniła szeptem Renata.

– A gdzie jest pan Józek? – zapytała Felicja.

– Ni ma. Od wczoraj go ni ma. Nie przyszedł.

– A w domu też ni ma? – podchwyciła.

– Ni ma.

– Pani Renatko, jak ten pan przyjdzie do sklepu, niech go pani dla mnie wypyta o tę słynną klątwę, dobrze?

– Spróbuję, pani Felu.

Felicja nie sprostowała. Niech jej będzie Fela, byle tylko spełniła jej prośbę.

– Znała pani dobrze Nowaka? – zapytała zamiast tego.

Renata zapakowała jej sprawunki i odliczyła resztę.

– O tyle, o ile – wyjaśniła. – Ja tu prawie wszystkich znam, trudno inaczej. Ale za wiele o nim nie wiem. Był woźnym w szkole. No i lubił sobie wypić, niestety. Syn go lepiej zna, przecież chodził do tej szkoły. Jedną chwileczkę... Kostek! – zawołała, otwierając drzwi na zaplecze. – Kostek! Zejdź no mi tu na moment!

Na schodach, prowadzących zapewne do mieszkania nad sklepem, rozległo się ciężkie, raczej niespieszne tupanie i za chwilę w progu stanął młody człowiek o niezbyt zadowolonej minie. Ładny jasnowłosy chłopiec z kucykiem, z wyglądu podobny trochę do matki, choć z charakteru bardziej zamknięty w sobie. Jak chyba zresztą większość dzisiejszej młodzieży. Felicja znała go z widzenia, od czasu do czasu pomagał za ladą.

– Co?

– Co „co”? Co się mówi? – upomniała go matka.

– Dzień dobry. – Powiódł wzrokiem po sklepie.

– Syn uczęszcza do liceum w Gdańsku, ale tutejszą podstawówkę i gimnazjum kończył z wyróżnieniem – pochwaliła się Renata. – Kostek, pamiętasz ty tego Nowaka? Woźnego z waszej dawnej szkoły? Jaki on był?

Chłopak prychnął.

– Normalny był. A czemu pytasz?

– Pani pyta, odpowiadaj normalnie.

– Aha. – Zerknął na Felicję spod oka. – No, normalny był. Olewaliśmy go. Taki trochę... zbok.

– Zbok?

– No, lubił dotykać dziewczyny...

FELICJA

Przez kilka dni dałam sobie spokój, nadrobiłam zaległości, napisałam na portal tekst o obowiązku zabezpieczenia zwierzacom odpowiednich warunków na zimę, pogadałam z urzędniczką z gminnego ośrodka pomocy społecznej, zgłosiłam co trzeba, otrzymałam odpowiedź, że wskazane przeze mnie rodziny mają zapewnioną opiekę. Musiałam uwierzyć na słowo, licząc zresztą na wpływy Grety, która obiecała zająć się tym problemem z pozycji radnej. Walnęłam też obszerny artykuł o tym, jakie niebezpieczeństwa niosą ze sobą silne mrozy i intensywne opady śniegu oraz w jaki sposób ustrzec się zagrożeń. Ostrzegłam, że prognozy nie przewidują w najbliższych tygodniach poprawy warunków pogodowych, przynajmniej u nas, na Pomorzu. Niewykluczone, że mamy właśnie „zimę stulecia”, a może nadchodzi kolejny okres lodowcowy, jak straszą niektóre światowe media. Temat chyba wyczerpałam. Teraz mogłam już spokojnie wrócić do sprawy tajemniczych zamachów. Ze sto razy przejrzałam swoje notatki, spędziłam kilka bezsennych nocy. Czułam, że intuicja mnie nie zawodzi, jednak nadal byłam w czarnej dupie. Nic kompletnie, zero powiązań, nawet nie wiedziałam, czy Nowak miał halucynacje, czy może ktoś naprawdę pomaga pijakom zejść z tego świata. Tylko kto? I w jakim celu? Karząca ręka sprawiedliwości? Wcielona w złowieszczą postać z baśni Andersena? No cóż, sorry, ale w bajki nie wierzę. W nadmiar przypadków także nie za bardzo. Od Ryby wiedziałam, że śledztwo jest w toku, jednak o konkretach nie było mowy. Tym bardziej o efektach, bo ich zapewne nie było. I tak dobrze, że sam Ryba podzielał moje wątpliwości, choć bardziej prywatnie, jako mieszkaniec „przeklętej” gminy, niż oficjalnie – jako policjant. Sensację podchwyciły natomiast inne media, na szczęście nieśmiało, dość leniwie, bez wielkiego huku. Na tyle jednak, by zaalarmować moją matkę, która zyskała kolejny argument, by obrzydzać mi moją nową pracę. Oczywiście nie rozumiała, że na razie nie mam innego wyboru, a na ich garnuszku siedzieć nie zamierzam. Co do Grety, pracowałam nad nią. Musiała uwierzyć, bym mogła oczekiwać od niej ewentualnego wsparcia. Raz zasiane wątpliwości zaczynają żyć własnym życiem – u Grety to zjawisko chyba właśnie wystąpiło. Miałam więc połowiczne wsparcie dwóch poważnych person w gminie: policjanta i poważanej radnej. A za plecami rzesze ciekawskich...

Moje działania przyniosły skutek o tyle, że ludzie zaczęli bardziej uważać. Jakby mniej pijanych widziało się na ulicach wieczorami, przynajmniej w samym Kryszewie. A to już coś. Zawsze mniejsze ryzyko.

Odwiedziłam też tereny działkowe. Czyli ogródki leśne, dawniej należące do leśnictwa, obecnie gminne. Nawiasem mówiąc, wkrótce przewidywana jest ich likwidacja, ponieważ w tym miejscu zaplanowano budowę ekskluzywnego osiedla

domów jednorodzinnych, a to poważna inwestycja. Może i dobrze, bo obecnie to już głównie siedlisko patologii. Jak podejrzewała Greta – nikogo tam nie zastałam, nie ujawnił się żaden bezdomny. Mimo to czułam się obserwowana. Sugestia? Nie wiem. Cisza jak makiem zasiał, choć wiem, że od lat urzędują tam menele. Zresztą było to widać: brudne, zapuszczone altany, rozbite butelki i porozrzucane puszki. Pstryknęłam kilka zdjęć na potrzeby mojego przyszłego reportażu. To tutaj mieszkała jedna z pierwszych ofiar: Franciszka Malinowska, 77 lat – Kryszewo działki.

Jej barak zlokalizowałam z opisu, wałcząca się buda z szarej płyty pilśniowej. Wyrwane z zawiasów cienkie drzwi wskazywały, że ktoś już się do niej włamał, być może jakiś nowy lokator zajął dla siebie ten wątpliwy „apartament”. W środku znalazłam górę śmieci, odchody i kolejne butelki. Jediną żywą duszą, jaką spotkałam, był bojaźliwy kundelek, który na mój widok uciekł. Najwyraźniej przestraszyliśmy się nawzajem, bo i mnie w pierwszej chwili wystraszył nagły ruch na tym opuszczonym uroczysku. Chciałam go zabrać, może odwieźć do schroniska, zawsze to lepsze niż zostawienie psa w tych warunkach. Jednak najpierw na mnie nawarczał, a następnie znikł pomiędzy drzewami. Więcej go nie widziałam. Mam cichą nadzieję, że psiak może do kogoś należy. Lub że radzi tu sobie nie od dziś. Na wszelki wypadek po powrocie do domu zawiadomiłam miejscowe schronisko dla zwierząt, bo kto wie, może błąka się tutaj więcej bezpańskich zwierzaków...

Tak więc o uzyskaniu jakichś informacji u źródła mogłam zapomnieć. Pofatygowałam się zatem jakieś pół kilometra dalej, do osady położonej nad terenem ogródków. Okazało się, że to całkiem przyzwoita, wręcz wypasiona i malownicza wioska, z odnowionymi lub nowo pobudowanymi domkami, bardziej o charakterze osiedla niż wsi. Mieszkańcy niechętnie rozmawiali o dzikich lokatorach z działek, którzy nie raz dali się im we znaki. Jednak byli i tacy, którzy starali się tym ludziom pomagać, dostarczali bezdomnym jedzenie i ciepłe koce. Malinowską kojarzyli, choć niewiele o niej mogli powiedzieć. Nikt nie wiedział, skąd się wzięła, zapewne z miasta. Być może tutaj znalazła swoją szansę, zawsze mniejsza konkurencja. Podobno za młodu była prostytutką. Odkąd sama pamiętała, piła zapewne, co popadnie, na alkohol zebrała pod supermarketami, czasem kradła. Dostawała też jakąś zapomogę z opieki społecznej, a także parę groszy za „pilnowanie” terenu ogródków. Została znaleziona martwa w śnieżnej zaspie przy drodze prowadzącej nad pobliski staw. Musiała tam leżeć przez kilka dni, bo zamarzła na kość. Pochowano ją na koszt gminy, na pogrzebie obecna była tylko osoba reprezentująca urząd oraz kobieta z opieki społecznej. Nawet żaden pijak nie przyszedł. Jak żyła, tak umarła, niemal anonimowo – podsumowali moi rozmówcy.

To było wszystko. Niewiele. I nadal żadnych powiązań oprócz tego, że czasem piła razem z innymi.

Zapytałam też o psa. Możliwe, że właśnie do niej należał – powiedział jeden z mieszkańców wsi. Dowiedziałam się, że ktoś go regularnie dokarmia, nawet by go wzięli do siebie, gdyby tylko dał się złapać. Uspokajali mnie, że na działkach zawsze znajdzie sobie gdzieś legowisko. Skoro ludzie mogą, to i on może. Nie bardzo mnie to uspokoiło, dlatego mimo wszystko zawiadomiłam odpowiednią organizację. Ludzie

żyją na własną odpowiedzialność, ale z jakiej racji ma cierpieć Bogu ducha winny zwierzak, który jest w końcu od człowieka zależny?

Zaplanowałam sobie jeszcze kilka rozmów w najbliższym czasie. Tyle tylko mogę zrobić, licząc, że dowiem się czegoś, co pomogłoby wyjaśnić te dziwne „przypadki”. Zobaczymy, co przyniosą...

Kryszewo, luty

– Znalazł się ten cały Józek – oznajmił Ryba. – Cały i zdrowy. Całkiem niepotrzebnie się o niego zamartwiałaś.

Wpadli na siebie przypadkiem przed rondem. Aspirant spieszył się do komisariatu, Felicja planowała przepytac dyrektorkę gminnej szkoły przed feriami. Policjant ucieszył się na widok dziennikarki, lecz rozmawiał z nią całkowicie neutralnie. Jeśli przez jakiś czas miała obawy, że będzie ją nękał, to się pomyliła. Zachowywał dystans, którego mu pozazdrościła. Może się uniósł honorem. Albo po prostu ma mnie gdzieś – pomyślała z lekką goryczą, która ją samą zadziwiła.

– Gdzie się znalazł?

– Okazało się, że po historii z Nowakiem zdjął go strach przed klątwą. Choć twierdzi, że nie pije, co najwyżej piwko od czasu do czasu u Renaty. Nikomu nic nie mówiąc, wyjechał do córki, która mieszka w Kościerzynie. Nie chciał się wstydu najeść, kolesie by się z niego śmiali.

– Całe szczęście. Wypytałeś go o tę cholerną klątwę?

– Nie chce gadać. – Zygmunt naciągnął czapkę głębiej na uszy i zasłonił usta szalikiem. Mróz nie złagodniał, szczypał niemiłosiernie. – Powiedział tylko coś w tym guście, że klątwa jest ślepa. I że to nie pierwszy raz. Próbowałem pociągnąć go za język, ale mam wrażenie, że w nim religia walczy o lepsze z zabobonem. W końcu mnie przegnał, wykrzykując, że on tylko powtarza, co inni gadają. Ale nie chciał zdradzić kto.

– On kościółkowy?

– Zdecydowanie. Za kościelnego robi.

– Rozumiem. Cóż. Wielu tu takich. Ale chyba wiem, kogo pytać...

– Kogo?

– Tę starszą panią w Leśnym Dole. Tę, która mi opowiedziała o Kowalskim. Pamiętasz? Mówiłam ci. Zdaje mi się, że ona wie wszystko, a do tego nie ma uprzedzeń. Jeśli coś o tej klątwie słyszała, to mi powie.

Na chwilę oboje zamilkli. Felicja zatupała w miejscu, czując, jak skostniały jej stopy w zamszowych botkach. Choć włożyła tego dnia obszerny wełniany płaszcz, zdążyła już porządnie przemarznąć. Ryba machinalnie poprawił jej szal, przytrzymujący na głowie kaptur. Rozczulił ją ten naturalny odruch troski. Nawet odniosła wrażenie, że od razu zrobiło się nieco cieplej. Ludzie dookoła brnęli ciężko w zwolnionym tempie, zmęczeni, zubożętniali, skuleni, nie patrząc na siebie wzajemnie, tylko pod nogi, by się nie poślizgnąć lub nie wpaść w zaspę. Wszystko wokół trwało jakby zamrożone, na wpół zastygłe – otulone bielą i skute lodem miasteczko oraz jego mieszkańcy.

– A teraz dokąd się wybierasz? – zapytał aspirant.

– Do szkoły – przyznała się uczciwie. Skoro się wymaga od kogoś szczerości, trzeba ją też samemu okazać. Przynajmniej od czasu do czasu.

– A, bo tam Nowak pracował?

– No. I podobno miał zwyczaj molestować uczennice. Może dowiem się czegoś więcej.

– Nie odpuszczasz, pani redaktor.

– Ja? Dobrze wiecie, że nigdy, aspirancie. – Mrugnęła do niego.

Uśmiechnął się.

– No i za to cię lubię. To tak samo jak ja. Więc... mogę zajrzeć do ciebie któregoś dnia po robocie? Wymienimy się spostrzeżeniami.

Wzruszyła ramionami.

– Dlaczego nie, wpadaj. Tylko zadzwoń najpierw, bo możesz mnie nie zastać. A tak przy okazji, chyba nasze apele poskutkowały. Ludzie się bardziej pilnują. Mniej pijaków chodzi po ulicach. Zauważyłeś?

– To prawda. – Skinął głową. – Boją się. Nareszcie zrozumieli, że to nie przelewki. Godziny policyjnej nie wprowadzę, ale uzgodniłem z właścicielem knajpy, żeby wcześniej zamykał pub, tak samo jak pizzerię. Przynajmniej póki zima nie odpuści. A sklepikarzy postraszyłem poważnymi konsekwencjami, jeśli będą sprzedawać alkohol nietrzeźwym. Serio, zamierzam to kontrolować.

– Super. Zawsze coś. – Poklepała go po ramieniu z uśmiechem. – No to leczę, bo mi dyrektorka ucieknie!

Później

– Pani Stefańska, ja bardzo proszę nigdzie nie pisać takich rzeczy, w jakim świetle to stawia naszą szkołę! – zaperzyła się dyrektorka, niska korpulentna kobieta dobrze po pięćdziesiątce, krótko ostrzyżona i w okularach, ubrana w lekko wymięty kostium, według Felicji typowa nauczycielka bez pasji, za to ze zbyt dużym stażem.

Wygląda na sztywną, apodyktyczną i wiecznie wkurzoną. I ten zwrot, po nazwisku, co za maniery – pomyślała zniesmaczona – pewnie do uczniów tak samo mówi, tyle że bez „pani”. No to do tablicy, Stefańska!

– Pani dyrektor. – Skrzywiła się. – Problem jest chyba trochę poważniejszy niż reputacja szkoły. Bo to głównie pani problem. Nie powiedziałam, że zamierzam o tym pisać lub tę sprawę nagłaśniać. Prosiłam tylko o wyjaśnienie. Czy wiadomo pani było, że szkolny woźny zachowywał się niestosownie wobec dzieci? Bo chyba musiała pani coś o tym wiedzieć, jeśli to prawda.

Gabinet był dość ciasny, umeblowany brzydką meblościanką z minionej epoki. Na niej dostrzegła mnóstwo plastikowych oraz kartonowych teczek, segregatorów, a także kilka grubych książek. Na wprost wejścia wisiała reprodukcja Wyspiańskiego. Oprócz tego były jeszcze: zielona wykładzina, biurko z komputerem stacjonarnym, dwa krzesła, jeden samotny fotel, godło wiszące pod sporych rozmiarów drewnianym krzyżem na tle jasnożółtej ściany. Kobieta nerwowo przekładała leżące na biurku sterty dokumentów. Dziennikarka poprawiła się na

krześle dla petentów, cierpliwie czekając na odpowiedź. Wreszcie dyrektorka spojrzała na nią, zdjęła okulary i przetarła je chusteczką.

– Przyznaję, były takie plotki – odparła. – Ale ja w to nie wierzyłam. Nowak pracował u nas długo, a dzieciaki opowiadają różne rzeczy. Mają swoje fantazje. I nic w tym dziwnego! To też wina was, dziennikarzy! Nasłuchają się o molestowaniu i pedofilii w telewizji, bo to teraz taki modny temat, to i powtarzają, bawi je, że mogą dorosłym zaszkodzić...

– Pani chyba żartuje?

– Nie, wcale nie żartuję. Nie zna pani współczesnej młodzieży. Są cwani, wyrachowani. Bezwzględni. Nie to, co dawniej.

– Ale nie sprawdzała pani tego?

– Niby jak? – Wzruszyła ramionami. – Nikt go nigdy na niczym nie przyłapał, tylko słowo przeciwko słowu.

– Aha. A słowo uczniów mniej waży?

– Proszę mi nic nie insynuować! Nowak zresztą zaraz po tej aferze odszedł na emeryturę...

– Czyli była jakaś afera?

– Źle się wyraziłam. Po tych pomówieniach. Nawet rodzice nie uwierzyli w te historie. Dzieciaki naśmiewały się z niego, to znaczy z pana Nowaka, bo to prosty człowiek, no i, rzeczywiście, zdarzało mu się wypić. Choć nigdy w pracy, nie dopuściłabym do tego! Nie wypuszczał ich na przerwach na papieroska, więc się mścili. A teraz biedak ledwie żywy. Jeśli nawet miał coś na sumieniu, to go już sam Pan Bóg pokarał – uderzyła w tkliwy ton. – Współczuć mu trzeba.

– Pana Boga w to nie mieszajmy. No dobrze. A teraz kto jest woźnym?

– Teraz nie mamy już żadnego woźnego, tylko dwie portierki. Na zmiany. Kobiety. No i dochodzące sprzątaczkę. I jeszcze raz bardzo proszę, by nie robić użytku z tych informacji! Nie chcę żadnych kłopotów. Szkoła ma dobrze funkcjonować, a takie spekulacje bynajmniej jej nie służą.

– Rozumiem. – Dziennikarka się uśmiechnęła. – Jasne.

– A mogę wiedzieć, kto roznosi te obrzydliwe ploty? Jacyś uczniowie? Czy rodzice?

Felicja pokręciła głową i wstała. Dyrektorka została na swoim miejscu za biurkiem, z powrotem przekładała papiery i długopisy. Ręka drżała jej nieznacznie, ale dziennikarka to spostrzegła.

– Nie, tego nie może pani wiedzieć – odparła zimno. – Bo to bez znaczenia. Dziękuję pani za rozmowę, była pouczająca. Do widzenia.

Kobieta się zaczerwieniła, pewnie bardziej z gniewu niż zawstydzenia. Nie odpowiedziała, mierzając dziennikarkę nieprzyjaznym wzrokiem. Felicja wyszła, zamykając za sobą drzwi. Tylko sekretarka uśmiechnęła się do niej nieśmiało na pożegnanie.

Wieczorem

Zaparzyła kawę i połamała na talerzyku tabliczkę czarnej czekolady. Ryba

przyszedł zdenerwowany. Już przez telefon wyczuła, że jest nie w sosie. Sama też czuła się dość podle, rozmowa z dyrektorką szkoły wyprowadziła ją z równowagi, nie spodziewała się aż tak daleko posuniętej hipokryzji. Oboje stwierdzili, że mimo późnej pory zasługują na mocną kawę.

– Na mnie kawa nie działa – powiedział policjant z roztargnieniem. – Spoko. Nawet mnie czasem usypia.

– Tylko mi tu nie zaśnij. Coś się stało? Bo ja nie miałam zbyt dobrego dnia. Ta wasza dyrektorka ze szkoły gminnej to koszmarnie babsko!

– Opowiadaj – poprosił, wzdychając.

Opowiedziała, wściekając się po raz kolejny. Aspirant natomiast trochę się chyba rozluźnił.

– Faktycznie, paskudna baba – przyznał z uśmiechem, żarłocznie chrupiąc czekoladę. – Pamiętam ją. Też chodziłem do tej szkoły. Kalwicka uczyła mnie matmy, jeszcze nie była dyrektorką. Ale już wtedy była wredna. Tego Nowaka też trochę pamiętam, robił tam za woźnego chyba od stu lat. To były jeszcze inne czasy, nie mówiło się tak otwarcie o molestowaniu czy o pedofilii. Rozumiesz, temat tabu. Nikt by tego na głos nie wypowiedział, za skarby świata. Tutaj na wsi pewnie tym bardziej niż tam u was, w wielkim mieście. Wtedy Kryszewo naprawdę było wsią, nie to co dziś. Za to doskonale sobie przypominam, że nie cierpieliśmy dziada.

Felicja napiła się kawy. Uspokajała się powoli. Tego dnia naprawdę cieszyła się z towarzystwa aspiranta: lepiej było porozmawiać, niż samotnie rozmyślać, poddając się frustracji.

– Dlaczego?

– Był śliski. Tyle ci mogę powiedzieć. Nie pamiętam zbyt wiele z tych czasów. To było dawno temu.

Teraz ona się uśmiechnęła.

– Z czego się śmiejesz? – obruszył się.

– No bo rzeczywiście to musiało być wieki temu – parsknęła. – Jesteś przecież już okropnie stary! No dobra. – Zignorowała jego obrażoną minę. – Żartowałam. A u ciebie co? Bo jak tu wszedłeś, wyglądałeś jak chmura gradowa.

Ryba sięgnął po kolejny kawałek czekolady. Zaraz na wstępie oznajmił, że jest po kolacji. Więc nie nalegała. Sama również zjadła wcześniej kawałek camemberta.

– U mnie też syf – wyznał. – Akurat kiedy ty się handryczyłaś z Kalwicką, mnie wezwali do komendy. Czułem się jak na dywaniku, choć niby mieliśmy tylko omówić sprawę. Ten komisarz jaja sobie ze mnie robił. Myślał, że nic nie kumam. Oni chyba serio uważają, że wiejski glina to tępy głupek, matoł opóźniony w rozwoju. Rozumiesz, potraktowali mnie jak debila! Palanty. Dochodzenie prowadzą, a robią sobie z niego zabawę. Wiesz, co mi kazali robić?...

– Nie wiem – przyznała rozbawiona jego zaciętrzewieniem.

– Kazań nam wlepiac wysokie mandaty pijakom, patrolować teren i, kurde, spisywać terenówki! No i z wieśniakami gadać... to jest cytat... bo my jesteśmy na miejscu, a oni mają ważniejsze zadania. Jasne. Dla zgrywy nadali sprawie kryptonim „królowa śniegu”. Rechotali, jakby to był świetny dowcip. Nieoficjalny kryptonim, bo na razie mamy trzymać gęby na kłódkę, choć o tej królowej i tak już

wróble na dachach ćwierkają. Oczywiście oni w nią nie wierzą. Dalej się upierają, że pijak miał wizję. Ale jak naprowadzałem gadkę na te ślady obcasa, to zmieniali temat. Że to już nie dla mnie, za ciemny jestem...

Machnęła ręką i zapaliła papierosa.

– E, przesadzasz. Przewrażliwiony jesteś. Taki mają styl. A jeśli chodzi o te patrole... to chyba całkiem niegłupi pomysł. Tak mi przyszło do głowy, właśnie chciałam ci to powiedzieć. Bo pomyśl. Pijak widział „królową”...

– Królową Śniegu – sprostował.

– Królową Śniegu. Okej. Czyli zastanówmy się, co naprawdę mógł widzieć. Po pierwsze, mógł mieć przywidzenia, to jasne. Choć jego opowieść brzmiała realistycznie...

– Wiem, że z Gretą u niego byłyście – przerwał jej znacząco.

– No, fakt, nie da się ukryć – odparła z uśmiechem. – Lećmy dalej. Po drugie, dla porządku: mógł widzieć postać z bajki. Co odrzucamy, bo postacie z bajek nie istnieją. Chyba. Tak czy nie?

Ryba wzruszył ramionami. Dolał sobie kawy z dzbanka, chociaż już pewnie wystygła. Felicja wstała i odruchowo włączyła czajnik, by zrobić nową.

– Założmy jednak, że żadne baśniowe stwory po świcie nie latają – kontynuowała.

– Cóż więc tak naprawdę zobaczył? A raczej kogo? Moim zdaniem widział kobietę. Żywą kobietę, która skojarzyła mu się z bohaterką znanej każdemu z dzieciństwa bajki. Pewnie kobietę w bieli, może w białym futrze, kozuchu albo w płaszczu. W obszytym misiem kapturze, a może w eleganckiej czapce. Kto wie, czy nieozdobionej jakimiś perełkami, cekinami albo na przykład srebrną nicią. I to nakrycie głowy wziął za diadem. Kobieta musiała być raczej atrakcyjna. Zgoda? Dobrze kombinuję?

– I w kozakach na wysokim obcasie – dodał.

– No właśnie. – Skinęła głową. – Dlatego uważam, że patrole to dobry pomysł. Skoro ta laska jeździ terenówką...

Aspirant się zaśmiał.

– Myślisz, że tego nie robimy? Nie sprawdzamy? Od samego początku, czyli od kiedy Nowak z tym wyskoczył, szukamy baby w terenówce pasującej do opisu! Do tego patrolujemy odludne tereny, na ile się, kurde, da, bo w końcu kilkoro nas tylko jest w komisariacie. Nie da się być w wielu miejscach jednocześnie. Brakuje ludzi, nie rozdwoimy się!

– Spokojnie. To jasne. Ale może w końcu traficie na jakąś podejrzaną babę. Zanim znowu kogoś zwiedzie na manowce.

– A jeśli nawet trafimy? To co? Co jej zarzucimy? Co najwyżej, że nie poinformowała policji o tym, że spotkała i zostawiła kogoś w lesie, żywego czy martwego. To byli dorośli faceci. Zapomnij...

Felicja zalała kawę wrzątkiem i postawiła dzbanek na stoliku.

– Nowak mówił, że dała mu się napić – zauważyła.

– No i co z tego? To jeszcze nie przestępstwo. Kto jej udowodni, że działała z premedytacją? Może głupia?

Dziennikarka westchnęła.

– Tak czy inaczej, trzeba działać. Jadę do tej babci z Leśnego Dołu. Jutro. Ta klątwa nie daje mi spokoju.

– Jechać z tobą? – zapytał z ożywieniem.

Pokręciła głową.

– Nie, jeszcze nie teraz. Chcę z nią pogadać sama, rozumiesz: jak kobieta z kobietą. – Wyszczrzyła zęby.

Ryba podniósł rękę.

– Ja jej proponuję nieoficjalną współpracę, a ona mnie znowu spławia! – poskarżył się w powietrze. – Dziennikarze to sępy – dodał.

Zachichotała. W sumie racja. Taki zawód. Słyszała to już z tysiąc razy, dawno temu przestało ją złościć. Miała gotową odpowiedź: gdyby nie te sępy, żylibyście w nieświadomości, bo władza zazwyczaj nie dzieli się wiedzą ze społeczeństwem. Jednak podarowała sobie, wiedziała, że ze strony Ryby to tylko nieszkodliwa prowokacja. Poza tym bądź co bądź reprezentował władzę.

– Idę sobie. Dopijesz kawę sama? Ale dryndnij jutro, czy udało ci się coś z kobieciny wyciągnąć. – Wstał i sięgnął po kurtkę. – Cholera, późno już. I znowu temperatura spadła. Mam nadzieję, że mi wóz odpali, nie chce mi się zasuwac na piechotę w taką parszywą pogodę...

– Jeszcze zamarzniesz – rzuciła ironicznie.

Zmrużył oczy i odparł z uwodzicielskim uśmiechem:

– Mam nadzieję, Felu, że przynajmniej byś po mnie płakała?

Nie zareagowała na „Felę”, choć miała szczerą ochotę palnąć gówniarza w łeb. Zadowolona z siebie – że nie dała się sprowokować – odprowadziła go na dół i zamknęła za nim drzwi wejściowe. Padała z nóg, nie miała ochoty się przekomarzać. Przez okno usłyszała uruchamiany silnik.

Nazajutrz

Ponieważ od samego rana hulał mroźny i przenikliwy wiatr, zrezygnowała tego dnia z wyprawy do Leśnego Dołu. Ledwie miała chęć wyściubić nos z domu. Podobno jutro ma się uspokoić, zapowiadali nawet, że temperatura podniesie się o parę stopni – niewiele, ale jednak. Co prawda przyniesie to zapewne kolejne opady śniegu, mimo to będzie nieco cieplej, przyjaźniej. Odłożyła wyjazd. Przypomniała sobie za to o księdzu. Młody był, co nie oznaczało jednak, że nie zna swoich owieczek. Czy może baranków? Nieważne – swojej trzódki. Musi znać, jeździ przecież po tych wsiach z kolędą. Przeszła się pod kościół, był pusty, żadna msza się akurat nie odbywała. Obok stała plebania: pokaźny nowoczesny sześcian, w formie niedużego wielorodzinnego bloku, choć mieszkał tam jeden proboszcz i jeden wikary, chyba nikt więcej. Było tam jeszcze biuro parafialne, a na parterze mieścił się sklep z dewocjonaliami. Nie wiedziała, czy i gdzie powinna zadzwonić – domofon nie miał żadnych oznaczeń – jednak gdy się nad tym zastanawiała, z budynku wyszedł właśnie ksiądz w sutannie. Rozpoznała go z pogrzebu Kowalskiego: młody, łysiejący od czoła, postawny brunet. Wiedziała już od Greta, że to nowy proboszcz. Nowy,

czyli urzędujący od kilku lat, bo wcześniej był „stary” – dosłownie i w przenośni, sprawował bowiem swoją funkcję przez kilkanaście lat. Młody kapłan zamaszystym krokiem zmierzał w kierunku ustawionej obok głównego kościoła kaplicy. Na sutannę narzucony miał kozuch, niezapięty, wyglądało na to, że udaje się dokądś tylko na chwilę. Ryzyk fizyk, postanowiła go zaczepić. Nie miała wielu pytań.

– Przepraszam! – Zastąpiła mu drogę. – Nie chcę przeszkadzać, ale poświęciłby mi ksiądz minutkę?

Zatrzymał się i zmarszczył brwi.

– Szczęść Boże – odparł z naciskiem. – W jakiej sprawie? Biuro parafialne...

– Ja nie do biura, tylko do księdza. Jestem rzecznikiem prasowym urzędu gminy, zajmuję się sprawą tych ostatnich tragicznych zamachów. Ksiądz ze swej strony z pewnością też. Myślę, że moglibyśmy wymienić się wnioskami. W końcu najważniejsze jest bezpieczeństwo ludzi, moglibyśmy współpracować...

Tym razem on jej przerwał.

– Cóрко, ja ciebie chyba nigdy u siebie na mszy nie widziałem?

Felicja osłupiała. Patrzyła na niego, podejrzewając, że żartuje. Ksiądz jednak świdrował ją poważnym, surowym wzrokiem. Nieomal groźnym. Nie wytrzymała, parsknęła śmiechem. Znalazł się kolejny samiec zasłaniający się autorytetem swego urzędu – pomyślała z rozbawieniem.

– Proszę pana... to znaczy, proszę księdza – odpowiedziała w końcu. – Niech ksiądz sobie nie kpi. Nie jestem pańską córką, ksiądz jest ode mnie młodszy. Zgadza się, nie znamy się z kościoła, nie chodzę na msze, jestem niewierząca. Ale nie w tej sprawie przyszedłem. Interesuje mnie, co ksiądz proboszcz zamierza zrobić, by niepotrzebnie nie ginęli ludzie. To przecież wasi parafianie. Autorytet księdza... Kościoła w ogóle... mógłby bardzo pomóc. Oni was przecież słuchają.

Mężczyzna w sutannie się naburmuszył.

– Jak trwoga, to do Boga? – zauważył drwiąco.

– Niby kto, ja? – wkurzyła się. – Czy ci wierni? Zdawało mi się, że Bóg od tego jest, by przygarniać swoje owieczki, gdy są w trwodze. Po to chyba istnieją kościoły? Bo ja akurat przyszedłem z urzędu. Z urzędu do urzędu, że się tak wyrażę. Liczyłam na wsparcie parafii, proszę zrozumieć, mnie chodzi po prostu o bezpieczeństwo ludzi.

– Ma pani na myśli wsparcie materialne? – podchwycił.

– Nie, nie. Proszę się nie obawiać. Chodziło mi raczej o wpływanie na ludzi, uświadczenie im zagrożeń. Działania wychowawcze. Ci ludzie, w większości są to mężczyźni, nadużywają alkoholu. Narażają się na niebezpieczeństwo. Gdybyśmy wszyscy wspólnie...

Ksiądz zerknął na zegarek, który miał na ręku.

– Proszę pani, to są dobrzy, bogobojni katolicy – odparł. – Nie moja rzecz dyktować im, co mają robić ze swoim życiem, jeśli regularnie spowiadają się, chodzą do kościoła i przyjmują Chrystusa. Naszym zadaniem jest dbać o ich dusze.

– Aż tak dosłownie? Proszę księdza, zamarzyło już kilka osób! Ich dusze wołają o pomstę do nieba!

– Widocznie taka była wola boża.

Ponownie ją zatkało. Z takim argumentem nie potrafiła dyskutować.

– Dobrzy katolicy? – spróbowała z innej beczki. – Bogobojni katolicy, katujący po pijanemu swoje rodziny, żony i dzieci?

Proboszcz zmierzył ją znaczącym spojrzeniem.

– Są cięższe grzechy. Niech się pani nie obawia o cudze zbawienie, tylko o własne. Pan Bóg osądzi sprawiedliwie każdego w odpowiednim czasie. Pani twierdzi, że jest niewierząca. Ale ochrzczona pani była, he?

Felicja z trudem powstrzymała się przed wydrapaniem mu oczu. Co za nadęty, nonszalancki, ograniczony bufon! – myślała z furją, która kipiała w niej, usiłując wydostać się na zewnątrz. Opanowała się z trudem.

– Ochrzczona? Możliwe, proszę księdza, choć prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, żebym wyrażała na to zgodę – oznajmiła. – Może powinnam zażądać odszkodowania? W jednym się z pewnością zgadzamy: ja również mam nadzieję, że jeśli Bóg istnieje, osądzi każdego. Sprawiedliwie. To by chyba było na tyle. Choć nie, jeszcze tylko jedno księdzu powiem: hipokryzja przez was przemawia. Hipokryzja, wygodnictwo i chciwość. Tutejsi ludzie są ufni. Prości, pokorni. Prawda? Tego ksiądz od nich nie usłyszy, dlatego usłyszał ksiądz ode mnie. Bo ja jestem wolna, mam wybór. Szkoda, że nie chce pan... ksiądz... pomóc tym ludziom. Tak zwyczajnie, po ludzku. Przy swoich możliwościach, przy takim kredycie zaufania. Ale to sprawa pańskiego sumienia.

Proboszcz rozejrzał się w popłochu dookoła. Na szczęście – a może na nieszczęście – w pobliżu nie było żywej duszy. Tylko wichur dalej hulał. Dziennikarka otuliła się ciasniej płaszczem.

– Do widzenia – pożegnała się i zawróciła.

– Proszę pani! – usłyszała za sobą. – Może jednak zajrzy pani któregoś dnia na mszę? Zapraszam. Nigdy nie jest za późno na skruchę...

Odwróciła się z powrotem.

– Kto wie. Coś mi się przypomniało. Słyszał ksiądz coś o klątwie, która podobno dotknęła to miasteczko i jego okolice?

– Nie tolerujemy zabobonów – odparł z godnością. – Proszę wybaczyć, spieszę się do kościoła. Mam obowiązki wobec Boga, nie wysłuchuję herezji wygłaszanych przez błędzące jednostki. To grzech. Moi wierni o tym wiedzą.

Zaśmiała się i odeszła, już bez słowa. Zabobony zawsze widzimy wyłącznie po przeciwnej stronie – zauważyła w duchu z niesmakiem.

Następnego dnia, w południe

Dobrze się czuła w przestronnej kuchni pani Skowrońskiej, przy rozgrzanym piecu i gorącej czekoladzie w dużym kamionkowym kubku, zupełnie jak w domu. Starsza pani uradowała się na jej widok, od razu wyjęła ze spiżarki świeże ciasto, placek ze śliwkami, oczywiście własnej roboty. Ucieszyło ją, że nie będzie go jadła w samotności.

– Dawniej to do mnie Felek czasem zaglądał, jak trzeźwy był, choć ostatnio to było coraz rzadziej, niestety. – Westchnęła. – Teraz to już nikt nie przyjdzie. A ja te

ciasta z nawyku piekę, bo może akurat kto wpadnie, jak choćby pani dzisiaj. Przez całe życie piekłam dla ludzi. A tak to tylko z psem się podzielę, on też lubi słodkie. – Kobieta uśmiechnęła się pogodnie, choć głos miała smutny.

Felicja domyśliła się, że Felek to Feliks Kowalski – sąsiad Skowrońskiej i w pewnym sensie jej podopieczny. Odwzajemniła uśmiech, przełykając czekoladę, nieco za słodką, za to aromatyczną i esencjonalną. Nie tylko rozgrzewała. Uspokajała. A może to sama starsza pani w ten sposób na nią działała.

– Pani Janino, ja tu przyjechałam, żeby o coś panią zapytać – wyznała.

– No przecież domyślałam się, że nie jechała taki kawał drogi przez te śniegi, żeby ze mną tylko placka pojeść! – Staruszka zachichotała. – Mów, dziecko, co cię trapi. Jak dam radę, pomogę. Chodzi o Feliksa?

Felicja dołożyła sobie drugi kawałek ciasta. Nie musiała dbać o linię, sama jej wychodziła. Zazwyczaj raczej zapominała o posiłkach.

– Nie, tym razem nie o niego. Choć to się wiąże... Mam tym razem bardziej ogólne pytanie. Czy pani może słyszała coś o jakiejś kłątwie, która niby dotknęła tę okolicę? Wciąż o niej słyszę od ludzi, ale jak przychodzi co do czego, nikt nie chce na ten temat rozmawiać. Coś bąkną, więc próbuję dopytywać, a wtedy nagle zapada milczenie. Nie rozumiem tego, a mam wrażenie, że to może mieć jakiś związek z przypadkami tych zamarzeń. O co w tym chodzi, nie domyśla się pani?

Starsza kobieta zamyśliła się. Usiadła.

– Wstydzą się pewnie – odparła. – Myślą, że taka miastowa pani ich wyśmieje.

– Raczej boją się swojego proboszcza. Miałam okazję z nim rozmawiać. Zdradził mi, co myśli o wiejskich zabobonach. – Usłyszała sarkazm w swym głosie, więc na wszelki wypadek zamilkła. Jednak Skowrońskiej to nie obeszło. Kontynuowała, grzejąc sobie dłonie o gorący kubek:

– To pewnikiem też. Ten proboszczunio młody, ale ponoć srogi. Ja tam do tego kościoła nie chodzę, tyle, co od sąsiadów słyszałam. Do żadnego nie chodzę, bo za daleko. Ewangeliczka jestem – wyznała – z dziada pradziada. Ale Boga ma się w sercu.

Dziennikarka skinęła głową z przekonaniem.

– Prawda. Ale pani coś o tej kłątwie wie – dodała domyślnie.

– Ano, słuchy mnie doszły, piąte przez dziesiąte.

– Opowie mi pani?

– To już stara historia, sprzed lat. Bardziej z ludzkich języków mi znana niż z własnej pamięci. Ale pewnie, że powiem, co wiem. Czemu by nie? – Kobieta zamyśliła się na chwilę, zapewne usiłując przypomnieć sobie szczegóły.

Felicja czekała w milczeniu, by jej nie rozproszyć lub nie zniechęcić. Wyjęła swój notes, w którym zapisywała co ważniejsze informacje. Skowrońska nie zwróciła na to uwagi. Najwyraźniej to jej nie przeszkadzało.

– To było ze dwadzieścia lat temu. Może nawet więcej... – zaczęła gospodyni.

– Czyli lata dziewięćdziesiąte, tak? – upewniła się dziennikarka.

– Ano jakoś tak, już po tych przemianach politycznych, wie pani, o czym mówię. Może jakie kilka lat potem. Też zima była sroga, prawie jak ta obecna. I tak jak teraz mieliśmy tu w gminie taki sam ciąg zamarzeń, człowiek po człowieku.

Zaraz... niech no sobie przypomnę... z sześć albo i siedem osób tego było. Wszyscy pomarli jeden po drugim. Mężczyźni, ale i ze dwie babki. Identycznie pijaniutcy w sztok, choć nie wszyscy to byli pijacy, tacy, wie pani, co to nic, tylko nadużywają, jak ci obecni. Te kobiety to ponoć normalnie niepijące były, ale ile w tym prawdy, to nie mam pojęcia. Wtedy w każdym razie były napite. Strach padł na mieszkańców. Ino z tego takiego halo jak dziś nikt nie robił, raczej, jak to się dziś mówi, wyciszyli sprawę, by się dalej nie rozniosła. Ale ludzie i tak gadali. To chyba wtedy po raz pierwszy zaczęto w okolicy mówić o tej całej kłątwie. Że niby jeszcze z czasów tego naszego pegeeru się wzięła...

– Jak to z pegeeru?

– Ano tak. – Skowrońska się mieszała. – Jo więcej nic o tym nie wiem. Nie robiłam tam nigdy, znaczy w pegeerze, wtenczas, za komuny, zajmowałam się gospodarstwem, a mąż w stoczni zarabiał, więc nie obeznani byliśmy. Ino wiem, że coś tam z tym pegeerem było na rzeczy. – Urwała, nie patrząc w oczy dziennikarce.

W widoczny sposób była zdenerwowana. Felicja rozpoznała to po jej sposobie mówienia: gdy była spokojna, starała się poprawnie po polsku układać zdania, w nerwach używała kaszubskiego akcentu i wiejskiej wymowy.

– Ale nic pani nie słyszała na ten temat, o co chodziło?

Kobiecina cały czas uciekała wzrokiem, wyraźnie speszona.

– No nic, więcej nic. Ale niech pani zapyta innych. Pani się przecie koleguje z naszą radną, a to wspaniały człowiek. Dużo dla gminy działa, dobra dla ludzi, tylko chwalić. I mądra bardzo, ta pani Gretka, młoda, ale kształcona. No i stąd pochodząca. Ona coś powinna o tym wiedzieć – wybąkała niepewnie.

Felicja pokręciła głową.

– Niestety, Greta twierdzi, że nic nie wie. Wtedy, za pegeeru, była jeszcze dzieckiem. Co mogłaby z tamtej epoki pamiętać?

– Ale te zamarznienia wcześniejsze chyba pamięta?

– Możliwe, coś nawet wspominała, że to nie pierwszy raz – przypomniała sobie Felicja. – Ale tylko tyle...

Skowrońska się ożywiła.

– O, już wiem! – weszła jej w słowo. – Do Józka Mortki pani idzie! Ten na pewno pamięta, był brygadzystą w pegeerze. On zresztą o tej kłątwie opowiadał.

Felicja od razu skojarzyła Józka Mortkę z gniewnym dziadkiem ze sklepu Renaty. Musiało o niego chodzić.

– Zdaje się, że wyjechał do córki – powiedziała.

– Już wrócił, spotkałam go ze dwa dni temu, jak chrust zbierał. Mieszka w tym małym domku na uboczu, zaraz po drugiej stronie szosy. Jak pani do krzyżówki dojedzie, to w lewo, w dół, pomiędzy drzewami taki zjazd jest. I zaraz obejście Józka. Sam mieszka, odkąd mu żona pomarła, a dwie córki za mąż wydał.

– A, to blisko. Chętnie z nim porozmawiam, dziękuję za radę. Pani Krysiu, a co było dalej? Rozumiem, że po tamtej serii zamarznień sprawę wyciszono, ale później? Nie zdarzyły się kolejne podobne historie?

– Nie, aż do dziś. Znaczący, jakieś pojedyncze to były, raz na ten przykład jeden młody chłopak z potańcówki wracał, z kumplami się pokłócił, pijanego zostawili po

drodze w rowie, bo i sami trzeźwi nie byli, no i nieszczęście gotowe. Ale, jak mówię... podobnych nie było. Niech pani sobie nie myśli, że nasza gmina gorsza od innych, to nie żadna gmina pijaków! Tyle tu piją, co i wszędzie. Większość to porządni ludzie, sama pani widzi, co ja będę tłumaczyć. Nie wiem, za co taka pomsta.

Obie zamilkły. Gospodyni dokroiła ciasta i nastawiła wodę na kawę. Felicja zapisała nowo poznane fakty w notesie.

– Pani знаła tych ludzi? Tych, co wtedy pozamarzali? – zapytała jeszcze.

– Nie za bardzo. – Staruszka opłukała kubki po czekoladzie i nałala do nich kawy. – Tyle co z widzenia, i to tylko niektórych. Oni nie z naszej wsi byli.

– Żadnych nazwisk pani nie pamięta?

Skowrońska pokręciła głową.

– Gdzież tam, po tylu latach, dziecko! Pamięć już nie ta. Gazety o nich nie pisały, ale może kto inny spamiętał. W samym Kryszewie niech pani Felicja popyta. I tam dookoła, w tych pegeerowskich wioskach, bo to stamtąd ludzie byli. A i ja mam pytanie do pani. O co się rozchodzi z tą królową śniegu, o której Nowak opowiada?

– Pani była u Nowaka, rozmawiała z nim pani, prawda?

– Ano byłam, bo się z nim od dawna znam. Sąsiad przecie, a nikt inny by się do niego nie pofatygował. Pomarańczy mu zawiozłam, ale nie pozwolili zostawić.

– Myśmy się pofatygowały. Z Gretą. – Felicja się uśmiechnęła.

– A, no to ładnie z waszej strony, bardzo ładnie. Tak należało. Wam też o tejże królowej gadał?

– No gadał, pani Krysiu. Trudno powiedzieć, o co mu chodziło. Może po prostu był pijany i widział rzeczy, które nie istnieją?

– Tak też w pierwszej chwili pomyślałam. Że w pijanym widzie mu się majaczyło. Ale on tak gadał, jakby to święta prawda była!

– Trudno powiedzieć – powtórzyła dziennikarka. – Będę lecieć, dziękuję pani za pomoc. Wreszcie dowiedziałam się czegoś nowego. I za pyszny poczęstunek. – Uściskała staruszkę na pożegnanie.

– Ale niech pani lepiej nikomu nie mówi, że to ode mnie wyszło – poprosiła Skowrońska, odprowadzając ją do drzwi. Felicja zdziwiła się, ale obiecała, że postara się nikomu tego nie zdradzić. Przynajmniej nikomu postronnemu.

Gdy wyszła przed dom, sypał śnieg. Na razie drobnymi płatkami, ale coraz gęściej. Prognozy okazały się trafne, mróz rzeczywiście zelżał w nocy, choć i tak było około minus piętnastu stopni za dnia, w związku z czym należało się spodziewać kolejnych opadów śniegu. Zwykle tak się działo tej zimy, gdy temperatura rosła, choćby tylko o kilka stopni. Żywiół za nic nie chciał odpuścić, jak na złość. Zarzuciła na głowę kaptur i podbiegła do auta, które zostawiła kawałek dalej, za płotem, na poboczu. Na podwórko Skowrońskiej nie było wjazdu. Śnieg ją od razu obsypał, przywierając do palta. Nie topił się, był zbyt zmrożony. Dobrze chociaż, że ma tę terenówkę, bo widoczność i warunki na drodze z pewnością się pogorszą, a chciała jeszcze za jednym zamachem dopaść tego Józka. Miejskim autkiem bałaby się jeździć w nieznanne miejsca przy takiej pogodzie. Ale skoro już tu była, warto skorzystać.

Miała niedaleko, po drodze, a najlepiej pójść za ciosem. Zanim wsiadła do samochodu, otrzepała się ze śniegu, zatupała też butami, by nie nanieść do środka śniegowej brei. Pomachała przez szybę starszej pani i ruszyła, pilnując zjazdu, który gospodyni jej opisała. Rzeczywiście był zaraz za skrętem na główną szosę – nieoznakowana dróżka prowadząca w dół, w las. Wjechała w nią z duszą na ramieniu, jednak okazało się, że nie było aż tak źle, rozłożyste sosny zatrzymywały śnieg, na ścieżce było trochę ślisko, lecz w miarę bezpiecznie. Po kilkunastu metrach wyjechała spomiędzy drzew na coś w rodzaju niewielkiej polanki, pokrytej teraz białym całunem. Chatkę zobaczyła już z oddali, pod kolejną ścianą lasu. Była mała, drewniana, z niskim spadzistym dachem, otoczona drucianą siatką. Zauważyła objazd, z którego będzie mogła skorzystać przy zawracaniu, zostawiła więc samochód na jego skraju, a dalej już poszła na piechotę, miejscami zapadając się w starym śniegu. Nowy szybko ponownie ją obsypał, nic sobie jednak z tego nie robiła. Przynajmniej był czysty, dziewiczy. Miejsce też było pełne uroku, dzikie, odizolowane od świata. Po chwili już była pod płotem, furtkę zastała otwartą. Nigdzie nie widząc dzwonka, zapukała do drzwi. Cisza. Wyglądało na to, że chata jest pusta, gospodarza zapewne nie było w domu. Nawet pies nie zaszczekał, nie dostrzegła budy, więc pewnie żadnego psa stary Józek nie miał. Mieszkał tu, wśród lasów, sam jak palec. Już miała zawrócić, gdy z boku niedużego podwórka zauważyła ludzkie ślady, których padający od niedawna śnieg jeszcze nie zdążył zasypać. Prowadziły do wejścia, a następnie pod frontową ścianą chałupy, po czym skręcały w bok, za dom. Ślady były dwojakie: duże odciski męskich traktorów zmieszane z mniejszymi, które wyglądały na damskie. Dość wyraźnie odznaczał się ślad obcasa. Może stary wrócił tu razem z córką? Może oboje są gdzieś na tyłach? – pomyślała, i po chwili wahania udała się w tym samym kierunku. Z tyłu chaty rozciągała się kolejna biała płaszczyzna, zawalona stertami drewna, cegieł oraz jakiegoś żelastwa wystającymi spod podartej folii. Pod samym ogrodzeniem stała drewnutnia. To do niej prowadziły ślady. Nie zawracały. Felicja podążyła za nimi. Zawołała, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, nie słysząc też z wewnątrz żadnego ruchu, uchyliła szerzej niedomknięte, skrzypiące boleśnie skrzydło drzwi...

Stary mężczyzna leżał w poprzek klepiska, częściowo wsparty o palety z kłodami drzewa. Obok bezładnie spoczywała góra chrustu, zapewne tego samego, który poprzedniego dnia zebrał w lesie. Nie musiała podchodzić bliżej ani go dotykać, by wiedzieć, że był sztywny. Sprawiał wrażenie lodowej bryły. Oczy miał zamknięte, włosy oszronione, wargi zastygłe w grymasie przypominającym upiorny uśmiech. Woskowa twarz niczym maska z malującym się na niej wyrazem błogości, odprężenia. Było to bardziej przerażające od najgorszych sennych koszmarów, od wszystkiego, co w swoim życiu widziała i czego kiedykolwiek doświadczyła. O wiele straszniejsze od filmowych horrorów. Felicja najpierw skamieniała. Z trudem powstrzymała paniczny krzyk, zakrywając dłonią usta. W jednej chwili zrobiło jej się gorąco. Wycofała się, niemal potykając o własne nogi. Drażącą ręką wyciągnęła komórkę z wewnętrznej kieszeni palta. Ze zdenerwowania nie utrzymała jej, telefon wyslizgnął się z dłoni w polarowej rękawiczce. Podniosła go, odblokowała. Na szczęście działał, warstwa świeżego śniegu zamortyzowała upadek. Trzykrotnie

wystukiwała numer, zanim udało jej się połączyć z Rybą...

Dzień później, po południu

– No i jak ty się czujesz, biedaku? – zatroszczyła się Greta, stawiając przed nią dzbanek herbaty i filiżankę, a obok siebie espresso. – Trzymasz się jakoś po tej traumie? Ja ci współczuję, taki koszmar...

Felicja potarła dłonią skronie.

– Jakoś się trzymam, jak widzisz, choć co przeżyłam, to moje – odparła. Wsypała do napoju łyżeczkę cukru i od razu wypila kilka łyków, dmuchając, bo herbata była gorąca. Dopiero teraz poczuła się lepiej, być może mocny aromatyczny napar pomógł jej się odprężyć, a może była to raczej zasługa kojącej obecności przyjaciółki, z którą już niejedno przeżyła.

Spotkały się w miejscowej kawiarni przy rynku, a raczej cukierni połączonej z miniaturową samoobsługową kawiarenką na trzy stoliki. Dawali tu za to doskonałą kawę i prawdziwą herbatę. Nie z saszetki, tylko zaparzaną w dzbanku, po angielsku. Greta zachodziła tu często po zebraniach rady gminy, a tym razem zadzwoniła do Felicji z prośbą, by do niej dołączyła.

– Wyobrażam sobie. – Pokiwała głową współczująco. – Nie co dzień człowiek znajduje czyjeś zwłoki. Ale co ty tam właściwie robiłaś?

– Byłam u starszej pani Skowrońskiej, od niej się dowiedziałam, że ten Mortka wrócił już od córki, więc w drodze powrotnej chciałam do niego zajrzeć.

– Ale po co?

– Po co, po co. Żeby pogadać. On coś podobno wiedział o tej klątwie. No ale już nic nie powie.

– A pani Krystyna nic nie wiedziała?

– No, w zasadzie niewiele – odpowiedziała wykrętnie. – Tylko tyle, że w latach dziewięćdziesiątych mieliście tu podobną serię tajemniczych zamachów. I że stąd wzięła się ta opowieść o klątwie. Ty ich nie pamiętasz?

Greta spochmurniała.

– Coś tam pamiętam – odparła. – Ale nic konkretnego. Wiesz, że ja się wtedy borykałam z własnym życiem. To jeszcze były inne czasy, takie rzeczy zamiatano pod dywan. Chcesz ciastko? Bo ja owszem.

– Nie, dzięki. Zaczekaj. Skowrońska powiedziała coś jeszcze...

Greta już podnosiła się od stolika, teraz zastygła.

– Co?

– Że tamte zgony miały coś wspólnego z pegeerem.

– Pegeer już wtedy praktycznie nie istniał, był w likwidacji! – oznajmiła radna podniesionym głosem. Obejrzała się w stronę lady i dodała ciszej: – O co jej właściwie chodziło? Zdradziła coś więcej?

– Nic. Tylko tyle. Mówiła, że sama nic więcej nie wie. Dlatego pojechałam do tego Józka, bo podobno był dawniej pracownikiem pegeeru.

– Możliwe – skwitowała Greta. – Ja o tym nie wiem, ale może był. Idę po ciastko. –

Poszła do bufetu, gdzie przez dłuższą chwilę marudziła przy torcikach. W końcu wybrała jeden i uśmiechnięta wróciła do stolika. Felicja miała ochotę zapalić, jednak zakaz palenia wisiał jak wół na ścianie obok wejścia.

– Czekoladowy – oznajmiła radna. – Żałuj. No dobra, a teraz opowiadaj. Pojechałaś do tego Mortki i co?

Felicja wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

– Zobaczyłam ślady butów, poszłam za nimi, no i w szopie znalazłam trupa. W takie zimno smarki w nosie zamarzają, a facet leżał tam pewnie od wielu godzin. Ubrany tylko w sweter i kamizelkę, po domowemu. Był jak bryła lodu. Zadzwoiłam do Ryby. Policja przyjechała bardzo szybko, najpierw mundurowi z patrolu, zaraz po nich pogotowie, Ryba, a trochę później ci z Gdańska, w cywilu. Razem z nimi medyk sądowy i technicy. Wszyscy gliniarze maglowali mnie po kolei. Na koniec jeszcze musiałam jechać za Rybą na komisariat, gdzie spisali zeznanie, które musiałam podpisać. Potem wróciłam do domu i najzwyczajniej w świecie padłam.

– To były ślady Mortki?

– Ślady były podwójne. Pewnie Mortki, ale jeszcze muszą to oficjalnie potwierdzić. Obuwie się zgadzało. Drugie ślady były mniejsze i chyba damskie, z obcasem. Podśluchałam, że identyczne z tamtymi znalezionymi przy poprzednich nieboszczykach. Do tego na swetrze Mortki coś znaleźli. Ale nie wiem dokładnie co. Ryba coś mętnie mamrotał, że jakby włosie, białe, możliwe, że ze sztucznego futra. I siedź cicho, bo nie mamy prawa o tym wiedzieć! Będą te włosy dopiero badać w laboratorium.

Greta znieruchomiała z widelczykiem w dłoni. Odsunęła od siebie talerzyk z torcikiem, który Felicja machinalnie przysunęła do siebie, żeby łyżeczką wyjadać krem.

– Czy to znaczy, że już na sto procent chodzi o morderstwo? – wypaliła w końcu radna, zabierając talerzyk sprzed nosa przyjaciółki. – Zostaw to ciastko, nie chciałaś... Rany boskie, grasuje tutaj seryjna zabójczyni?! Bo chyba nie wierzysz, że Królowa Śniegu?

– Na sto procent to nie ma nic. Choć wszystko na to wskazuje.

– Mordująca alkoholików dla zabawy?

– Tyle że podobno ten Józek wcale nie był alkoholikiem – sprostowała dziennikarka. – A przynajmniej od dawna już nie pił niczego oprócz piwa, towarzysko, od czasu do czasu. I sam pomstował na pijaków.

– Ale może ona o tym nie wiedziała?

– Może.

– A przed śmiercią był pijany?

– No właśnie. Na to wygląda.

Greta spochmurniała. Miała na sobie granatowy kostium, elegancki błękitny kożuszek wisiał przewieszony przez poręcz krzesła. Lśniące jasne włosy spięła w ciasny koczek z tyłu głowy. Felicja poczuła bijący od niej zapach perfum – dyskretny, lecz zmysłowy. Gustowny, jak wszystko, czym się otaczała. Radna Pazik roztaczała dookoła autorytet władzy nawet wtedy, gdy oblizywała widelczyk z czekolady.

– Co teraz zrobisz? – zapytała.

– Zamierzam dowiedzieć się, ile się tylko da, o tych poprzednich ofiarach, tych z początku lat dziewięćdziesiątych – odparła dziennikarka bez zastanowienia. – I ustalić, jaki mogły mieć związek z waszym byłym pegeerem. Nie wiem jeszcze, gdzie szukać. Ale znajdę. Pomożesz mi?

Radna nie odpowiedziała. Dopiero gdy zbierały się już do wyjścia, odezwała się do Felicji niespodziewanie:

– Przejdź się do naszej biblioteki. Tam siedzi nasza pani Terenia, jest kierowniczką. Taka starsza, siwa, w okularach. Odkąd pamiętam, zbiera wszystko, co dotyczy gminy, to jej pasja. Lokalna patriotka, kopalnia informacji. Mogę się założyć, że u niej znajdziesz dosłownie wszystko...

FELICJA

Sama już nie wiem, czy byłam bardziej przerażona, czy podekscytowana tym, że moje przeczucia zaczynają się sprawdzać, i to już nie przelewki, bo nawet sam Ryba potwierdził jednoznacznie, że śmierć Mortki to przełom. Dopiero teraz nawet dochodzeniówka musiała uznać, że mamy do czynienia z przestępstwem, co w połączeniu z poprzednimi przypadkami nasuwa mrozący krew w żyłach wniosek: mamy seryjnego. A raczej seryjną, jeśli wierzyć poszlakom, a wszystkie na to wskazują: odciski damskiego obcasa, zeznania świadka (Nowak) oraz ślady sztucznego futra w kolorze białym na ciele ostatniej ofiary. Ta informacja została już potwierdzona przez laboratorium kryminalistyczne, wyciągnęłam to w końcu z Ryby, choć wił się jak piskorz i – co oczywiste – zakazał mi o tym mówić, pisać, przyznawać się, że wiem. Doceniam jego zaufanie, dlatego zachowam ten fakt dla siebie, póki będzie trzeba dla dobra śledztwa, które nareszcie ruszyło pełną parą. Oczywiście Nowak, dla własnego bezpieczeństwa przebywający aktualnie na odwyku, dalej zapiera się, że widział samą Królową Śniegu, tego jednak, że w okolicy zmaterializowała się jakaś fantastyczna istota, policja nie bierze pod uwagę. Tylko matki znów straszą nią swoich nieposłusznych beniaminków – dokładnie jak w tej bajce. Mnie ona też w dzieciństwie przerażała. W całej sprawie jednak kryje się coś więcej niż czyjaś ewentualna fascynacja baśniami Andersena, choć być może i ten aspekt nie jest przypadkowy. Nie wiem. Jeszcze nie wiem. W każdym razie nikt poza mną nie interesuje się miejscową kłątwą. Nawet Zyga zbywa mnie w tej kwestii, a Greta stuka się w czoło. Jest jak zwykle niechętna wywlekaniu starych spraw, które w niezbyt pochlebnym świetle stawiają kryszeuską społeczność. Tymczasem intuicja mi podpowiada, że to w tej domniemanej kłątwie należy szukać źródła obecnych wydarzeń, a do działania czuję się zobligowana nie tylko swoim stanowiskiem jedynej dziennikarki w gminie, ale przede wszystkim faktem, że odkąd znalazłam zwłoki starego Józka Mortki, zostałam jakby wciągnięta oraz zaangażowana osobiście w całą historię przez siłę wyższą. Kimkolwiek lub czymkolwiek jest. Dla mnie może być nawet Królową Śniegu. Dlaczego zginął Mortka, czego lub kogo się bał? W ogóle dziwne, czego ci ludzie się boją. Albo co ukrywają. O co w tym wszystkim chodzi?! Czy to możliwe, że w dwudziestym pierwszym wieku dorośli ludzie obawiają się jakiejś realnej kłątwy? A jeśli tak, to przecież z jakiegoś powodu, do cholery. Policja głowi się nad motywem, uparcie lekceważąc ludzkie gadanie. A w końcu właśnie ono przetrwało wieki, z nich powstały ustne tradycje, a nawet stało się podwaliną wielu mitów i legend, w których zawsze tkwi przecież ziarno prawdy. Nawet historycy korzystają z tego skarbcza kultury ludowej. Zdecydowałam się więc pójść tym tropem, nie wiedziałam tylko, którą drogą się poruszać, by nie zawędrować na manowce. Greta mnie

naprowadziła – wiem, że wbrew sobie, jest jednak osobą, która zawsze w ostatecznym rozrachunku kieruje się własnym sumieniem. Czasem, jak sama twierdzi, ku własnej zgubie. Za tę cechę charakteru ją cenię, a ona o tym dobrze wie. Pod tym względem się nie różnimy. Zresztą... i tak prędzej czy później bym na to wpadła. Sprawdziłam zatem godziny otwarcia gminnej biblioteki, zadzwoniłam i umówiłam się na spotkanie z panią kierownik Teresą Szmidt. Udało mi się porozmawiać z nią osobiście, była bardzo przejęta. Chyba ją zaintrygowałam, choć nie uprzedziłam, o co chodzi, wspomniałam tylko, że potrzebuję pomocy, a jej wiedza... i tak dalej. Tak więc będzie mnie oczekiwać jutro przed południem, kiedy w wypożyczalni nie ma zbyt wielu odwiedzających. O tym fakcie nie poinformowałam od razu ani Greta, ani nawet aspiranta. Zawsze przecież zdążę to zrobić. Może mają rację i robię z siebie idiotkę. Ale jeśli nie...

CZĘŚĆ III

Była piękna i zgrabna, ale cała z lodu, z olśniewającego, błyszczącego lodu, a jednak żyła: oczy patrzyły jak dwie jasne gwiazdy, ale nie było w nich spokoju ani wytchnienia.

Kryszewo, luty

Felicja wstała rano, by nie zasnąć. Do dwunastej uporała się z tekstami do cotygodniowego wydania gminnej gazety i wysłała je do swojej korektorki. Następnie wrzuciła świeżą porcję obowiązkowych nowinek na portal i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wyłączyła komputer. Zostało jej jeszcze trochę czasu na ubranie się, w bibliotece umówiona była na trzynastą. Zwykle dopiero po piętnastej zaczynał się ruch, bo przychodziła młodzież szkolna po lektury, ale teraz akurat trwały ferie, więc i tak nie miało to większego znaczenia. Powinno być spokojnie przez cały dzień, choć kryszewska biblioteka szczyli się sporym czytelnictwem – z nieskrywaną dumą oznajmiła bibliotekarka, gdy rozmawiały przez telefon. Zamykają o siedemnastej.

Śnieg dalej sypał. Mróz dawał ostatnio odrobinę wytchnienia, jedynie w nocy dochodził do minus dwudziestu stopni. Zrezygnowała z płaszcza, ocieplana kurtka wystarczy. Czarna, z kapturem. Na miejsce dotarła kilka minut przed czasem. W normalnych warunkach w sam raz na papieroska – pomyślała z żalem – ale przy tych opadach średnia przyjemność. Otrzeпаła się z białego puchu i od razu weszła do środka. Przy biurku zastała śliczną młodą dziewczynę, która na jej widok oderwała wzrok od laptopa.

– Pani rzecznik do kierowniczkii? – spytała ze znaczącym uśmiechem, wskazującym na to, że panna jest z tych wszytkowiedzących.

– Właśnie – odparła Felicja, rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu, lecz do granic możliwości zapchanym regałami pełnymi książek. Oprócz niej i bibliotekarki nie było tu nikogo.

– Jest na zapleczu – wyjaśniła dziewczyna. – Przyszła specjalnie ze względu na panią, bo dziś akurat przypada mój dyżur. Pracujemy tu na zmiany. Musi pani pójść dalej korytarzem i w prawo.

Felicja podziękowała i zamierzała ruszyć na poszukiwanie biura kierowniczkii, kiedy młoda kobieta zatrzymała ją pytaniem:

– Czy pani szuka informacji o dawniejszych czasach Kryszewa?

– Zgadza się... Ale pani ich raczej nie pamięta – odparła dziennikarka z uśmiechem.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Chodzi pani o tych pijaków? Nie muszę pamiętać, wszyscy w gminie wiedzą. Nie trzeba wracać do przeszłości, żeby wiedzieć. Należało im się.

Felicja przyjrzała się jej. Była naprawdę piękna. Klasyczna uroda: czarne włosy, jasna cera, regularne rysy, może tylko nosek lekko zadarty. Latem pewnie ma na nim piegi. Ale wyraz twarzy niesympatyczny, zacięty. Aż szkoda niebanalnej urody. I ten zimny jak lód szyderczy uśmieszek, bardziej przypominający odpychający

grymas. Młode pokolenie bezwzględnych Polaków – przeszło jej przez myśl.

– O których pijakach pani mówi?

– Tych czy innych, nieważne. To prymitywna czerwona hołota, nieroby, im szybciej wymrą, tym lepiej.

Dziennikarka spojrzała jej prosto w oczy. Tamta odwzajemniła jej spojrzenie, patrząc z wyzywającą zuchwałością.

– Nieładnie tak mówić o ludziach – odezwała się Felicja. – I niezbyt mądrze, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia...

Usłyszała ciche kroki za swoimi plecami i obejrzała się, do środka weszła stara kobieta, stanęła przed biurkiem bibliotekarki. Trzymała pod pachą trzy obłożone w folię książki, zapewne do zwrotu. Dziennikarka skorzystała z okazji, by przerwać tę dziwną rozmowę i wyjść stamtąd wreszcie. Pomieszczenie raptem wydało jej się duszne. Pożegnała się zdawkowo. Dziewczyna nie odwzajemniła uprzejmości, nawet nie odpowiedziała, zerknęła tylko na nią ironicznie i odebrała książki od nowo przybyłej.

Felicja szybko odnalazła gabinet kierowniczkę, zapukała i – słysząc „proszę” – zajrzała. W małym pokoju pod oknem znajdowało się równie małe biurko, za którym siedziała i czytała książkę siwowłosa kobieta dobrze po sześćdziesiątce. Widząc gościa, uniosła się z krzesła, zdjęła okulary do czytania i założyła inną parę, spoczywającą w futerale leżącym obok monitora.

– Pani Stefańska, prawda? – W przeciwieństwie do swojej pracownicy miała przemiły, ciepły uśmiech. – Teresa Szmidt. Zapraszam, proszę spocząć. Może kawy?

– Z przyjemnością.

Felicja zajęła fotel po przeciwnej stronie biurka. Rzucił jej się w oczy stojący obok drzwi drewniany wieszak, a na nim dwa okrycia: krótka dzinsowa kurtka podbita białym mieniem oraz granatowy płaszcz z kołnierzem obszytym futerkiem. Również białym. Wzdrygnęła się mimowolnie. To już obsesja – zgaśniła się w myślach. Starsza pani zakrzętnęła się tymczasem przy ekspresie do kawy, który już za moment zaczął zachęcająco bulgotać. Dziennikarka nie była co prawda kawowym koneserem, ale lubiła ten dźwięk. I zapach kawy. Bardziej zapach niż smak. Tym razem z przyjemnością przyjęła parującą filiżankę. Czuła się niewyspana, a przed nią jeszcze długi dzień.

– Wobec tego słucham panią. – Kierowniczka usiadła z powrotem na swoim miejscu. – Rozumiem, że chodzi pani o przeszłość. Przygotowałam się. – Wskazała książkę, którą przed chwilą przeglądała, oraz stos innych książek i papierów leżących na biurku. – Resztę, jeśli będzie trzeba, bez najmniejszego kłopotu odnajdziemy w naszym archiwum komputerowym. Wszystko przechowujemy teraz w postaci cyfrowej, idziemy z duchem czasu. – Uśmiechnęła się.

Dziennikarka odchyliła się na oparcie krzesła. Wyglądało na to, że obie były gotowe na długą rozmowę.

Dwie godziny później

Spotkały się z Gretą w parku, w którym o tej porze roku było pusto, nawet dzieciaki się tutaj nie bawiły. Tylko jakiś starszy mężczyzna ciągnął na smyczy w stronę wyjścia opierającego się rudego spaniela, najwyraźniej pan – w przeciwieństwie do psa – miał już dosyć spaceru. Po chwili obaj zniknęli za bramą. Śnieg przestał padać, za to zaczęło wiać, a mroźne podmuchy przedostawały się nawet przez najgrubsze warstwy odzieży. Może dlatego radna stawiała się na spotkanie nie w humorze. Od razu na wstępie zadeklarowała, że może zostać tylko kilka minut, bo po spotkaniu ze swoimi wyborcami marzy o kąpeli i domowym obiedzie, a ma jeszcze trochę roboty papierkowej. Felicja w zasadzie zmusiła ją do przyścia tutaj, jednak to Greta odmówiła wizyty w jej biurze, właśnie z powodu braku czasu.

– No więc o co chodzi? – zapytała, spoglądając na koleżankę wyzywająco i drżąc w swoim błękitnym kożuszk, bardziej wyjściowym i ozdobnym niż chroniącym przed prawdziwym zimmem. Ruszyły powoli, ramię w ramię, na coś w rodzaju wymuszonego sytuacją spaceru, w głąb głównej alejki parkowej, gdzie natychmiast obsypał je śnieg zdmuchiwany przez wiatr z gałęzi drzew.

Felicja przez dłuższą chwilę patrzyła na nią w milczeniu.

– Dowiedziałam się ciekawych rzeczy w bibliotece – rzekła w końcu. – Nie wierzę, że nie miałaś o nich pojęcia.

– Cholera, zamierzasz tu na mnie naskakiwać?! Jeszcze ci mało? Co masz właściwie na myśli? – obruszyła się przyjaciółka.

– Pod koniec dziewięćdziesiątego czwartego roku oraz na początku dziewięćdziesiątego piątego doszło w Kryszewie i okolicach do kilku zamachów na ludzi. W zasadzie niemal identycznych z tymi dzisiejszymi. Zmarło wówczas w ten sposób aż osiem osób, jedna za drugą, w takich samych okolicznościach. Wszystkie ofiary znajdowały się pod wpływem alkoholu, miały go sporo we krwi, choć nie wszystkie były alkoholikami. Zima była wtedy dość ostra, jednak taka sytuacja zdarzyła się po raz pierwszy w waszej gminie. O ile mi wiadomo, byłaś już wtedy po trzydziestce, miałaś męża, dziecko, żyłaś tutaj i pracowałaś jako urzędniczka. Nie wierzę, że przeoczyłaś coś takiego. Albo że o tym zapomniałaś. Takich rzeczy się nie zapomina. Dlaczego nic nie mówiłaś, przyglądając się, jak szaleję, żeby wydobyć te informacje? – Felicja poczuła, jak ogarnia ją gniew, szczególnie gdy zobaczyła, że Greta zatrzymuje się, nie patrząc na nią, tylko w śnieg pod nogami. – No, masz mi coś do powiedzenia na ten temat czy dalej będziesz udawała idiotkę?!

Radna nareszcie uniosła wzrok. Dziennikarka ze zdumieniem dostrzegła łzy w jej oczach. Nie wiedziała, czy dobrze widzi, może to tylko mroźne powietrze drażniło spojówki. Jednak gdy Greta odezwała się, jej głos był cichy i lekko drżał.

– Masz rację. Pamiętam to. Bardzo dobrze. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że tego nie odkryjesz.

– Dlaczego? – zdumiała się.

– Bo... to oznacza wywlekanie starych spraw, do których wolałabym nie wracać. Nie chciałam, żebyś je rozgrzebywała.

– Jakich starych spraw, do kurwy nędzy?!

– Przestać przeklinać jak szewc! – Greta opanowała się i podjęła spacer. Felicja

ruszyła za nią. Kaptur spadł jej z głowy, narzuciła go z powrotem, ciasniej owijając szyję szalem, by go podtrzymał. Za kołnierzem momentalnie poczuła zimny puch. Za chwilę zamienił się on w chłodną strugę. Greta miała na głowie wełniany kapelusik, pod którym na sto procent marzły jej uszy. Obie jednak przestały w tym momencie cokolwiek czuć. – Dobra. Powiedz, czego dowiedziałas się od pani Teresy. Powiem ci wszystko, tylko nie mam pojęcia, od czego zacząć...

Felicja wzruszyła ramionami.

– W sumie dowiedziałam się w skrócie tylko tyle. Mam też kilka nazwisk tych zamarzniętych osób, ale bibliotekarka nie wszystkie pamiętała. A w ówczesnej prasie ich nie wymieniano. W ogóle znalazłyśmy tam tylko lapidarne wzmianki, najwyraźniej nikt się wtedy na ten temat nie rozpisywał. Może Ryba odnajdzie coś w policyjnych archiwach. Wiem też, że większość tych ludzi była w jakiś sposób powiązana z waszym pegeerem, który wtedy już faktycznie nie działał, był w stanie likwidacji. Od tej chwili narodziła się ta legenda o klątwie. Niektórzy podobno myślą, że ma to jakiś tajemniczy związek „z komuną”. Pani Teresa niejasno się o tym wypowiadała. Twierdziła, że tej sprawy nie zna. Ale ona też, tak samo jak pani Kryśia z Leśnego Dołu, skierowała mnie do ciebie. Nie pytaj dlaczego. Nie chciała powiedzieć. Wszyscy tu przecież dobrze wiedzą, że się przyjaźnimy. Więc nie dziw się, że cię tu od razu ściągnęłam...

– Okej. – Radna pokiwała głową i westchnęła. – Rozumiem. Durna byłam, myślałam, że uda mi się tego uniknąć. No więc... dobrze. Wygrałaś. Może zresztą tak trzeba. Tylko błagam, nie tutaj, zamarzam! Chodźmy do mnie, dobrze? Zaparzę gorącej herbaty z rumem i wszystko ci opowiem...

Pół godziny później

Greta zwlekała z parzeniem herbaty. Była roztrzęsiona. Tłumaczyła sobie, że po prostu przemarzła, jednak widziała, że najbardziej drżą jej ręce, a w głowie czuła zamęt. Chaos. Felicja czekała w salonie, ona tymczasem nadal nie była gotowa na tę rozmowę. Nie wiedziała, ile może i powinna jej zdradzić. Ani jako przyjaciółce – to trudne, nie chciała, żeby postrzegano ją samą, Gretę Pazik, przez pryzmat tamtej historii – ani tym bardziej jako dziennikarce. Bo przecież nie tylko o nią chodziło. Może nawet najbardziej ucierpiałyby na tym gmina, jej mieszkańcy, ich duma ze swojego miejsca na ziemi. Czyli wartości, które były dla niej najważniejsze, o które od lat walczyła, w które święcie wierzyła. Czuła, jak wali się cały jej świat, prywatny i zawodowy. W końcu jest politykiem. Co z tego, że lokalnym. To jej terytorium, kocha ten kawałek kraju ponad wszystko. Kto jednak zechce popierać radną, która... której... Trudno to nawet zwerbalizować! A świat jest bezwzględny. Byle co może dziś zniszczyć człowieka, jego karierę, życie osobiste. Nie mogła jednak dłużej zwlekać. Felicja i tak dokopie się prawdy. Jak zawsze. Kiedy już złapie trop, nie odpuści, podaży za nim nawet po trupach. Choćby po własnym trupie. A wtedy byłoby jeszcze gorzej...

Herbata była gotowa. Wciąż trzęsącymi się rękoma przelała ją z dzbanka do

cieniutkich chińskich filiżanek, które mąż kupił dla niej w gdańskim antykwariacie, sprawdziła, czy jest dość mocna. Dolała naparstek aromatycznego, ciemnego rumu, na tacy postawiła też cukiernicę z brązowym cukrem trzcinowym oraz talerz kokosowych herbatników. Odetchnęła głęboko, by dodać sobie odwagi. Grunt, by przyjaciółka nie poznała po niej, jak bardzo jest zdenerwowana. Powie tyle, ile będzie musiała. Oceni sytuację na bieżąco. Tak zdecydowała, biorąc tacę i kierując się do pokoju.

Dziennikarka rozparła się w fotelu, nieuważnie przeglądając kolorowe czasopismo. Posłodziła herbatę i powąchała ją.

– Niezły aromat – pochwaliła, odkładając gazetę.

– To dobry gatunek. I dobry rum – mruknęła Greta, siadając naprzeciwko niej, na sofie.

– Nie wątpię. U was wszystko jest dobre. W porządku, no to gadaj wreszcie.

Radna westchnęła ciężko.

– Łatwo ci mówić... Okej, musimy cofnąć się o ponad dwadzieścia lat. Do tych zamarzeń w latach dziewięćdziesiątych, o których wiesz. Rzeczywiście zmarło wtedy aż osiem osób, nie wszystkie nazwiska sobie przypominam, ale część pamiętam dobrze, najwyżej imiona mogą mi się po latach mylić. Napiszę ci je później na kartce, resztę łatwo znajdziesz. Policja na pewno je ma, to żadna tajemnica. I racja, prawie wszyscy ci ludzie byli w przeszłości pracownikami tutejszego pegeeru. Choć nie podejrzewam – dodała szybko – by miało to jakieś szczególne znaczenie! Dużo ludzi z okolicznych wiosek było tam zatrudnionych, w swoim czasie nawet większość. Takie czasy, żaden cud. Szczególnie że, zwróć uwagę, powiedziałam „prawie” wszyscy. Prawie. A to dość istotne. Bo jeden z nich, nobliwy starszy facet, nie miał nic wspólnego z żadnym pegeerem. Nigdy. I nawet nie pochodził z naszej gminy, tylko z Gdańska, nie mieszkał tu, jedynie bywał. Tak więc koncepcja się sypie. – Wzruszyła ramionami. – Ale jedźmy dalej, niech to już mam za sobą. Bo dochodzimy do sedna i może zrozumiesz, dlaczego nie chciałam o tym pamiętać. Ludzie byli przerażeni, mimo że sprawę udało się ówczesnym władzom gminnym, jeszcze z obozu dawnej nomenklatury, wyciszyć na tyle, że nie stała się sensacją medialną. Tak, to wtedy zaczęto przebąkiwać o tej kłątwie. O wszystko obwiniano pegeer, demoralizację, pijaństwo, które tam się odbywało, demonizowano to tak, że urosło aż do przesady... mieszkańcy żyli w tym środowisku przez dziesiątki lat i czasy sprzyjały takim postawom... rozumiesz, świeżo po przemianach ustrojowych... Też przecież pamiętasz, jak to było, nie byłeś już małym dzieckiem. Mam na myśli nienawiść do dawnego systemu. U jednych zresztą nienawiść, u drugich wręcz przeciwnie, w każdym razie temat budził emocje. Skrajne emocje. I w ten sposób rodziły się przesady, a do nich zaliczam gadanie o jakiejś wydumanej kłątwie. Ludzie padali jak muchy, choć wtedy nikomu nie przyszłoby do głowy, że mógł stać za tym jakiś morderca. Dlatego wymyślili sobie, że to jakaś zemsta... czy coś. Jednym z tych ludzi, tych zamarniętych – Greta spuściła wzrok – był mój ojciec...

Zdumiona Felicja aż odstawiła filiżankę, by jej z wrażenia nie stłuc.

– Twój ojciec?! A co on miał wspólnego...

– Z pegeerem? Był jego dyrektorem.

– I nigdy o tym nie wspomniałaś?!

Greta – przeciwnie niż Felicja – sięgnęła po swoją filiżankę, by zająć czymś drżące dłonie. Szybko jednak postawiła ją z powrotem na stoliku.

– Nie chwaliłam się tym – przyznała. – Nie było czym.

– Był... pod wpływem alkoholu? Jak reszta?

– Tak. – Pokiwała powoli głową. – Był pijany jak bąk.

– Ale często pił?

– Pił, choć niby nie był nałogowym pijakiem. Wiesz, wtedy wszyscy pili. To też znak czasów, takie środowisko. Stary należał do partii. Wszystkie interesy załatwiano się tam przy flasce. Ale to, że skończył w rowie jak jakaś szmata, zachlany, bezwolny... mój ojciec... to było dla mnie szokiem. Mogło mieć to związek z tym, że stracił robotę, stołek, musiał przejść na emeryturę, choć był jeszcze w sile wieku. Może właśnie dlatego urznął się na śmierć, nie wiem. Tak przynajmniej myślałam. Chyba że naprawdę ktoś go zabił. Tylko co to zmienia? Dla mnie niewiele. Tak czy inaczej, chlał. Był trudnym człowiekiem, zadufanym w sobie. Kochał władzę nad ludźmi. Pewnie po prostu nie zniósł tego, że już nic nie znaczył. W każdym razie z tego powodu przez lata borykałam się z depresją, tyle że w tamtym czasie nie była ona jeszcze modną chorobą społeczną jak obecnie. Z tego też powodu zmarła mama. Na serce. Nie wytrzymała wstydu, ty nawet nie masz pojęcia, jaka to presja w takiej małej miejscowości. A do tego ja, jak na ironię, znalazłam sobie jeszcze męża pijaka. Nie poznałam się na nim, głupia zadurzona smarkata, choć powinnam, w końcu znałam już symptomy. To wszystko mnie prawie złamało. Miałam myśli samobójcze. Tylko mała trzymała mnie przy życiu. Córka. Musiałam ratować dziecko, które teraz i tak ma do mnie jedynie sto tysięcy pretensji... – Jej głos nagle się załamał.

Felicja wstała i ją objęła.

– Taka bywa cena, trzeba się z tym liczyć. Ale ty nie dałaś się złamać. Przetrwałaś. Zrobiłaś karierę. Zwyciężyłaś.

– Właśnie. No i to wszystko się zawali – wyszeptwała Greta. – Przez tyle lat nikt mnie już z nim nie łączył! Z moim ojcem. A teraz? Starsi sobie przypomną, młodszy się dowiedzą. Wybuchnie skandal. Dla mnie to koniec.

Dziennikarka sięgnęła po filiżankę. Herbata już wystygła. Żadna z nich nie miała siły, by ruszyć do kuchni i zaparzyć nową. Obie zamilkły.

– Gretka, nie dramatyzuj – odezwała się w końcu dziennikarka. – Nic się nie zawali. Nawet jeśli napiszę na ten temat jakiś reportaż, a jeszcze sama nie wiem, czy to zrobię, to przecież nie będę wymieniać żadnych nazwisk ani faktów z czyjegoś życiorysu! Do prasy te szczegóły nie przecekną, uczulę też na to Rybę. Będzie dobrze. Nikt się nie dowie, co najwyżej gliny na potrzeby śledztwa. Poza tym czasy się zmieniły. Kogo to teraz bulwersuje?

– Nie znasz tutejszych! – odparowała radna.

– Przesadzasz. Chyba że to jeszcze nie wszystko?

Greta poderwała głowę zbulwersowana.

– Mało ci?!

- Tylko pytam.
- To wszystko, co wiem.

Następnego dnia, rano

Felicja wstała wyjątkowo wcześnie, bo i tak nie mogła spać, myśli tłoczyły jej się w głowie i dobijały o uwagę, nie pozwalając się zignorować. W końcu przestała z nimi walczyć i usiadła do komputera, by zapisać sobie wszystkie informacje, jakie udało jej się uzyskać poprzedniego dnia w bibliotece, a także od Greta Pazik. Wyglądało na to, że sprawa ruszyła z miejsca. A przynajmniej, że nastąpił przełom w jej prywatnym dziennikarskim śledztwie. Nigdy nie myślała o sobie jako o dziennikarce śledczej, zawsze uważała, że jej żywiołem jest reportaż. Teraz jednak uznała, że jedno z drugim da się świetnie połączyć. Nie potrafiła już odpuścić i stanąć z boku. Gdy przeanalizowała swoje zapiski, dostrzegła, że czegoś w nich brakuje. Czegoś istotnego. Nie namyślając się wiele, sięgnęła po komórkę, by zadzwonić do Greta. Telefon był poza zasięgiem. No tak, za oknem znów szalała śnieżycą. Zakłęła. Ot, wiocha. Zadupie. Prowincja. Wygwizdowo, tylko dzikie lasy i ugory dookoła. W takich sytuacjach tęskniła za dużym miastem, za cywilizacją. Jednak... już chyba tylko w takich. W innych nie było jej zbyt tęskno. W końcu coś za coś. Całe szczęście, że w biurze miała telefon stacjonarny. Ten przynajmniej działał. Radna odebrała po kilku dzwonekach.

– To znowu ty, cholera, mam robotę! – zaprotestowała na wstępie, lecz Felicja nie dopuściła jej do głosu.

– Trudno. Ja też mam – odparła. – Słuchaj, chodzi mi o tego faceta, o którym wczoraj wspomniałaś. Jednego z tych zamarzniętych z lat dziewięćdziesiątych, tego, który nie był z waszej gminy i który rozwała koncepcję. Pamiętasz?

– No, pamiętam... – Greta westchnęła.

– Dawaj mi o nim coś więcej. Kim on był, co miał wspólnego z tą gminą? Na jej terenie umarł?

Usłyszała w tle jakieś hałasy i stuk drzwi. Zapewne Greta wyszła z jakiegoś pomieszczenia pełnego ludzi.

– Dobra. No więc tak... – radna wróciła do rozmowy. – Z tego, co pamiętam, gość był emerytowanym dyrektorem domu dziecka, który znajdował się wtedy na terenie naszej gminy w takim starym pałacyku myśliwskim, dzierżawionym od gminy przez ówczesne kuratorium. Teraz już go tu nie ma, został przeniesiony, bo budynek nie spełniał standardów, no i był za mały. Obecnie znajdują się w nim biura składu opałowego. Sam obiekt od lat czeka na porządną renowację, tyle że funduszy na nią brakuje. Szkoda, bo piękny, dziewiętnastowieczny, na pewno widziałaś go z trasy, stoi za Kryszewem w takim dużym parku. Zdewastowali go, nie remontowali, a kłopot w końcu spadł na nas. Ale mniejsza z tym. W każdym razie gość był tam dyrektorem czy kierownikiem, nie pamiętam. Jeszcze za komuny. Potem odszedł na emeryturę. Tak w ogóle to mieszkał gdzieś w Trójmieście. Dlatego nie wiem, jakim cudem tu go znaleźli zamarzniętego, w naszych lasach. W tym samym czasie co

resztę ofiar, no i w identycznych okolicznościach. Tak jakby specjalnie przyjechał tu się upić, może do kogoś w odwiedziny, cholera wie. Nikt stąd do niego się nie przyznał.

– Pamiętasz, jak miał na nazwisko?

– Nie, ale to sobie chyba znajdziesz. Gazety je raczej przemilczały, ale było na ten temat dość głośno, ludzie plotkowali. Na pewno w aktach policji coś będzie, bo przypominam sobie, że jego sprawę prowadzono oddzielnie, naszymi biednymi chłopami nikt się nie przejmował, ale ten był przecież lokalną szycią. Stary komuch, choć jednocześnie świętoszek. Zaraz po przemianie ustrojowej światopogląd także mu się zmienił, i to dość radykalnie, jak to zresztą często się zdarzało. Zapewne był z tych, co dupsko liżą każdej władzy, niezależnie od opcji. Od razu wystąpił o pozwolenie wybudowania kaplicy maryjnej na terenie tego domu dziecka, w parku. Pozwolenie oczywiście uzyskał, kapliczka nadal tam stoi, o ile mi wiadomo. Babcie się tam zlatują na majowe zdrowaśki, bo teraz park jest otwarty, dostępny dla wszystkich. Wkrótce potem odszedł na tę swoją emeryturę, a nieco później przenieśli dom dziecka. No i kilka lat po tym kipnął.

– Okej, rozumiem. Dom dziecka... ciekawe...

– A co w tym ciekawego?

– Nie wiem jeszcze. Ale czuję, że to może mieć znaczenie. Słyszałaś, że niektóre z obecnych ofiar łączy się na przykład z molestowaniem nieletnich?

Greta się zachnęła.

– Piąte przez dziesiąte, od ciebie i od Ryby. Nie mam pojęcia, ile w tym prawdy. Czyli co, jednak kłątwa ścigająca grzeszników? Sugerujesz, że dosięgło ich ramię jakiejś wyższej sprawiedliwości?

– Nie wiem, czyje ramię – skwitowała Felicja. – Ale właśnie tego zamierzam się między innymi dowiedzieć.

– Zygmuś Ryba z pewnością ci w tym pomoże – zauważyła ironicznie Greta.

– Właśnie nie jestem tego taka pewna. Coś mnie ostatnio omija...

– Co mu zrobiłaś? Zraziłaś do siebie chłopaka? Przecież miałaś go już owiniętego wokół palca!

– Nic mu nie zrobiłam. Nieważne. Masz rację, muszę się z nim skontaktować. Dzięki, stara, wracaj do roboty, pa.

– Pa. I tylko nie zrób jakichś głupot...

Jednak Felicja już się rozłączyła. Szybko dopisała świeże informacje do swoich notatek, po czym dopiero dotarło do niej, że jest wściekle głodna. Śniadania nie jadła, wypila tylko bardzo mocną herbatę, a do tego zapaliła na pusty żołądek, aż zakręciło jej się w głowie. Zajrzała do swojej miniaturowej lodówki, która jak zwykle świeciła pustkami. Stał tam jedynie napoczęty słoik z ogórkami konserwowymi. Nadziała na widelec jednego ogórka i schrupała go wraz z piętka czerstwego razowca. Trzeba zajrzeć do sklepu – zdecydowała – a przy okazji wy badać nastroje społeczne. Tylko najpierw jeszcze zadzwoni do aspiranta.

Dwadzieścia minut później

U Renaty tym razem było dość tłoczno, w kolejce stało kilka osób, a w rogu jeszcze dodatkowo zebrała się ekipa dziadków, co w tak małym pomieszczeniu stanowiło tłum. Felicja, powitana serdecznym uśmiechem sklepikarki, zajęła miejsce na końcu ogonka. W nagrzanym wnętrzu parowały oddechy, a palta wydzielaly charakterystyczny zapach mokrej wełny. Atmosfera panowała senna, ludzie tutaj nie spieszyli się, nie tak jak w dużym mieście. Powoli i skrupulatnie dokonywali swoich zakupów. Renata każdemu wydawała resztę z gotówki, licząc ją starannie, po czym pakowała sprawunki do siatek, z każdym klientem zamieniając kilka zdawkowych uprzejmości. Dziennikarkaomal nie przysnęła na stojąco, gdy nagle z odrętwienia wyrwał ją znajomy głos. W stojącej przy ladzie kobiecie w futrze rozpoznała dyrektorkę miejscowego gimnazjum. Również i tym razem nauczycielka nie sprawiała wrażenia zadowolonej z życia.

– Takie jakieś czerstwe te bułki – grymasiła, macając każdą z nich po kolei. – A ta kiełbasa to przynajmniej świeża?

– Wszystko świeżutkie. – Sklepowa uśmiechnęła się nerwowo.

– Nie wygląda. – Marudna klientka się skrzywiła.

– Więc odłożę. – Renata Dudzińska wzruszyła ramionami, widząc ironiczne spojrzenie Felicji, która pokręciła tylko znacząco głową. W odpowiedzi sklepikarka zamrugowała do niej porozumiewawczo, odkładając wzgardzone produkty za ladę, jednak w tym samym momencie nauczycielka zmieniła zdanie:

– Proszę jednak zapakować mi te bułki – mruknęła nadąsana, zagarniając pieczywo spod ręki ekspedientki i ponownie je obmacując. – Gdzie ja teraz będę jeszcze latać po sklepach. Choć doprawdy mogłyby być świeższe...

Felicja nie wytrzymała.

– Słusznie, że je pani kupi, skoro wymacała je pani już tyle razy, i to bynajmniej nie przez serwetkę – rzuciła.

Kobieta odwróciła się i obrzuciła ją złym spojrzeniem.

– A, to pani. Proszę się z łaski swojej nie wtrącać. Dziennikarka wielka... Nie pani sprawa, co ja kupuję!

– Właśnie że moja, bo ja również zamierzam kupić bułki i mogłyby mi się trafić te obmacane przez panią – zripostowała Felicja.

Sklepowa w milczeniu wydała resztę. W tym czasie do sklepu wszedł Kostek, syn Dudzińskiej. Skinął ogólnie wszystkim głową i wziął sobie z lodówki napój. Zamierzał od razu zniknąć za drzwiami na zaplecze, gdy zatrzymał go podniesiony głos dyrektorki.

– A ty już zapomniałeś, że należy się przywitać, Dudziński? W liceum w mieście tego nie uczą?

Chłopak zatrzymał się w przejściu i obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

– Kiedy ja pani nie poznałem – bąknął. – Bardzo pani przytyła. No i w ogóle... tego. W życiu bym nie powiedział, że to pani.

– Kostek! – wtrąciła ostro Renata.

Młody Dudziński wzruszył ramionami, popijając z puszki.

– Co za wychowanie! Właśnie straciła pani klientkę! – prychnęła nauczycielka,

zabierając swoją siatkę. Odwróciła się na pięcie i zatrzasnęła za sobą z całej siły drzwi, aż wszyscy w sklepie zastygli.

– No i *cool* – zarechotał młody. – Co za... tego... durna baba!

– Elegancka kobitka, ale zła – dodał z kąta jeden z dziadków.

– Zła jak osa! – wtrącił z mocą drugi.

– Panowie jeszcze coś mają do powiedzenia? Myślałby kto. Do tej pory siedzieliście cicho jak myszy pod miotłą! Kostek! A ty mi stąd uciekaj! Przesadziłeś, kolego... I nie pij zimnych napojów z lodówki o tej porze roku, herbaty sobie lepiej zrób! – nakrzyczała na syna Dudzińska.

– Spoko, mamuśka. Już spadam.

– Ale prędko! No!

Przed Felicją czekała już tylko jedna klientka, która poprosiła wyłącznie o pojemnik tanich jajek, chude mleko i śmietanę. Dziennikarka odetchnęła z ulgą, gdy nareszcie przysła jej kolej.

– Uff... – Renata przewróciła oczami. – Ja bardzo przepraszam za tę awanturę.

I dziękuję za wstawiennictwo...

Felicja machnęła ręką.

– Nie ma sprawy. Też już miałam raz przyjemność z tą panią.

– No jest to trudna osoba. Z wiekiem coraz bardziej nieznośna. Nie wiem, jak ona może z dziećmi pracować.

– Chyba już powinna być na emeryturze.

Sklepiarka się zastanowiła.

– Możliwe – odparła. – Ale pewnie nie chce. A tu jej nikt nie ruszy.

– No tak. Poproszę bułki grahamki niemacane, dwa serki topione i cztery pomidory. Od dawna ją pani zna? – zagadnęła Felicja.

– Tę dyrektorkę? Od samego początku, przecież syn chodził do jej szkoły. A wcześniej już miałam sklepik, wtedy jeden z dwóch w całym miasteczku, wyobraża sobie pani? Każdy tu do mnie przychodził zakupy robić. Dać siateczkę?

Dziennikarka skinęła głową, nie pozwalając kobiecie zmienić tematu:

– Od początku, to znaczy...

– No, ze dwadzieścia lat będzie. W dziewięćdziesiątym czwartym się tutaj wprowadziłam, najpierw wynajęłam ten lokal, a później go wykupiłam. W ratach spłacałam, ale chciałam się urządzić, żeby mały miał dom. Młoda byłam, ale już po rozwodzie. Małżeństwo mi nie wyszło, za to biznes owszem! – Zaśmiała się, pakując do foliowej siatki skromne zakupy Felicji.

– W dziewięćdziesiątym czwartym? – podchwyciła szybko Felicja. – To chyba jakoś niedługo przed tymi wypadkami w gminie, kiedy po raz pierwszy hurtowo pozamarzali tutaj ludzie. Na pewno coś pani słyszała, bo podobno głośno o tym wtedy było...

Dudzińska podała jej sprawunki, kręcąc głową.

– Nie za bardzo kojarzę. Może i coś do mnie dotarło, ale raczej tylko obito się o uszy, ja tu wtedy nowa byłam – wyjaśniła. – Wie pani, pani Felicjo, jak to jest. Nikogo jeszcze nie znałam, dopiero się urządziłam, sama, z malutkim dzieckiem. Sklepik jeszcze raczkował. Nie to co teraz, choć powiem pani szczerze, że mam

obawy. Te wszystkie markety, sieciówki... Mogą mnie wypchnąć z rynku. Na szczęście jednak, odpukać, póki co mam swoich stałych klientów. – Uśmiechnęła się. – Staram się stworzyć dla nich coś, czego nie znajdą w wielkich supermarketach. Więc na razie nie panikuję. I liczę na to, że coś jednak synowi w spadku pozostawię. Choć smarkacz wcale nie ma ochoty prowadzić wiejskiego sklepiku. W tym roku robi maturę, potem się wybiera na informatykę, komputery go ciągną. Oj, rozgadałam się, bardzo przepraszam! Obudziła pani wspomnienia z młodych lat. – Rozłożyła ręce. – A tymczasem praca czeka.

Do sklepu weszły kolejne dwie osoby i ustawiły się za Felicją. Dziennikarka odwzajemniła uśmiech.

– W takim razie już lecę. Albo nie, zaraz, chwileczkę... niech mi pani doliczy jeszcze tę paczkę krakersów serowych. – Wskazała. – Nawet dwie paczki, a co tam, będę miała na zapas. Podziwiam panią, naprawdę. Musiało pani być ciężko. Syn w tym roku robi maturę, tak? Może mu się jeszcze odmieni...

– Robi, robi. Niechby wreszcie zrobił. – Dudzińska westchnęła i wstukała do kasy cenę. – Już i tak ma do tyłu. Dwadzieścia jeden lat skończone i dopiero matura. Na szczęście na tyle nie wygląda, więc przynajmniej nie wyróżnia się wśród kolegów z klasy. Po mnie to ma. – Zaśmiała się zalotnie. – Krzyż pański teraz z tymi dzieciakami, mówię pani. Najpierw poszedł normalnie, do państwowego liceum, ale mu się tam nie spodobało. Uczyć się nie chciał, tak po prawdzie. To go do prywatnego posłałam. Tyle że czasu trochę stracił. Tu mu nawet nieźle idzie, w sumie zdolny z niego chłopiec, no ale to czesne... ja aż tak bogata nie jestem! Niech już tę szkołę wreszcie skończy, będzie mi lżej. Byle tylko jeszcze zechciał na siebie zarabiać, a choćby pomóc mi tutaj ten interes rozkręcić, bo studia mu, owszem, marzą się, ja to rozumiem i popieram, ale przez te wszystkie lata sama jedna wszystkiego nie pociągnę. Jest przecież coraz trudniej w tym kraju. Na to, żeby mu jakie stypendium przyznali, nawet nie liczę. – Machnęła ręką. – A jak tu teraz utrzymać dwie osoby z prowincjonalnego sklepiku?

– To prawda, lekko nie jest. Dziękuję, pani Renato. Jutro ma pani czynne?

– Nie, jutro jedziemy do Gdańska, na groby, a potem zabieram młodego do teatru. Ale w niedzielę do południa będzie otwarte. Nas zakaz handlu nie obejmuje, więc zapraszam. – Uśmiechnęła się po raz kolejny.

– To ta kłątwa, pani – odezwał się jeden ze stałych bywalców, pogryzając kwaszonego ogórka.

– Która tym razem? – zainteresowała się Felicja.

Renata zerknęła na nią spod oka i udając, że poprawia sobie grzywkę, popukała się znacząco w czoło.

– A ta, co te ludzi pozamarzali byli – uparcie ciągnął staruszek. – Od tamtej historii się ona wzięła...

– Od jakiej historii?

– Panowie znowu zaczynają? – zniecierpliwiła się sklepikarka. – Klientów mi panowie wystraszą!

– Eee tam... Jo tam i tak nic nie mówię, bom sprawy nie znał, mnie tu wtedy nie było, u Niemca zarabiałem. Tamta belferka wie, o co chodzi. Musi pamiętać, nie to co

wy, młode, i nie stąd – dokończył mężczyzna, wzruszając ramionami.

Dziennikarka próbowała pociągnąć go jeszcze za język, ale zaparł się i nie zdradził już niczego więcej. Wyszła więc ze sklepu, rozmyślając. Staruszek nie powiedział tego przypadkiem. Dyrektorka szkoły. Elegancka, ale zła jak osa. Wystrojona w ohydne futro ze srebrnych lisów. Pasowałoby, cholera. Chociaż... nie, jednak nie; według jedyne go świadka „królowa śniegu” z lasu była piękna jak z obrazka, tymczasem o nauczycielce można by powiedzieć wszystko, ale urodą baba z pewnością nie grzeszyła. Antypatyczna podstarzała wiedźma – pomyślała mściwie. Inna sprawa, że trudno ocenić, co pijany umysł może uznać za piękne. Czasem wystarczy byle makijaż i szykowny strój, by stary alkoholik dojrzał w pierwszej lepszej kobiecie królewską urodę...

Wieczorem

Na stoliku paliła się wielka zapachowa świeca, dodatkowo dwie mniejsze na parapecie, poza tym koza w rogu pomieszczenia również dawała krąg ciepłego światła, podnosząc temperaturę powietrza na poddaszu mniej więcej do piętnastu, w porywach szesnastu stopni. Więcej nie dało się wyciągnąć, gdyż mróz na zewnątrz wprowadził trochę zelżał, ale za to znów hulał zimny wiatr, roznosząc wszędzie tumany śniegu, widoczne z okna w żółtawym blasku latarni ulicznej. Podświetlone w ciemności, sprawiały niemal surrealistyczne wrażenie. Lampy w pokoju zostały pogaszone, Felicja chciała osiągnąć efekt przytulnego gniazdka. Zamiar chyba się udał, bo aspirant Zygmunt Ryba wyglądał na zadowolonego: rozparty w fotelu, w ciepłym swetrze z golfem, popijał z kubka parującą herbatę, nie spiesząc się z informacjami.

– No, masz coś? – nie wytrzymała wreszcie Felicja.

Uśmiechnął się przekornie.

– A tak było miło... – Westchnął. – No mam to, o co prosiłaś. Nie było łatwo w takim tempie. Koleś z policyjnego archiwum w Gdańsku siedział po godzinach, bo u nas nic się z tamtego okresu nie zachowało. Kosztowało mnie to zgrzewkę piwa.

– Dobra, zwróć ci kasę za tę cholerną zgrzewkę.

– Spoko. Nie trzeba, na tyle mnie jeszcze stać z policyjnej pensji. Gorzej, że w pierwszej chwili, kiedy zadzwoniłaś, miałem nadzieję, że za mną zatęskniłaś, ale co robić... Nie po raz pierwszy mnie rozczarowałaś.

– Biedaku! – parsknęła. – Tylko mi nie mów, że sam nie jesteś zainteresowany. I gadaj wreszcie, do czego się dokopałeś, potem możemy pozwolić sobie na gadkę szmatkę. Najpierw konkrety.

Ryba wyjął z plecaka swój tablet, włączył go i wszedł w notatki. Felicja poczuła się jak dinozaur: sama do dziś zapisywała wszystko na bieżąco w starym tradycyjnym notesie z kartkami w kratkę. Teraz też czekał w gotowości bojowej na najświeższe informacje. Sięgnęła po cienkopis i zapaliła lampkę na biurku.

– No więc tak. Nazwiska osób, które wtedy zamarzyły jednym ciągiem. Zakonotuj: Joanna i Jan Krawczykowie, Ramona i Grzegorz Holzerowie, Gabriela

Gawrylczykówna, Piotr Bednarczyk, Krystian Hinz i Waldemar Rogalski...

– Dwa małżeństwa?!

– Właśnie. Dwa małżeństwa w średnim wieku. Do tego następna dwójka żyła w konkubinacie, choć niby jakiś czas przed śmiercią się rozeszli. Ale znaleziono ich razem. Czyli kolejna para. Zupełnie nie kojarzę większości tych ludzi, nawet z nazwiska. Wszyscy oni byli wcześniej pracownikami pegeeru, ale mnie ta epoka szczęśliwie ominęła. Wygląda na to, że pierwsza i trzecia para nie pozostawiła tu po sobie żadnej rodziny, nie mieli dzieci, nie byli stąd. Przyjechali w te strony konkretnie do pracy. Holzerowie mieli syna. Ich wnuczkę, czyli jego córkę, znam z widzenia, mieszka z rodzicami w Kryszewie. Krystian Hinz... był ojcem naszej radnej Grety Pazik. Wiedziałaś o tym? – Zerknął na nią spod oka.

Felicja skinęła głową.

– Tak – odparła z ociąganiem. – Choć nazwiska nie znałam. Wiem tylko, że był dyrektorem pegeeru, wówczas już emerytowanym.

– Zgadza się. Myślę, że to nie będzie miłe dla pani Grety, kiedy ta sprawa znowu wypłynie. Ale trudno. Pazikowa jest jedyną pozostałą przy życiu bliską rodziną tego Hinza. Nie licząc wnuczki.

– Wnuczka siedzi w Stanach, ma gdzieś sprawy rodzinne.

– Wiem. No to jedźmy dalej. Ten Rogalski. Nie jestem pewien, czy go w ogóle liczyć. Facet nigdy nie mieszkał w naszej gminie ani tym bardziej nie pracował w pegeerze, w swoim czasie był kierownikiem bidula... to znaczy domu dziecka. Ten sierociniec stał na naszym terenie, może dlatego gościu zamarzył w lesie pod Kryszewem, choć nie wiem, co tam robił. Też był już wtedy na emeryturze. Facet z wyższym wykształceniem, pedagog, trudno powiedzieć, czy mógł mieć cokolwiek wspólnego z pozostałymi ofiarami. Nic na to nie wskazuje.

– Ale umarł w tym samym czasie i w ten sam sposób, nie? I też po pijaku.

– Owszem. To wszystko pasuje. Wątpię, czy dowiemy się czegoś więcej o tych ludziach. Prasa się na ten temat nie rozpisywała. Oczywiście mógłbym wyszukać jakieś osoby z dalszej rodziny, ale czy ma to sens? Spróbuję przynajmniej namierzyć rodzinę Rogalskiego, bo może oni dalej mieszkają w Gdańsku. Ty pogadaj z Gretą, to twoja przyjaciółka. Co do reszty... ciężko będzie. Nie działałam oficjalnie. Komisarz prowadzący sprawę naszych zamarzeń chciałby ją jak najszybciej zamknąć. Bardzo wątpię, żeby był zainteresowany rozdrapywaniem starych ran.

– Dlatego najpierw sama chcę to zbadać. Przy twojej pomocy, oczywiście jeśli masz ochotę, bo dysponujesz większymi możliwościami. Sam się deklarowałeś, że idziesz na współpracę, o ile sobie dobrze przypominam.

– Bo idę, jak widzisz. – Ryba podrapał się po nosie i dopił resztkę herbaty. – Tylko ty nie doceniasz...

– Doceniam, doceniam. Czeka! Bo wspomniałeś coś jeszcze, że syn i wnuczka tych drugich w kolejności dalej mieszkają w Kryszewie?

– Holzerów? Tak. Facet pracuje w warsztacie samochodowym, a jego córka w naszej bibliotece.

Dziennikarka drgnęła.

– Zaraz, zaraz... W bibliotece? Ta stara?

– Jaka stara, zgłupiałaś, młoda dziewczyna! Taka ładniutka.

– O kurczę. No racja! Pochrzaniło mi się wszystko. Faktycznie, była tam taka młoda dziunia. Miałam okazję poznać. Może i ładniutka, ale kretynka jakich mało. I raczej wredna. – Felicja zmarszczyła nos.

– E, zazdrosna jesteś. Młoda, ładna, bystra. Beata Holzer. Jakieś dwadzieścia lat, mniej więcej.

– Ano, zgadza się. Wstrętna nadęta smarkula z faszystowskimi poglądami. Zero empatii, kultury i taktu. Skrajnie bezwzględna, pozbawiona ludzkich uczuć. Ale wy chyba teraz wszyscy tacy jesteście. Tak to przynajmniej wygląda w Internecie, wystarczy zajrzeć na dowolne forum...

Rozpędziła się i opowiedziała Rybie o swojej wizycie w bibliotece. Aspirant wzruszył ramionami i nadął się.

– Może i taka jest, nie zaprzeczam, nie znam siksy osobiście. Tylko dlaczego uogólniasz? Chciałaś uderzyć we mnie? Myślisz, że w waszym pokoleniu nie ma hejterów, idiotów albo zwyrodnialców? Zawsze byli!

– Okej, sorry – zreflektowała się. – Masz rację, niepotrzebnie uogólniam. Ale ta gówniara strasznie mnie zirytowała. I niestety, wydaje mi się, że taka mentalność jest teraz w modzie, szczególnie wśród młodzieży. Może to wychowanie, a raczej jego brak. Nie wiem. W każdym razie nie pierwszy raz się z tym spotkałam i mnie to bulwersuje.

– Nie rób z siebie babci. Mentalność jest ta sama, tylko sposób wyrażania inny. Po prostu dzisiejsi młodzi ludzie nie są hipokrytami, mówią wprost, co myślą.

– To ja uprzejmie dziękuję – oświadczyła szyderczo. – Skoro to nazywasz myśleniem...

– Dajmy już spokój. Ludzie są, jacy są, nie zmienisz tego. A dziewczyna pewnie jeszcze dojrzeje. Przy niej nawet ja jestem stary! – zażartował.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby to ona mordowała. W imię czystości „rasy” – dodała mściwie Felicja. – Pasowałaby jak ulał. Młoda, piękna, zimna. Prawdziwa Królowa Śniegu. Ta starsza bibliotekarka jest zupełnie inna. Normalna.

Aspirant machnął ręką.

– Przypominam ci, że większość przestępców sprawia wrażenie „normalnych” – podsumował. – A z tą małą sobie pogadam, z jej ojcem zresztą też, może się dowiem czegoś o tym starszym Holzerze. Najważniejsze, że nowych zgonów nie ma. Nikt na dniach nie zamarzł. Zauważyłaś?

– Pewnie dlatego, że mróz odpuścił.

– Wystarczyłby. Raczej z tego powodu, że policja patroluje teren, a po ostatnich zgonach i historii Nowaka zrobiło się o tym głośniej. Ludzie są ostrożniejsi. A może nasza „królowa” już się naszą gminą znudziła i poleciała gdzie indziej?

– Nie kuś losu.

Pochylił się i wziął ją za rękę, po czym przyciągnął do siebie i pocałował. Z początku próbowała się uchylić, jednak po chwili zmiękła. Całując się z nim, myślała o tym, że mogłaby zderzyć z niego ten szorstki sweter, dotknąć jego rozpalonej skóry, pchnąć go na podłogę, usiąść na nim okrakiem i... no i co? Dwa nagie ciała splecione w blasku ognia, jedno piękne i młode, drugie... przechodzone?

Nagle poczuła się żałośnie. Czterdziestoletnia baba parząca się z dwudziestokilkuletnim gówniarzem, a do tego stanowczo zbyt pewnym siebie, bo mu natura dała co trzeba z nawiązką. Jeszcze jedna politowania godna biedna idiotka, która nie potrafiła ułożyć sobie życia w odpowiednim wieku, a teraz jak głodny sęp leci na świeże mięso. Ten szczawik od biedy mógłby być jej synem. Od biedy. Oderwała usta od jego warg i odepchnęła go, po czym wstała.

– Czas na ciebie.

– Felicja... Co się dzieje?

– Nic. To byłby czysty goły seks. Rozumiesz? Tego byś chciał?

– Nie. Nie tylko tego – odpowiedział poważnie.

– Więc na razie nie mam ci nic więcej do zaoferowania – oznajmiła twardo. Nie chciała go krzywdzić. Czuła, że oczekuje od niej zbyt wiele.

Chłopak podniósł się z fotela i sięgnął po kurtkę.

– Będę się trzymał tego „na razie”. Przepraszam cię. Nie chciałem cię obrazić.

– Nie obraziłeś. To ja przepraszam. Idź już.

Zanim jednak wyszedł, zawrócił od drzwi z dziwnym wyrazem twarzy. Przestraszyła się, że nawiąże do tego, co się przed chwilą pomiędzy nimi wydarzyło, on jednak zdawał się już myśleć o czymś innym.

– Ale nasza współpraca jest dalej aktualna? – upewnił się tylko, po czym, gdy w milczeniu skinęła głową, kontynuował: – Bo coś mi się przypomniało. Było coś... Nie pamiętam, o co dokładnie chodziło, ale miało to na pewno związek z tutejszym pegeerem. Słyszałem w dzieciństwie, jak kiedyś rozmawiali o tym rodzice. O jakiejś tragedii z czasów komuny. Mnie wtedy jeszcze nie było na świecie, ale zapytam matki. Może sobie coś przypomni...

Leśny Dół, luty, parę dni później

Krystyna Skowrońska odstawiła garnek na piec. Nie miała głowy do jedzenia, tyle że psu nałożyła do miski. Rano odsnieżyła ścieżkę od furtki aż do drzwi ganku, a choć kości dały jej się we znaki, wciąż nie miała dość roboty. Wyszorowała kuchnię, zdjęła firanki do prania i zawiesiła świeże. Jeszcze raz przetarła blat kuchennego stołu. Wszystko, byle odwlec w czasie decyzję. Biła się z myślami. Najlepiej byłoby siedzieć cicho. W końcu tyle już lat upłynęło. Może to wcale nie ma związku z obecnymi wypadkami. Pijacy byli jak świat światem, a nieszczęścia chodzą parami. A, żeby tylko parami... Jednak po porannym telefonie dziennikarki Skowrońska nie mogła sobie znaleźć miejsca. Skoro już dokopali się do tamtych ludzi, tamtych nazwisk... widocznie coś jest na rzeczy. Żal tej młodej kobiety, tej Felicji. Tak bardzo to wszystko przeżywa, widać, że nie udaje. Wtedy przysięgli sobie, choć niby nikt tego wyraźnie nie powiedział, że tamta historia nie ujrzy więcej światła dziennego. Nie było się czym szczycić, a wielu wówczas wpływowych i szanowanych ludzi mogła ona pogrążyć. W tamtych czasach gmina nie była tak ludna, wszyscy się dobrze znali, mogli walczyć o miedzę, jednak gdy przychodziło co do czego – solidarni byli, razem się trzymali. Inna sprawa, że i strach niektórych

oblatywał, bo wiadomo było, kto władzę trzyma. Pani Krystyna nie pamiętała, kto konkretnie narzucił im znowę milczenia, wiedziała jednak, że była ona skuteczna. Długo. Bardzo długo. Może zbyt długo? Obrastała milczeniem, zapomnieniem, legendą. Aż w końcu przestała ciążyć. Klątwa? A może właśnie tak? Klątwa, którą sobie sami zafundowali. Przez ten czas ludzie pomarli, inni wynieśli się do miast, jeszcze inni napłynęli. Czasy się zmieniły, gmina się zmieniła. Ludzie się zmienili. Zdawało się, że tamta sprawa umarła śmiercią naturalną. Aż do teraz. Bo okazało się, że nic bezpowrotnie nie ginie. Wszystko zaczęło się od nowa, a ofiary domagają się pamięci. Komu może prawda jeszcze zaszkodzić? No może tej drugiej dziewczynce, Gretce, choć ona już nie tamto zapłakane dziecko z pszenicznymi kucykami, tylko pani radna. Dobra radna, kochana przez wszystkich... Cóż robić? Chyba tylko zaufać pani Felicji, toć mądra kobieta, miastowa. Krzywdy nikomu zrobić nie da. Najwyżej nie powie wszystkiego, nie będzie obciążać sumienia, w razie gdyby coś złego z tego wynikło. Ale milczeć też nie uchodzi. Przecież giną ludzie. Tym razem już niewinni ludzie, tyle że picia winni. Każdy ma swoje słabości. Nikt na tym świecie nie jest aniołem. Jednak kara jest zbyt sroga, stanowczo zbyt sroga...

Skowrońska porzuciła ścierkę i sięgnęła po karteczkę, na której zapisała sobie numer telefonu rzeczniczki prasowej gminy. Tylko przez chwilę się zawahała, po czym drżącą ręką sięgnęła po swój duży aparat z antenką, który został jej jeszcze po nieboszczyku mężu i działał bez zarzutu, choć wszyscy uśmiechali się na jego widok. Co tam, inny jej niepotrzebny, bo i po co. Nowomodne wymysły i tak na nic by się jej nie zdały.

Starannie wystukała numer komórki Felicji...

Kryszewo, luty, po południu

– Greta! – Felicja prawie krzyczała w słuchawkę. – Skup się, dobrze? Coś wydarzyło się w waszej gminie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. Co takiego? Przecież na pewno coś słyszałaś! Zastanów się. Ja wiem, że byłaś wtedy dzieckiem. Ale to musiało być coś tak poważnego i wstrząsającego dla tutejszej społeczności, że konsekwencje tego ponosicie do dziś! I właśnie stąd zrodziła się ta cała legenda o klątwie... Od początku mówiłam, że takie rzeczy nie biorą się z niczego!

– Ale... Kto ci to powiedział?

– Nieważne, do cholery! Ktoś mi powiedział. Tyle i nic więcej, ale przysięgam ci, że dotrę do tego! Co wyście tu takiego zrobili? Wójta zamordowaliście?!

– Daj spokój – zachnęła się radna. – Czemu ty akurat na mnie wrzeszczysz? A bibliotekarka? Dzwoniłaś do niej?

– Wyobraź sobie, że dzwoniłam. Dopiero co. Ta też milczy jak zaklęta. Wije się, jąka i kluczy, ale jak co do czego, to ona nic, do kurwy nędzy, nie pamięta. Zaćmienie. Wszyscy zachowujecie się podobnie: robicie głupie miny, niby wiecie, że dzwonią, tylko nie wiecie, w którym kościele... Nawet rodzice Ryby. To samo. Z nim

też dzisiaj rozmawiałam. Zyga dobrze pamięta, że o tym gadali, ale był wtedy za smarkaty, żeby coś zrozumieć. A teraz jak zapytał, to oczywiście gównu, starszycy nie mają pojęcia, o co mu chodzi. Amnezja zbiorowa?!

– Słuchaj...

– Nie mam zamiaru! Nie mam zamiaru słuchać dalej tych kretyńskich wymówek! Dwie osoby mi zasugerowały, że ty powinnaś wiedzieć. To coś łączy się w jakiś sposób z tobą! Chcę wiedzieć, co to jest. Przestań się wykręcać! Rozumiesz? Albo to będzie koniec naszej przyjaźni.

Po drugiej stronie Greta przez dłuższą chwilę milczała.

– Dlaczego nie sprawdzicie w policyjnych aktach? – zapytała wreszcie cicho.

– No, no, to już coś. Czyli sprawa była policyjna, jak rozumiem. – Felicja ziała furia. – Ale już ci odpowiadam. Otóż Ryba sprawdzał. W policyjnych aktach nic nie ma, bo akta z tamtej zimy wyparowały. Komuś naprawdę bardzo zależało, by zamieść tę tajemnicę pod dywan. Jednak dupa blada, bo syf zawsze w końcu wypłynie... Gadasz czy nie?!

Znowu milczenie. Przeciągające się. W końcu dziennikarka usłyszała westchnienie.

– Przyjedź do mnie. Jestem w domu. Sama. To dobry moment, bo nie chciałabym mieszać w to... zresztą... bez znaczenia. To chyba na serio jest kłątwa... Przyjedź. – Głos Grety się łamał.

Felicja odpowiedziała, że będzie za pół godziny, po czym rozłączyła się zadumana.

Radna otworzyła jej zapłakana. Ale nawet ze spuchniętymi i czerwonymi oczami wyglądała nieskazitelnie w granatowej wełnianej sukience i pantoflach na obcasach. Zaprowadziła Felicję do kuchni.

– Nastawiłam kawę – powiedziała, nie patrząc przyjaciółce w oczy. – Za chwilę będzie gotowa. Chcesz coś do niej? Koniaku?

– Nie, dzięki, przyjechałam terenówką. Ale sobie nalej, bo widzę, że będzie ci potrzebny. Więc jednak wiesz, co się wtedy wydarzyło?

– Wiem. – Greta odwróciła się, by nalać kawy do filiżanek, a może bardziej po to, by dać sobie chwilę na dojście do równowagi. Była wyraźnie rozdygotana.

Z pełnymi filiżankami usiadły przy blacie oddzielającym kuchnię od jadalni. Radna wyjęła z szafki butelkę francuskiego koniaku. Dolała go sobie do kawy. Felicja zadowolona się tabliczką gorzkiej czekolady.

– Dobra. Miejmy to już za sobą. Obiecuj mi tylko, że nie zrobisz z tego użytku.

– Tego nie mogę obiecać. Wszystko zależy od tego, co masz do powiedzenia. I od tego, czy ma to związek z obecnymi zgonami.

– Rozumiem. Chodzi o to, żebyście z Rybą nie dopuścili do nagonki. Niech to się nie stanie niezdrową sensacją. Obiecuj mi to dla dobra naszej gminy. Bo to jest naprawdę paskudna historia...

GRETA

Styczeń tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, a w zasadzie noc sylwestrowa na przełomie roku sześćdziesiątego dziewiątego i siedemdziesiątego. Dla niektórych już historia. Dla mnie w zasadzie też – byłam wtedy mała, niewiele rozumiałam. Miałam osiem lat, chodziłam dopiero do drugiej klasy, co takie dziecko mogło wiedzieć. Dlatego cała ta historia – taka, jaka utrwaliła się w mojej pamięci – to zlepek niejasnych wspomnień, wrażeń oraz zasłyszanych później i posklejanych w całość informacji, pochodzących głównie od mojej mamy, która żyła w cieniu tej tragedii, lecz widocznie uznała, że dla własnego dobra nie powinnam pozostawać w niewiedzy. Błogosławię ją za to i przeklinam jednocześnie. Może gdybym o niczym nie wiedziała, byłoby mi lżej. Z drugiej strony brak świadomości – przy plotkach i pogłoskach sączących się za plecami jak trucizna – może być jeszcze bardziej zabójczy. Bez świadomości nie ma mowy o oczyszczeniu, a ja go bardzo potrzebuję. Choć sama nie zawiniłam, noszę to brzemień od lat. Winowajcą był mój ojciec. Był tym, który poruszył górę lodową, a wtedy ona runęła, pociągając za sobą lawinę.

Jak wiadomo, ojciec zarządzał tutejszym pegeerem. Najpierw jako kierownik lokalnego gospodarstwa, później jako dyrektor kombinatu, czyli gospodarstw połączonych, choć jego serce do końca pozostało w tutejszym pegeerze, który prowadził od samego początku, to było jego oczko w głowie, dzieło życia. Ten sentyment po części brał się zapewne stąd, że byliśmy rodziną autochtonów o niemiecko-polskich korzeniach, od ponad stu lat tu osiadłą. Za komuny ojciec był szyczą, tutaj – na tym kawałku ziemi – niemal bogiem. I mieszkańcy gminy naprawdę go kochali. Szli do niego ze wszystkimi swoimi problemami, bo on potrafił załatwić im wszystko: najlepszy park maszynowy, nagrody pieniężne, wycieczki, atrakcyjne kolonie dla dzieciaków. A jak kto znalazł się w potrzebie, Hinz zawsze pomógł. Nawet jeśli taki ktoś był na bakier z prawem. Bo wtedy prawem była partia w osobach swoich wpływowych przedstawicieli. Wstydzę się tego, ale przecież nie mogę zaprzeczyć: mój ojciec był jednym z nich.

Pod koniec roku sześćdziesiątego dziewiątego podsumowano wyniki roczne pracy pegeeru i okazały się one wspaniałe, powyżej najśmielszych oczekiwań. Tata rzeczywiście potrafił gospodarować, tego nikt mu nie może odebrać. Był z tych młodych, kształconych aparatczyków z tytułem magistra rolnictwa, nowej partyjnej kadry, która była solą w oku chłopów. Ale na gospodarce się znał jak mało kto, miał to we krwi, po swoich niemieckich przodkach. I potrafił zarządzać ludźmi, a także ich sobie zjednywać. Tak więc dobry socjalistyczny pan postanowił odwdziżyć się swoim wiernym poddanym. A że po polskich przodkach miał szeroki gest, odwdzińczył się hucznie. Mianowicie zafundował im kilkanaście baniek czystego samogonu oraz kocioł bigosu na zagryzkę. Pędzenie bimbru oczywiście było surowo

zakazane, zawsze jednak znajdą się tacy, których zakazy nie obowiązują, a przynajmniej tacy, co działają pod ochronną kołderką możliwych tego świata. Tamten sylwester był zatem prawdziwym świętem dla tych biednych ludzi. Przez tę jedną noc mogli się poczuć jak w raju – bo dokładnie tak pojmowali raj. Narobić się, a potem najeść do syta i napić. Pofolgować najniższym instynktom. I to pomimo panujących akurat surowych warunków, a może właśnie tym bardziej. I nie muszę chyba dodawać, że ówczesna zima była wyjątkowo sroga, nawet jak na tamte czasy, kiedy zimy jeszcze rzadko oszczędzały ludzi. Nie to co obecnie, kiedy ostra zima to katastrofa i bez mała klęska żywiołowa. Klimat też się zmienił. Odwykliśmy.

Wspólna zabawa trwała do północy, potem postrzelano sobie z raketnic, a następnie towarzystwo rozproszyło się, zabierając ze sobą tyle, ile się dało unieść. Jedna z takich mocno już podchmielonych grup trafiła do osiedla wybudowanego przez pegeer dla tych swoich pracowników, którzy nie pochodzili stąd, tylko przyjechali do roboty z innych zakątków kraju. Bo przyjeżdżali. Jak do eldorado. Były to prowizoryczne baraki, tymczasowe, w przyszłości dopiero planowano wybudować tam kilka bloków. Po tym, co się wydarzyło tamtej nocy, zaniechano tego, a osiedle zlikwidowano, osiedlając ludzi po okolicznych wioskach. Do dziś niektórzy uważają, że w tym miejscu straszny. I mają rację. Straszny. Choć teraz tam tylko łąki i ugory...

Ale zła energia została.

No więc wspomniana grupka – złożona z ośmiu osób, kobiet i mężczyzn, wszyscy byli robotnikami z pegeeru – wylądowała w końcu w jednym z baraków, zajmowanym przez młode małżeństwo z małym dzieckiem. Para bawiła się zresztą razem z nimi. Po drodze odebrali niemowlę od starszej kobiety, która pilnowała go w czasie nocy sylwestrowej. Podobno matka się uparła, by je zabrać. Gdy znaleźli się w baraku, młoda kobieta ułożyła córeczkę (bo to była dziewczynka) w kołysce w części kuchennej, oddzielonej przepierzeniem od właściwej izby. Mróz był tęgi, ale w kuchni znajdował się piec, więc mała okryta kocami zasnęła, a tymczasem towarzystwo bawiło się dalej. Impreza – jak byśmy dziś powiedzieli – trwała mniej więcej do świtu. Goście i gospodarze wykończyli wyniesioną z pegeeru bańkę bimbru, więc pod koniec byli już wszyscy na wpół przytomni. Gdy człowiek jest pijany, to mu gorąco. W izbie ogrzewania nie było, a przynajmniej nikomu nie przyszło do głowy o nie zadbać. Ludzie kręcili się po baraku i wokół niego, rzygali, srali i szczali, gdzie popadło. Dochodzili też podobno inni goście, z sąsiednich baraków, być może także z wioski. Najbliżej leżało Potulewko, dosłownie za miedzą. Uczestnicy zabawy śpiewali i tańczyli, dopóki byli w stanie, potem już nikt nie pamiętał, co się działo. Tak przynajmniej utrzymywali. W każdym razie, gdy sąsiadka, ta sama, która wcześniej opiekowała się dzieckiem tej pary, przyszła sprawdzić o poranku, jak sobie radzą, zastała makabryczny widok...

Drzwi i okna znalazła otwarte na przestrzał. Młoda kobieta – matka małej – leżała na wpół rozebrana na podłodze, w wymiocinach. Miała podbite oko i sińce na rękach. Od razu widać było, że została zgwałcona, a przynajmniej brutalnie wykorzystana. Jak się później okazało – niejeden raz. Nie żyła, zamarła. Musiała stracić przytomność i już się nie obudziła. Minus dwadzieścia pięć stopni mrozu to

nie przelewki. Szczególnie dla pijanych. Jej małżonka znaleziono nieco później za barakiem, w kałuży krwi. Prawdopodobnie wdał się w bójkę, skatowali go i też zostawili na mrozie. Był już sztywny. Goście zniknęli. Mimo upojenia alkoholowego wszyscy jakoś dotarli do swoich domów. Oczywiście nikt nie poczuwał się do winy, nikt się nie przyznał. O dzieciaku nie pamiętali, z wyjątkiem starej sąsiadki, która obudziła osadę i poleciła wnukowi zaalarmować milicję. Zresztą całe szczęście, że zapomnieli o istnieniu tego niemowlaka, może dzięki temu jako jedyny z całej rodziny przeżył. Przeżyła. Bo cholera wie, co mogłoby przyjść do głowy pijakom. Dziecko przetrwało zapewne tylko dlatego, że pomieszczenie kuchenne było odizolowane, zamknięte, ogrzane, a ono przykryte piernatami. Odnaleziono je w złym stanie, jednak odratowano. Co się potem stało z dziewczynką, nie mam pojęcia. Nikt tego nie wie z wyjątkiem kilku wtajemniczonych osób. Jedną z nich był mój ojciec, on to potem wszystko zatuszował. Nie wiem, czy dla dobra swoich ludzi, czy raczej swego wzorcowego zakładu. Gdyby taki skandal wyszedł na jaw, bańka mydlana by pękła, ojciec byłby skończony. Nawet w tamtych czasach. Miał wszędzie chody: w partii, milicji, urzędach. A ludzie robili, co im kazał. Dziecko w każdym razie zniknęło, a tamte wydarzenia uznano oficjalnie za wypadek. Chociaż byli i tacy, którzy upierali się, że niemowlę również zmarło, ale w to akurat nie wierzę. Dochodzenia w każdym razie nie było. Nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności, do dziś nie wiadomo, kto uczestniczył w zgwałceniu kobiety i pobiciu jej męża. Ofiary nie miały rodzin, oboje pochodzili z marginesu społecznego, nikt o nich nie pytał. Wychowali się w sierocińcu. Tam też pewnie trafiła ostatecznie i ta biedna dziewczynka – tak przynajmniej utrzymywała moja matka, gdy los maleństwa spędzał mi sen z powiek...

Co było dalej? Milczenie. Cała gmina zachowywała się tak, jakby nic nie zaszło. Ludzie poszeptowali wprawdzie po kątach, ale publicznie zapadli na amnezję. Bali się, a może wstydzili. Albo jedno i drugie. W sumie mieli powody... Mijały lata. W końcu chyba naprawdę zapomnieli. A przynajmniej tak się wydawało. Część umarła, inni się postarzel, jeszcze inni wyjechali i nigdy tu nie wrócili. Młodsze pokolenia o niczym nie wiedziały. Zmowa milczenia obowiązywała, nawet kiedy zmieniała się epoka. Nawet ja zapomniałam, wyparłam to z pamięci, choć przez tamte wypadki praktycznie rozpadła się moja rodzina. Już nigdy nie było jak dawniej. Ojciec się rozpił, a po roku osiemdziesiątym i potem, po zmianie ustroju, stoczył się całkowicie. Wyrzuty sumienia gryzły go do końca życia. Mama zaczęła chorować. Moczyłam się w nocy, uznano, że mam nerwicę. Tyle że wtedy nikt tego nie leczył, a rodzice nie mieli do mnie głowy. Sama musiałam sobie radzić. Ale dość o tym, nie zamierzam się rozczulać nad sobą. Nie oczekuję litości. Może dodam tylko, że wtedy jeszcze dobrze nie wiedziałam, o co tak naprawdę chodziło, wyczuwałam raczej atmosferę w domu, to ona mnie dobijała. Z rozmów dorosłych podsłuchałam jedynie strzępy informacji. Dopiero kiedy byłam starsza – miałam kilkanaście lat – matka opowiedziała mi o tamtej fatalnej nocy sylwestrowej. I też nie wszystko. Reszty dowiedziałam się dopiero po śmierci ojca...

No właśnie. Dochodzimy do wydarzeń z lat dziewięćdziesiątych. Kiedy zaczęli umierać pijani, początkowo nikt się nad tym nie zastanawiał – ot, wypadki losowe –

choć niektórzy skojarzyli nazwiska z wydarzeniami z roku siedemdziesiątego i zaczęli przebąkiwać o kłątwie. Jednak kiedy znaleziono mojego ojca, byłam już pewna, że związek istnieje. Może to zabrzmiało żałośnie, ale sama w tę kłątwe prawie uwierzyłam. Nic innego nie mieściło mi się w głowie. A powinno było. Bo nie wspomniałam o najważniejszym. Przy zwłokach taty, w kieszeni jego palta – w ten sposób, że część wystawała – tkwiła kartka. Był to wyrwany z książki fragment baśni Andersena *Królowa Śniegu*. Mam go do tej pory, mama zachowała, a ja nie potrafiłam się tego pozbyć. Znam ten kawałek na pamięć:

Mały Kay był zupełnie siny z mrozu, prawie czarny, ale nie spostrzegł tego wcale, gdyż Królowa Śniegu odjęła mu swym pocałunkiem wrażliwość na zimno, a jego serce stało się kawałkiem lodu.

Setki razy zastanawialiśmy się wtedy z matką, co to mogło oznaczać. Nie rozumialiśmy, czemu ojciec nosił to w kieszeni, on raczej nie czytał bajek. Dopiero teraz zaczęłam kojarzyć, że ta przebrana „królowa śniegu” to nie przypadek...

Ale w końcu przestałyśmy się zastanawiać. Miałyśmy poważniejsze problemy, mama zresztą wkrótce zmarła, a ja... borykałam się z własnym życiem. Świstek schowałam w szufladzie i starałam się do niego nie wracać. W dzieciństwie, jak większość dzieci, uwielbiałam baśnie Andersena, lecz od tamtej chwili nabrałam do nich awersji. Nawet córce nigdy ich do snu nie czytałam, ona wolała już inne bajki, bardziej współczesne, a ja jej nie namawiałam. Nigdy bym nie przypuszczała, że w takich okolicznościach przyjdzie mi do nich wrócić. To chyba jakiś horror. Choć już nie uważam, że kłątwa.

Tamte wypadki zamarznąć również wyciszono, zajęli się tym już nowi władarze gminy. Bo wiesz, czasy się zmieniają, ale ludzie nie bardzo. Tyle tylko, że jednych zastępują drudzy, no i sztandary różne niosą. Okazuje się jednak, że nasze najgorsze koszmary zawsze nas w końcu dościgną...

Felicja odezwała się pierwsza, gdy zrozumiała, że Greta zakończyła swoją relację, a teraz siedziała cicha i zgaszona, zupełnie niepodobna do samej siebie, zawsze kipiącej energią, obojętnie – pozytywną czy negatywną. Tym razem zdawała się całkowicie jej pozbawiona, jakby ją z niej wypompowano.

– Nie wiem, co powiedzieć. Koszmarna historia. Sama nie wiem, jak się z nią uporam. Ale teraz cię rozumiem... chyba.

Greta ocknęła się i spojrzała na nią wciąż nie do końca przytomnym wzrokiem.

– Nigdy do końca nie zrozumiesz – powiedziała. – I dobrze. Zaczekaj, zrobię więcej kawy. Bo mi w gardle zaschło.

Gdy wróciła z parującymi filiżankami, Felicja odważyła się wrócić do tematu. Było to konieczne, nawet jeśli bolało.

– Dlaczego tylko ta jedna kobieta padła ofiarą gwałtu? – zapytała. – Mówiłaś, że w imprezie uczestniczyło więcej kobiet?

Radna pokręciła głową. Nie w sensie zaprzeczenia, raczej w poczuciu bezradności. Albo niewiedzy.

– Podobno była ładna, wręcz śliczna. Tak słyszałam. I na tle innych dziewczyn

z pegeeru, często rozwiązyloch, dobrze się prowadziła. Owszem, upiła się, ale była młoda, no i obchodzili sylwestra. To przecież miała być zabawa. Mówili, że naprawdę kochała męża i to dziecko – wyjaśniła w końcu.

– A on pewnie stanął w jej obronie...

– Też tak przypuszczam. I zapłacił życiem. Dramat. Ryczeć mi się chce, choć myślałam, że to już przeszłość!

– Takie sprawy nigdy nie przestają być aktualne – przyznała Felicja. – Ale najwyższą cenę zapłaciło dziecko. Bo było niewinne. Dorośli sami odpowiadają za swoje czyny, powinni też umieć przewidywać. Z drugiej strony... też nigdy bym nie przypuszczała... Nie rozumiem, jak w niby normalnych ludziach nagle budzi się monstrum. Naprawdę wystarczy do tego alkohol? Słyszałam, że te pegeery to były siedliska demoralizacji, że brali tam ludzi jak leci, drobnych przestępców, prostytutki...

– Zgadza się. I myślę, że tak, czasem wystarczy alkohol.

– Potwory.

– Nie mów tak – zaprotestowała Greta. – To byli prości ludzie. Niewykształceni, biedni, zdemoralizowani przez system. Oglupieni i w dodatku pijani. W takich warunkach znajdują ujście najniższe ludzkie instynkty. Nie powiem, że zwierzęce, bo zwierzęta tak nie postępują, my jesteśmy gorsi. Gdy spada maska cywilizacji, kieruje nami tylko strach i przemoc. Ale nie chcę, żebyś myślała o nas, o mieszkańcach naszej gminy, jako o społeczności jakichś potworów. To mogło się zdarzyć wszędzie.

– Wyluzuj, niepotrzebnie wszystko komplikujesz, lokalna patriotko! Ja przecież nie miałam na myśli waszej gminy. Zresztą sama mówiłaś, że większość zatrudnionych w pegeerze to byli przyjezdni.

– Nie tylko.

– No, wiem. To jasne. Potwory zdarzają się wszędzie. I spodobało mi się, co powiedziałaś o zwierzętach. Masz rację. Mówi się o „zewierzęczeniu” w odniesieniu do ludzi, ale to obraża inne gatunki. Człowiek jest najgorszą z bestii. Może nawet jedyną. Tylko dlaczego tak długo milczałaś?

Greta się zaczerwieniła.

– A jak myślisz? – odparła. – Mądrało. Dla ciebie to tylko ciekawy temat, a dla mnie... to moje pieprzone życie, kuźwa!

Wstała gwałtownie, żeby dolać kawy do pustych już filiżanek.

– Ciekawy temat?! – oburzyła się dziennikarka. – Nie obrażaj mnie.

– Więc nie pytaj głupio. Masz fajki? Zapaliłabym.

Felicja wyjęła z kieszeni papierosa, wzięła sobie jednego, po czym rzuciła paczkę na stół. Greta zapaliła świecę, zapewne nie dla nastroju, tylko by zagłuszyć zapach dymu papierosowego w pomieszczeniu. Obie się zaciągnęły.

– Ograniczyłaś swoje życie do tego jednego zdarzenia, które tak naprawdę ciebie nie dotyczyło? – podjęła wątek Felicja.

– Nie oceniaj mnie! – Greta się uniosła. – Ty niczego nie musisz ograniczać! Kończysz czterdziecę, a nie masz męża, dzieci ani nawet stałej posady! Jesteś wolna jak ptak, możesz mieć w dupie cały ten cholerny świat. Nie wiesz, co to

znaczy stracić wszystko, bo nie masz nic do stracenia!

Nieoczekiwanie zanosła się krótkim, urwanym szlochem.

Felicja zgasła papierosa w pustym wazoniku, który posłużył im za popielniczkę, i podniosła się.

– Piękne dzięki. Idę się powiesić. Cześć.

– Felicja! Siadaj. Przepraszam... – wykrztusiła żałośnie Greta.

Dziennikarka usiadła.

– Nie gniewam się. Mnie nie tak łatwo obrazić. Wiem, że to dla ciebie trudne. Serio idę, muszę to wszystko w spokoju przemyśleć. A ty zrób sobie porządnego drinka, przyda ci się. I odpoczywaj. Kiedy wraca twój mąż?

– Pewnie niedługo. Co z tym zrobisz?

– Z tymi informacjami? Muszę to zgłosić na policję, Greta. Sorry, ale to może być ważne dla śledztwa. Przydałoby się odszukać to dziecko. O ile w ogóle żyje. Najlepiej niech się tym zajmie Ryba. Pamiętasz, jak się nazywali ci ludzie?

– Nie, nigdy tego nie wiedziałam. Nawet nie chciałam wiedzieć.

– W porządku. Dowiedzą się. Ale rozumiesz chyba, że...

Greta pokiwała głową.

– Rozumiem. Idź już. Tylko uważaj na drodze.

CZEŚĆ IV

– Czy będziesz miała nóż przy sobie w czasie snu? – spytała Gerda i spojrzała z przestraszonym na nóż.

– Ja zawsze śpię z nożem – powiedziała mała rozbójniczka. – Nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić.

Kryszewo, luty

Śnieg sypał wielkimi płatkami, znak, że wzrosła temperatura. Czas najwyższy, by zima zelżała, w końcu to już druga połowa lutego – pomyślała Felicja, wysiadając z samochodu. Wracając od Grety, zatrzymała się w miasteczku, by kupić coś na kolację. Gdy dotarła pod sklep Renaty, okazało się, że sklepikarka właśnie go zamyka, a że nie chciała już zawracać jej głowy, zawróciła do auta i podjechała pod najbliższy supermarket. Ponieważ na nic konkretnego nie miała apetytu, poprzestała na paru bułkach i serku topionym. Po namyśle dorzuciła do koszyka jeszcze tabliczkę czekolady, jogurt oraz butlę soku pomarańczowego, bo skusił ją swoją barwą. Gdy wracała do samochodu, ukłoniła jej się uśmiechnięta kobieta, w której dopiero po chwili rozpoznała sekretarkę z gminy. Zamieniły kilka słów, kobieta powiedziała, że spieszy się, by odebrać córkę z lekcji baletu, po czym przeszła na drugi koniec parkingu i wsiadła do szarej terenówki. W głowie Felicji natychmiast odezwał się dzwonek alarmowy, szybko go jednak stłumiła, tłumacząc sobie, że jak tak dalej pójdzie, to popadnie w paranoję. Terenówek stało tu kilka, do paru z nich na jej oczach wsiadały kobiety. Sama była jedną z nich.

To zadanie dla policji.

Dziennikarka zdalnie otworzyła swój wóz, zanim jednak do niego podeszła, już z odległości kilku metrów zobaczyła, że coś tkwi za wycieraczką. Mandat albo reklama – w czystej białej kopercie, lekko tylko wilgotnej od padającego na okrągło śniegu. Wyjęła z niej niewielką zadrukowaną kartkę. Rozprostowała ją i zdębiała. Trzy razy przeczytała tekst, zanim ogarnęła ją panika:

– Czy będziesz miała nóż przy sobie w czasie snu? – spytała Gerda i spojrzała z przestrachem na nóż.

– Ja zawsze śpię z nożem – powiedziała mała rozbójniczka. – Nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić.

Kartka była pożółkła, wydarta ze starej książki, dokładnie tak samo jak fragment wręczony jej przez Gretę, kiedy wychodziła z jej domu. Ten również rozpoznała. Pochodził z tego samego źródła. I brzmiał jak groźba. Królowa Śniegu... Z wrażenia upuściła kartkę, jednak podniosła ją niezdarnie w wełnianych rękawicach i schowała do schowka razem z tą, którą otrzymała wcześniej od przyjaciółki. Z bijącym sercem dojechała do domu. Obie kartki wyjęła ze schowka i włożyła do kieszeni kurtki. Zdawały się ciężkie jak kamienie, choć jednocześnie wiedziała, że to tylko strach jej ciąży, nie papier. Atawistyczny lęk przed czymś niewytłumaczalnym, irracjonalnym, absurdalnym. Przed czyjąś ślepą i mściwą nienawiścią.

Gdy już była na schodach, zawołała ją gospodyni, by wręczyć swojej lokatorce

butelkę domowej nalewki z wiśni. Kobieta przyglądała jej się podejrzliwie, a może z troską. Zapytała nawet, czy Felicja dobrze się czuje, bo wygląda na rozgorączkowaną. Dziennikarka podziękowała jej trochę nieprzytomnie, coś tam bąkając mało składnie w odpowiedzi, i pozostawiła gospodynię z wyrazem jeszcze większego zdziwienia na twarzy. O mały włos nie potknęła się w progu o kota, który przyszedł otrzeć się o jej nogi. Równie machinalnie schyliła się, by go pogłaskać, po czym uciekła do siebie na górę. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Najchętniej otworzyłaby nalewkę i zapomniała o bożym świecie. Jednak dwie zadrukowane kartki paliły ją przez kieszeń kurtki z grubego polaru. Jeszcze bardziej dręczyła Felicję ponura opowieść Grety. Nie rozbierając się, włączyła czajnik, by zrobić sobie coś ciepłego do picia, a następnie wystukała w komórce prywatny numer aspiranta Ryby...

Nazajutrz

Córka Waldemara Rogalskiego mieszkała samotnie w skromnej kawalerce na gdańskiej Żabiance – typowym wielkim osiedlu z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Felicja z Rybą pojechali tam po południu prywatnym samochodem aspiranta, gdy tylko policjantowi udało się ustalić jej tożsamość w referacie ewidencji ludności Urzędu Miejskiego w Gdańsku. Wcześniej zatelefonowali pod numer znaleziony w książce telefonicznej, który na szczęście okazał się aktualny. To uprościło sprawę. Pani Joanna Rogalska najwyraźniej nie była nigdy zamężna, pracowała w szkole jako nauczycielka matematyki. Na wieść, że ktoś chce rozmawiać o jej ojcu, spięła się, jednak w końcu wyraziła zgodę na spotkanie. Ponieważ ferie już się skończyły, umówili się po szesnastej w jej mieszkaniu, bo Rogalska do piętnastej pracowała. Dojeżdżali właśnie do blokowiska, Felicja wciąż była zdenerwowana, ale Ryba nie mniej. Szczególnie po usłyszeniu historii opowiedzianej przez radną, a którą dziennikarka powtórzyła mu poprzedniego wieczoru, co w połączeniu z pogrózkami pod adresem Felicji zabrzmiało naprawdę groźnie. Anonim został potraktowany poważnie, trafił w ręce śledczych, którzy przekazali go do laboratorium w celu zdjęcia z niego ewentualnych odcisków palców, dziennikarka została po raz kolejny przesłuchana na komisariacie. Również fragment przekazany przez Gretę Pazik zabrano dla porównania. Na tym się jednak skończyło. Na pomysł rozmowy z rodziną Rogalskiego wpadli sami. Okazało się, że żona byłego dyrektora domu dziecka też już od dawna nie żyje, sama placówka przeniesiona została na obrzeża miasta. Została tylko córka oraz młodszy syn, który od ponad dziesięciu lat mieszkał z żoną i dziećmi w Irlandii.

Do bloku dostali się nawet bez pomocy domofonu, który nie działał. Pusta i zimna klatka schodowa przyprawiła Felicję o ciarki. Po blisko roku na wsi nie wyobrażała już sobie, że można w czymś takim mieszkać. Wjechali windą – ta szczęśliwie była sprawna – na ósme piętro i zadzwonili do środkowych drzwi. Kobieta, która po krótkiej chwili im otworzyła, z wyglądu okazała się bardzo podobna do ojca, którego

zdjęcia oglądali już w cyfrowym archiwum. Była wysoka, bardzo szczupła, a do tego ładna, o rasowym typie urody, choć według zdobytych danych musiała dobiegać sześćdziesiątki. Tlenione na blond włosy nosiła upięte z tyłu głowy, a na nosie miała wąskie, prostokątne okulary w ciemnozielonych oprawkach. Uśmiechnęła się nerwowo, zapraszając ich uprzejmie do środka. Mówiła cichym, spokojnym głosem, co zapewne musiało kojąco wpływać na jej uczniów, choć niekoniecznie dodawało w jej zawodzie autorytetu. Prędko się jednak przekonali, że w przypadku Joanny Rogalskiej nie ma mowy o słabości charakteru.

– Kawy? Herbaty? – zagadnęła, gdy już usadowiła gości przy małym stoliku w jedynym w tym mieszkaniu, zresztą dość obszernym pokoju.

Oboje poprosili o herbatę. Dopiero gdy Rogalska wniosła z graniczącej z pokojem kuchni szklanki z herbatką owocową, Felicja pożałowała swojej decyzji. Szczególnie dzisiejszego dnia potrzebowała czegoś bardziej konkretnego. To już chyba kawa byłaby lepsza. Oczywiście prawdziwa, nie zbożowa. Trudno, westchnęła w duchu, popijając cierpki napar małymi łykami. Widocznie gospodyni ceniła sobie zdrową żywność.

Prowadzenie rozmowy zostawiła policjantowi.

– No cóż, nie mam państwu zbyt wiele do powiedzenia. – Rogalska odchrząknęła. – To dziwne, że teraz o niego pytacie, bo wcześniej, kiedy zdarzył się ten wypadek, policjanci radzili nam raczej trzymać buzie na kłódkę i nie rozgłaszać tego. Co zresztą z radością uczyniliśmy, starając się jak najszybciej wymazać przeszłość z pamięci. Prawdę mówiąc... no dobrze, niech mam to już za sobą, powiem szczerze: nienawidziłam swego ojca i od lat nawet go nie wspominam. Był podłym człowiekiem, wykorzystującym wszystko i wszystkich, materialistycznym i okrutnym. Nieraz myślałam, że zasłużył sobie na taki koniec, jaki go spotkał. Proszę tak na mnie nie patrzeć. Gdybyście państwo go znali, zrozumielibyście. Odkąd pamiętam, zatruwał życie całej rodzinie, zamienił nasze życie w piekło. Pastwił się nad nami, bił moją matkę i brata. Tylko mnie nigdy nie tknął... dopóki... – Kobieta zaczerwieniła się gwałtownie i wstała. Z leżącej na parapecie paczki wyciągnęła cienkiego papierosa i zapaliła. Dłonie jej drżały. Ponownie zajęła swoje miejsce i kontynuowała z zaciętym wyrazem twarzy. – Przepraszam, ale muszę. Normalnie prawie nie palę, ale w tej sytuacji... Jeśli państwo palą, to proszę się poczęstować. No więc, jak wspomniałam... ojciec mnie nie bił. Tylko obserwował, takim spojrzeniem wilka. Gdy skończyłam jedenaście lat, uznał widocznie, że mu się podobam. Już się państwo domyślacie? Molestował mnie. Nie, nie tylko dotykał! – dodała, parszkając przy tym gorzkim, nieco histerycznym śmiechem. – Zmarnował mi życie. – Ponownie przerwała, na jej delikatnej twarzy wymalowała się determinacja oraz czysta nienawiść. – Gdybym potrafiła, zabiłabym go. Ale ja tylko uciekałam. Wiele razy uciekałam z domu, wędrowałam po Polsce, ukrywałam się, potem jednak wracałam, bo nie miałam sumienia zostawiać matki i młodszego brata samych z tym potworem. Aż w końcu, gdy skończyłam osiemnaście lat i zrobiłam maturę, uciekałam na dobre. Na studia do Warszawy. Tam zamieszkałam w akademiku i już tylko dzwoniłam do mamy... On ciągle się nad nią znęcał, przechodziła gehennę. Najgorzej było, kiedy sobie wypił. A lubił wypić. Pedagog! – prychnęła. – Po studiach

wróciłam do Gdańska, zaczęłam pracować w szkole i wynajęłam stancję do spółki z koleżanką, zapisałam się do spółdzielni mieszkaniowej. Do domu przychodziłam tylko pod jego nieobecność. W miarę możliwości próbowałam wspierać mamę, namawiałam ją nawet, żeby wezwała policję... a raczej wtedy jeszcze milicję... ale to było bez sensu, bo on miał tam świetne układy. Wszędzie je miał. Sama się wreszcie wyzwoliłam, już nie miał nade mną władzy, ale... jak państwo widzicie, nigdy nie ułożyłam sobie życia. Po tylu latach koszmaru nie mogłam znieść obecności żadnego chłopaka obok siebie. I tak zostało. Proszę mi wybaczyć te osobiste wynurzenia, ale skoro wypuściliście państwo najgorsze wspomnienia, to już się wylały. Zresztą chcieliście wiedzieć wszystko o moim kochanym tatusiu. Brat też opuścił dom, potem miasto, a na koniec kraj. Wyemigrował jak najdalej, teraz nawet kontakt mamy sporadyczny. Dobrze, że przynajmniej on założył rodzinę. Mam nadzieję, że nie poszedł w ślady ojca. Taką mam nadzieję... Mama nie żyje ponad dziesięć lat, zdrowie jej nadszarpnął, od dawna już nie miała życia, siły do walki, a zachorowała na raka. Udało jej się przynajmniej w spokoju dożyć swych dni. Taaak... jego śmierć była dla nas wszystkich błogosławieństwem. Co z tego pamiętam? Mało. Nie wrócił na noc do domu, mama do mnie zatelefonowała. Wtedy już tutaj mieszkałam. Nie przejęliśmy się tym za bardzo, na drugi dzień dopiero mama zawiadomiła policję. Za jakiś czas przyszli do niej mundurowi i powiadomili, że nie żyje, że go znaleziono zamarznętego poza miastem, na terenie tej gminy, gdzie mieścił się dom dziecka, w którym wcześniej pracował. To ta sama gmina, z której państwo przyjechaliście, prawda? Wtedy już był na emeryturze. Kazali mu przejść na emeryturę. Przecież nie bez powodu. Wiadomo, co się za tym kryło, choć to był oczywiście temat tabu. Pomyślałam sobie wówczas, że sprawiedliwości stało się wreszcie zadość – zakończyła, gasząc papierosa w dużej kamionkowej popielniczce.

– Chce pani przez to powiedzieć, że pani ojciec został przyłapany na... – Ryba szukał odpowiedniego słowa, Rogalska szybko mu jednak przerwała:

– Czy przyłapali tego zbrojnego, tego nie wiem. Ale na pewno to robił! Wszyscy od lat o tym wiedzieli. Tylko udawali ślepych, głuchych i upośledzonych umysłowo. Jak zwykle w tym kraju.

– Nie tylko w tym – dodała Felicja. – Pani Joanno, mam inne pytanie. Bardzo ważne. Czy przy pani ojcu... to znaczy, po jego śmierci, przy ciele... znaleziono może coś niezwykłego? W sensie nietypowego, zaskakującego dla państwa jako dla rodziny? Jakiś anonim, świstek papieru, kartkę? Policja na nic nie zwróciła wtedy uwagi?

Kobieta uniosła głowę, wyglądała na zdumioną.

– A skąd pani... To ma jakieś znaczenie?

– Więc tak?

– Owszem. Choć zupełnie nie rozumiem... Ale tak, znaleziono. Nie anonim, tylko ilustrację wyrwaną ze starej książki, po papierze domyśliłam się, że ze starej. Takim grubym, niebłyszczącym, już wtedy pożółkłym. To była słynna ilustracja Szancera do *Królowej Śniegu*, no wie pani... ta, która zwykle znajdowała się na okładce starszych wydań baśni Andersena: Królowa Śniegu w saniach. Tylko co to miałyby znaczyć? Nawet zastanawialiśmy się z mamą, skąd to wziął i po co nosił ze sobą

obrazek z książki dla dzieci, ale niezbyt długo, w końcu było nam to obojętne, nie przywiązywałyśmy do tego wagi. Pracował przecież z dziećmiakami...

Felicja wymieniła z Rybą znaczące spojrzenie.

– Nie wiemy, czy rzeczywiście ma to znaczenie, ale wygląda na to, że ta baśń odgrywa jakąś rolę – wyjaśniła enigmatycznie. – Bardzo proszę to zachować dla siebie, dobrze? Chodzi o to, że sprawa ma, być może, swój ciąg dalszy. Czy zachowała pani tę ilustrację?

Rogalska wzruszyła ramionami, popijając małymi łykami owocowy napar.

– A po co miałabym to robić? Na pamiątkę po kochanym tatusiu? Nie mam pojęcia, co się z tym stało, nigdy więcej nie natknęłam się na ten obrazek. Pewnie mama go wyrzuciła. Proszę mi wierzyć, sentymentów nie miałyśmy.

– Rozumiem. – Dziennikarka pokiwała głową. – Trudno.

– Ale jaki ciąg dalszy? Coś mi świta. Już nawet dzieciaki w szkole plotkują, że Królowa Śniegu to wcale nie bajka, wróciła i porywa ludzi z okolicy, a potem ich zamraża. Sądziłam, że to tylko takie bajdurzenie, jak w moich czasach sławetna historyjka z czarną wołgą, którą uprowadzano dzieci. Państwo jej zapewne nie pamiętacie, za młodzi jesteście. Bzdura, choć podobno zawsze w ludzkim gadaniu tkwi ziarno prawdy. Czyżby i tym razem? W gazetach na ten temat nic nie pisali, a ludzie zimową porą zamarzali zawsze. Zima ciężka i długa w tym roku...

– To fakt, że zamarzło wtedy więcej ludzi – wtrącił się aspirant. – Nie tylko pani ojciec. Na razie nie możemy nic więcej powiedzieć, ale wracamy do tej historii, bo rzeczywiście mamy w tej chwili w gminie podobne przypadki, być może mają one związek z poprzednimi. Tylko być może. Dlatego prosiłbym o dyskrecję.

– Oczywiście, ja zawsze jestem dyskretna. Życie mnie tego nauczyło. Ale czy to by znaczyło, że kochany tatuś nie zapił się samotnie na śmierć? Ktoś mu w tym może dopomógł? – Widać było, że Rogalska jest bystrą kobietą. – Przypomina mi się, że przebąkiwano wtedy o jakiejś miejscowej kłątwie. Cieszyłam się, że go dopadła, choć wierząca nie jestem i zasadniczo w żadne kłątwy nie wierzę.

– No tak, my też słyszeliśmy o kłątwie – przyznał Ryba. – W każdym razie były dyrektor tamtejszego pegeeru, też emerytowany, oraz inne osoby związane z tym zakładem zostały znalezione martwe w tym samym czasie i w tej samej okolicy co pani ojciec. Do tego zmarły w identycznych okolicznościach. Dlatego się zastanawiamy. Czy pani tata utrzymywał może kontakty z tym pegeerem? Albo z jego pracownikami? Pamięta coś pani? Może miał w swoim ośrodku jakieś dziecko albo dzieci stamtąd?

– Nic o tym nie wiem. Nie podejrzewam go o kontakty z pegeerem, bo to był snob, ale tak naprawdę pojęcia nie mam. Nie rozmawiałam z ojcem, unikałam go. Dzieciaki mogły być, mogły tam trafić z regionu. Trzeba by poszperać w dokumentach, tylko gdzie je teraz można znaleźć...

– Poradzimy sobie – zapewniła Felicja. – Pani Joanno, bardzo pani dziękujemy za pomoc. Przepraszamy, że przy tej okazji zmusiliśmy panią do nieprzyjemnych wspomnień, ale to naprawdę może być ważne.

Joanna Rogalska uśmiechnęła się, choć nie było w tym uśmiechu wesołości.

– Nie szkodzi. Czasem człowiekowi przydaje się takie... oczyszczenie. Może dolać

państwu jeszcze herbatki?

Podziękowali. Umówili się w razie potrzeby na telefon i opuścili mieszkanie smutnej kobiety. Na dworze sypał śnieg.

– Nieszczęśliwa babka, ale sympatyczna, prawda? – zagaił Ryba, gdy już wyjechali na trójmiejską obwodnicę.

– Biedna. Do dupy życie miała. Owszem, bardzo miła, ale herbatkę podała tragiczną! Matko, jak ja nie cierpię, kiedy ktoś napar z jakiegoś cholernego zielska nazywa herbatą i wprowadza normalnych ludzi w błąd. Zjedź na stację benzynową, kiedy już skręcimy do nas, błagam cię – zajęczała Felicja. – Muszę się napić choćby kawy, a tam mają niezły automat. Padnę, jeśli nie wypiję czegoś porządnego po tych ziólkach...

– Nie ziólkach, tylko po herbatce owocowej, bardzo zdrowej.

– Jeden diabeł.

– I co sądzisz o tej rozmowie? Strzał w dziesiątkę, co? Z tą Królową Śniegu?

– Patrz na drogę, śnieżycę mamy... Ano, trafione w punkt. Dobrze, że się do niej wybraliśmy. Teraz już na sto procent wiadomo, że to nie przypadek.

– No raczej nie. – Ryba zwolnił, widząc przed sobą korek przy jakimś zjeździe. – No, to sobie pojedziemy. Pół godziny z głowy – dodał z niesmakiem.

– Trudno się dziwić przy takiej widoczności. Cholera, prawie w ogóle dzisiaj nie spałam po ostatnich wrażeniach. A teraz jeszcze korek. Niech to szlag.

– Zapal sobie przynajmniej. U mnie wolno.

– Nie chce mi się teraz. Mam dość. Ale zobacz, zgadza się nie tylko „królowa śniegu”! Ten porąbany Rogalski też lubił sobie wypić, był skurwysynem i w dodatku molestował dzieci. Wszystko się układa. Jak w kalejdoskopie. Teraz tylko trzeba koniecznie znaleźć tę małą z siedemdziesiątego roku!

Aspirant stanął na końcu sznura niknących w zadyńce śnieżnej samochodów i sam zapalił papierosa.

– Cierpliwości, robi się – odparł flegmatycznie. – Tym się zajmuje Gdańsk. Mała została ochrzczona w naszej parafii jako Małgorzata. Już to sprawdziłem. Tutaj można było uważać się za komunistę, ale i tak rządził proboszcz. Małgorzata Mrąg, córka Antoniego i Katarzyny Mrągów. Tak nazywała się tamta para. Znajdą ją. My mamy dalej wypatrywać podejrzanych terenówek z babami za kierownicą.

– Widuję ich, kurde, tysiące...

– Nie przesadzaj. Mamy je spisane. W całej gminie jest ich około dwustu. Większość należy do dobrze sytuowanych rodzin, gdzie są kobiety i mężczyźni, wszyscy z prawem jazdy. Ale może nasza królowa wcale nie mieszka w naszej gminie? Może robi okolicznościowe wycieczki?

Dziennikarka machnęła ręką.

– Daj spokój, nie dołuj, kurczę...

– Słuchaj... – Ryba zaczął ostrożnie. – Ty gadałaś z Gretą, nie?

– W sensie? Bo że gadałam, to doskonale wiesz.

– O jej starym. Znaczący o ojcu.

– No. Gadałam. A co? Wszystko ci powtórzyłam.

– Czy on jej również przypadkiem nie...

Felicja jednak też zapaliła. Posuwali się do przodu w ślimaczym tempie, choć na szczęście zbliżali się do miejsca, w którym korek wyraźnie się już przerzedzał.

– Nie, na pewno nie! – zaoponowała. – Był draniem, ale nie aż takim. Z pewnością jej nie molestował. Ona kochała ojca, w dzieciństwie był dla niej autorytetem. Dlatego wspomnienia wciąż ją bolą. Nie wkurwiają, jeśli wiesz, co mam na myśli, nie ranią, tylko właśnie bolą. Ona wciąż go na swój sposób kocha. Te swoje wspomnienia o ojcu. Gdyby ją molestował, byłaby teraz taka jak Rogalska. Zgaszona, zgorzkniała. Greta taka nie jest. Ale czemu o to pytasz? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Bo... Widzisz, pogadałem z tą dzidzią z biblioteki, której tak nie lubisz. Mówiłem ci, że ona jest córką jedyne go syna Holzerów. Czyli ich wnuczką. Tych ofiar z lat dziewięćdziesiątych, małżeństwa jeszcze z pegeeru, no wiesz. Tych samych, którzy byli zamieszani w sprawę tamtego gwałtu i pobicia, a przynajmniej uczestniczyli w imprezie sylwestrowej w nocy z sześćdziesiątego dziewiątego na siedemdziesiąty rok. I z jej ojcem też sobie pogadałem, w warsztacie samochodowym. Bo on tam robi. Od czasu do czasu korzystam z ich usług. Kolo twierdzi, że Greta papcio... no, tego... że nie tylko rozdawał samogon w tamtego sylwestra. Coś tam więcej było. Sam się wtedy niezłe najebał. Ojciec Greta. Sorry za wyrażenie. I podobno uczestniczył w tamtym zdarzeniu. Znaczący w tej bibce...

– Sugerujesz, że ojciec Greta mógł być zamieszany w gwałt i pobicie ze skutkiem śmiertelnym?!

– Tak mogło być. Sorry. Może dlatego potem robił wszystko, żeby zamieść sprawę pod dywan? Pazikowa nie bierze tego pod uwagę?

Felicja pokręciła głową. Sama czuła się wstrząśnięta, a co dopiero Greta...

– Nie... Jezu, nie! Ona by tego nie przeżyła!

– Mimo wszystko będziesz musiała z nią na ten temat porozmawiać...

– Boję się nawet o tym myśleć – odparła, zapalając kolejnego papierosa. – Ale chyba nie podejrzewasz Greta o to, że morduje świadków?! Pierniczę, w co ja się wpakowałam... Skręcamy zaraz. Pamiętaj, zjedź na stację. Jeśli natychmiast nie łyknę trochę kofeiny, to ci tu za moment umrę...

Nazajutrz

Po południu przestało sypać, nawet wyrzało słońce, zrobiło się niemal przyjemnie. Felicja z westchnieniem ulgi odłożyła na bok robotę. Odwaliła już codzienną porcję tekstów, wybrała, co na portal, co do gazety, spłodziła nawet miesięczny raport dla dziennikarzy gazety powiatowej, na koniec wysłała swoje płody do korektorki. Odwaliła – dobrze powiedziane. Bo nad niczym nie mogła się w pełni skupić, w głowie wciąż tkwiła jej treść dziwaczne go anonimu, który otrzymała, te dwa wyrwane z kontekstu, złowrogo brzmiące zdania ze znanej wszystkim baśni. A także wszystko, co opowiedziała im wczoraj Rogalska, a wcześniej Greta. Dopiero teraz dotarło do niej, że przyjaciółka jest w tej sprawie naturalną podejrzaną. Owszem,

sama wcześniej miała wobec niej podejrzania. O to, że coś wie – i nie myliła się – że coś kręci, że... coś. Ale nigdy aż tak dosłownie! Znały się przecież od lat. Greta kochała ludzi, nie byłaby w stanie ich zabijać, nawet by ocalić swoją karierę. Fakt, że nie zamierzała poprzestać na funkcji radnej gminy. Marzył jej się sejm, poważna działalność polityczna. Chciała być posłanką, ale nie dla siebie, tylko dla swoich wyborców. Felicja uważała, że świetnie sprawdziłaby się w tej roli. Właśnie takich polityków Polsce brakuje od dawna. Greta chyba zawsze była idealistką, jednak nie tracącą z oczu rzeczywistości. Odkąd zresztą radna opowiedziała jej swoją historię, dziennikarka uważała ją raczej za ofiarę. Być może nawet za osobę, której zagraża niebezpieczeństwo...

Okazuje się jednak, że to jej samej zagraża.

Wynika z tego, że zanadto zbliżyła się do ukrytej prawdy.

Ktoś uznał widocznie, że jest zbyt dociekliwa.

KTO?!

Kim jesteś, walnięta „królowo”?!

Nie mogąc usiedzieć na miejscu, ubrała się i wyszła „na miasto”. Zamierzała zajrzeć do biblioteki, wysondować tę młodą dziewczuchę, której osoba przyprawiała ją o ciarki. A przy okazji obejrzeć sobie egzemplarz *Baśni* Andersena. Może nawet będą mieli stare wydanie, w takich małomiasteczkowych bibliotekach to prawdopodobne, że się uchowało. Jednak kiedy wyszła na ulicę, usłyszała wrzask. Spojrzała na drugą stronę i zobaczyła zbiegowisko przed sklepem Renaty. Początkowo zdezorientowana, rozpoznała mężczyznę, który przeciskał się przez tłumek zebranych tam ludzi, krzycząc i rozpychając go łokciami. Po chwili wypadł na jezdnię, która na szczęście była pusta, tylko jeden samochód zatrąbił i pojechał dalej. Mężczyzną był Nowak – imienia już nie pamiętała – ten sam, którego odwiedzały z Gretą w szpitalu. Naoczny świadek i niedoszła ofiara. Przypomniała sobie, że mieli go na dniach wypuścić do domu z przymusowego odwyku. Ryba coś o tym wspominał, ale jej to umknęło. Odwyk nie odwyk, tym razem także był wyraźnie pijany, zataczał się, wodził dookoła nieprzytomnym, dzikim wzrokiem. Dziennikarka stała jak wryta, facet chyba jej jednak wcale nie zauważył, bo wpadł na nią z impetem. Chciała go zatrzymać, lecz wymachiwał rękoma, jakby opędzał się od czegoś. Trafił ją w oko, aż zasyczała.

– Panie Nowak, nie poznaje mnie pan? – spróbowała mimo to. – Ej, proszę pana, co się stało?!

Zatoczył się na latarnię, coś bełkocąc, po czym dalej krzycząc, odpłynął w dół prostopadłej ulicy, w stronę baru.

Felicja podeszła pod sklep. Gapie zaczęli się rozchodzić, niektórzy chichocząc pod nosem, inni zbulwersowani i zgorszeni. Dotarły do niej ostre słowa. Weszła do środka. Tam również panowało poruszenie. Za ladą stała Renata wraz z synem, wokół tłoczyło się kilka osób, klientów – głównie klientek, twarze niektórych już rozpoznawała – oraz stali bywalcy w kącie lokalu.

– Pani Renatko, co tu się działo? – zapytała.

Sklepowa wzruszyła ramionami.

– Żebym to ja wiedziała – odparła bezradnie. – Obsługiwałam klientów, kiedy

raptem wszedł ten Nowak. Oczywiście nachlany jak bąk. Już go wypuścili, a ten od razu... Ale to w końcu nie moja sprawa. Obsłużyłabym go, jak każdego innego. Tyle że ktoś z obecnych tu państwa zaczął go wypytywać, kogo widział tam, w lesie. Wtedy, kiedy o mały włos życia nie stracił. No i zaczęło się.

– To znaczy?

– No, rozdarł się jak stare prześcieradło. Nie wiem, o co chodziło. Może te pytania obudziły w nim złe wspomnienia. Trauma czy co. Pojęcia nie mam. W każdym razie zaczął krzyczeć jak szaleniec, miotać się, łapami machać. Wszystkich wystraszył! Na koniec wypadł ze sklepu, przewrócił się na schodach, choć Kostek je dziś ze dwa razy piachem posypał, zleciał na łeb, na szyję. Aż się zdenerwowaliśmy, że coś sobie połamie. Ale skąd! Złego diabli nie biorą, a pijaka nic nie zmoże. Podniósł się i... no, dalej sama już pani widziała. Zbiegowisko mi zrobił jak na wiecu jakimś – zakończyła sklepikarka z niesmakiem, a zebrani w sklepie ludzie potakiwali jej, kiwając głowami.

Kwadrans później

Schowana pod daszkiem, bo znów zaczęło lekko sypać, zadzwoniła do Greta. Nie mogła dłużej czekać, musiała to wyjaśnić od razu. Zajście z Nowakiem uświadomiło jej naocznie, jakie upiory ścigają ich wszystkich. Miasteczko, okoliczne wioski, całą gminę, wszystkich jej mieszkańców. Nie wyłączając jej samej, bo chwilowo stała się jedną z nich. Żeby z nimi wygrać, trzeba zabić przeszłość.

– Gretka, bardzo jesteś zajęta?

Radna była w dobrym humorze. O niczym nie wiedziała. Nawet o tym, że Felicja otrzymała anonim.

– No, mam chwilę, a co? – zapytała prostodusznie, aż dziennikarka poczuła wyrzuty sumienia, że zaraz jej ten humor popsuje. Dlatego nie zwlekała.

– Powiedz mi jedno. To ważne. Czy twój ojciec tamtego pamiętnego sylwestra wrócił do domu zaraz po zakończeniu imprezy w pegeerze? A może był wtedy razem z twoją matką? Pamiętasz, jak to było?

Usłyszała, jak po drugiej stronie słuchawki Greta wciąga powietrze.

– Przepraszam, że do tego wracam. Ale to może być naprawdę ważne – dodała z poczuciem winy.

Milczenie.

– Greta?

– W porządku. Zastanawiam się – odpowiedziała wreszcie radna. Jak można się było spodziewać, barwa jej głosu się zmieniła, stała się jakby o ton mroczniejsza. – Nie wszystko pamiętam, byłam mała. Bardziej z późniejszych opowiadań mamy. Jej tam z nim na pewno nie było, została wtedy ze mną w domu, zdaje się, że odwiedzili nas dziadkowie. Mama nigdy nie chodziła z ojcem na imprezy. Wstydziła się, bo tata... no, jak sobie wypił, to nie zawsze dobrze ją traktował. Czasem jej przy ludziach dokuczał. Nie wiem, czy wrócił od razu po imprezie. I już się tego nie dowiem, bo nie mam od kogo. Tylko do czego wam to teraz potrzebne?

– Do niczego. – Felicja się zawahała. – Po prostu chciałam wiedzieć...
– Nie kręć. Bez powodu nie pytasz.
– Okej. Niektórzy mówią, że twój ojciec uczestniczył w tamtym zdarzeniu. Że był w baraku, podczas gdy...

Greta przerwała jej:

– Wiedziałam! – Zaśmiała się z goryczą. – Wiedziałam, że tak będzie, że na tym się nie skończy! Posłuchaj. Mój ojciec nie był święty. Ale nie pozwolę zrobić z niego potwora! Nie był potworem, był zwyczajnym człowiekiem. Nigdy nie uwierzę, że po pijaku zgwałciłby swoją pracownicę, następnie zatłukł jej chłopca, a potem pozostawił oboje na mrozie, by zamarзли! To jakiś obłęd. Nikt, nikt... nawet ty!... mi tego nie wmówi. Felicja, mam tego dość...

– Ja ci niczego nie wmawiam – wtrąciła łagodnie. – Chciałam to tylko wyjaśnić. Ludzkiego gadania i tak nie zmienisz, a lepiej, żebyś się tego dowiedziała ode mnie niż od obcych. Wierzę ci. Tylko dlaczego tak się zaangażował, by zatuszować sprawę? Nie chciał, żeby winni zostali ukarani?

– Bo na swój sposób był karierowiczem, mówiłam ci. Bronił swego oczka w głowie, jakim był dla niego ten zakład. Pewnie inaczej to pojmował niż my teraz. Czasy były inne. Może myślał, że zdarzyło się nieszczęście, wypadek, że pijani nie odpowiadają za swoje czyny. Wtedy taka opinia była obiegowa. Pijaków się ze wszystkiego rozgrzeszało. Ktoś spowodował wypadek po pijanemu, nawet sąd traktował go łagodniej! Więc nie dziw się, że ojciec ochraniał swoich ludzi. Zapewne uważał, że to jego obowiązek. Nie bronię tego poglądu, nie próbuję usprawiedliwiać ojca, ale w ten sposób wówczas rozumowano. Dziś, na szczęście, podchodzimy do tego inaczej. I bardzo cię proszę, przynajmniej ty już mnie nie dołuj. I tak się pozbierać nie mogę. Gdyby mój tata...

Felicja pospiesznie weszła jej w słowo:

– Już w porządku, rozumiem. Chodziło mi o to, żeby cię chronić.

– Niby w jakim sensie? Jestem zagrożona? Czy podejrzana? Bo mogę ci przysiąc, że nie jestem „królową śniegu”!

Radna się rozłączyła.

Dziennikarka była jednak zadowolona, że zebrała się na odwagę. Obraza minie, ale słowo przyjaciółki znaczyło dla niej wiele. Schowała telefon i brnąc w puszystym śniegu, którego nikt jeszcze nie zdążył odgarnąć, poszła w stronę biblioteki.

Od kwadransa mniej więcej siedziała w bibliotecznym kąciku czytelnicy nad wydaniem *Baśni* Andersena z ilustracjami Szancera. Nie myliła się, w bibliotece znajdował się egzemplarz z 1974 roku, a nawet jeszcze starszy, z połowy lat sześćdziesiątych, choć ten został zupełnie zaczytany. Książka, którą miała przed sobą, zachowała się w całkiem niezłym stanie, widocznie wcześniej dzieciaki czytały więcej, a może ich rodzice częściej korzystali z bibliotecznymi zbiorów. Pamiętała to wydanie z własnego dzieciństwa. Przy tym uświadomiła sobie, że musiało ono ukazać się na rynku zaledwie parę lat po tragicznych wydarzeniach opisanych przez Gretę. Z tego wynika, że ilustracja znaleziona przy zwłokach starego Pazika mogła pochodzić na przykład z tego starszego egzemplarza. Nowsze wydania nie

interesowały jej, zawierały już całkiem inne ryciny. Przekartkowała również starszą książkę, jednak najwyraźniej wszystkie obrazki znajdowały się na swoim miejscu, żaden nie został wyrwany. Również ten, na którym Królowa Śniegu o charakterystycznych dla Szancera gotycko pięknych rysach twarzy – otulona białym futrem i w kapturze z diademem na głowie – szybuje nad dachami domów saniami zaprzężonymi w dwa białe rumaki, otoczona tumanem śnieżycy. Także kartki, choć wyblakłe i starte, znajdowały się na swoich miejscach. Czyli nie z tej konkretnej książki pochodziły anonimy. Felicja w nadziei, że może uda jej się coś więcej zrozumieć, zagłębiła się w lekturze samej baśni. W trakcie czytania przypominała sobie jej treść, myśląc przy tym, że jest naprawdę ponadczasowa i może oczarować czytelnika w każdym wieku. Jednak jeśli chodzi o bezpośrednie powiązanie z interesującymi ją wydarzeniami, nadal czuła się bezradna. Wcześniej w Internecie poczytała z uwagą różne omówienia i interpretacje baśni o Królowej Śniegu. Wszystkie były podobne i skupiały się na symbolice dobra i zła, przeciwstawiając przyjaźń i miłość znieczulicy oraz okrucieństwu. Bodajże jako jedyna baśń w dorobku Andersena była ona wynikiem wyobraźni pisarza, nie została zaczerpnięta z folkloru – choć tego akurat dziennikarka nie byłaby tak do końca pewna: inspiracje czasem są płynne, mgliste, nie do końca uświadomione. Niemniej nawet ta myśl niewiele wносиła. Najbardziej spodobał jej się tekst zamieszczony na pewnym blogu. Od razu wyczuła, że jego autorka nie tylko przeczytała baśń, ale też poświęciła czas na zbadanie jej korzeni oraz na własną refleksję. Wyjęła smartfon, połączyła się z Internetem, sprawdzając przy okazji nazwę bloga: W Krainie Czytania i Historii. Piękny tytuł – uśmiechnęła się do siebie. Intrygujący.

Ponownie odczytała fragment, który ją już wcześniej zainteresował:

W Królowej Śniegu pojawiają się dwa symbole Zła. Są nimi diabelskie lustro i sama Królowa Śniegu. Szatańskie zwierciadło sprawia, że ludzie widzą dookoła siebie jedynie to, co złe, przez co sami również stają się źli. Z kolei Królowa Śniegu wyposażona jest w potężną moc odbierania życia, gdyż może zasypać śniegiem czy skuć lodem. Jest także w stanie odebrać człowiekowi uczucie miłości, co przemieni go w egoistę. Choć mała Gerda wydaje się bardzo słaba i bezbronna wobec takiej potęgi Królowej Śniegu, to jednak dziewczynka posiada coś, czego Królowa nie zna. To miłość tkwiąca w jej gorącym serduszkach. Gerda reprezentuje tutaj potęgę Dobra, czyli przyjaźni, oddania, ciepła i wierności. Dziewczynka pokonuje Zło, ponieważ w poszukiwaniach Kaya towarzyszą jej wiara, nadzieja i miłość. Tak więc skoro lód musi roztopić się w gorących promieniach słońca, siły Zła zmuszone są ustąpić przed Dobrem. Baśń o Królowej Śniegu zawiera trzy przesłania. Pierwszym z nich jest wielka siła miłości, która jest w stanie przewyciężyć wszystko, lecz może to zrobić tylko wtedy, kiedy pozbawiona jest egoizmu. Kolejne przesłanie mówi o tym, że nie wolno nam patrzeć na świat tak, jak gdyby w naszym oku tkwił odłamek szatańskiego zwierciadła. Trzeba widzieć wszystko to, co jest piękne w drugim człowieku, a także w otaczającej nas przyrodzie, ponieważ dopiero wówczas będziemy naprawdę szczęśliwi. I na koniec musimy pamiętać, że prawdziwy i szczerzy przyjaciel

nigdy nas nie opuści w potrzebie, lecz my również nie możemy zostawić ludzi, którzy nam zaufali i obdarzyli nas swoją przyjaźnią.

Przeczytała ten kawałek dwukrotnie. Coś jej zaświtało, lecz w tym samym momencie usłyszała znaczące chrząknięcie. W czytelni była sama, nie licząc bibliotekarki – tej młodej. Nie, nie oszukiwała samej sobie, dziewczyna interesowała ją nie mniej od baśni Andersena. Zamierzała jeszcze zamienić z nią kilka słów. Zerknęła na zegar na wyświetlaczu komórki. Biblioteka miała być tego dnia otwarta do dziewiętnastej. Specjalnie wybrała się tutaj właśnie dzisiaj. Dochodziła dopiero osiemnasta trzydzieści. Bibliotekarka wyglądała jednak na zniecierpliwioną, i – tak jak poprzednio – rzucała jej znad swego biurka niezbyt życzliwe spojrzenia.

– Siedzę za długo? – zagadnęła przyjaźnie.

– No... zamykamy wkrótce. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ale chyba jeszcze nie w tym momencie?

– Może chce pani po prostu wypożyczyć tę książkę do domu? Nie ma sprawy, skoro lubi pani bajki. Czy to ma związek z tymi idiotyzmami, które wygadują ludzie w miasteczku? O tej „królowej śniegu”? – Zachichotała ostentacyjnie.

Felicja uśmiechnęła się do niej.

– Może i tak – odpowiedziała, zamykając książkę. – A pani zna tę baśń?

– Kto nie zna... – prychnęła czarnulka.

– Ludzie często wypożyczają tę książkę? Dzieciaki? Dorośli?

Dziewczyna wyraźnie niecierpliwiła się coraz bardziej.

– Rzadko – odparła jednak w miarę grzecznie. – Dzieciaki już się czym innym interesują, nie jakimiś starymi bajkami. A dorośli... nie, nie przypominam sobie. Może nauczyciele ze szkoły, ale oni mają tam swoją bibliotekę szkolną, więc też ostatnio niezbyt często korzystają z naszej.

– Rozumiem, że się pani spieszy. – Dziennikarka starała się, by jej głos wyrażał sympatię. – Przepraszam, sądziłam, że biblioteka jest dziś czynna do siódmej...

– Bo jest. Ale oprócz pani nie ma żadnych czytelników i raczej już nikt nie przyjdzie, a ja chciałabym trochę wcześniej wyjść. O siódmej mam autobus, potem na następny musiałabym czekać dwie godziny. Nawet nie wiadomo, czy ten przyjedzie o czasie, bo przy takiej pogodzie może gdzieś utknąć. Często się to ostatnio zdarza. Wolałabym nie ryzykować potem spacerów przez las. Jeszcze by i mnie dopadła ta straszna „królowa śniegu”! – Zaśmiała się z ironią. – Więc...

Felicja podniosła się i podeszła do biurka, by oddać książki.

– Podwiozę panią – zaproponowała.

Błada, nieruchoma, przypominającą maskę twarz bibliotekarki w jednym momencie zmieniła się nie do poznania. Na nieskazitelnie pięknej twarzy z nieco demonicznym makijażem pojawił się wyraz ożywienia.

– Serio? – Zimny głos również złagodniał. – Mogłaby pani? No, to by było super! Zapłacę pani za benzynę.

– Nie ma takiej potrzeby. Pewnie, że bym mogła, mój wóz stoi po drugiej stronie ulicy, a czasu mam dość. Daleko pani mieszka?

– A, nie, w Świerczewie, na osiedlu. To ze dwadzieścia minut samochodem, o ile

drogi nie zasypało. Fajnie, dzięki! Normalnie jeżdżę do pracy samochodem, ale dziś ojciec go zabrał. Myślałam, że mnie po drodze odbierze, ale dzwonił, że nie da rady. Sorry, że tak panią poganiałam, ale na serio byłam zdenerwowana, bo to jednak niezbyt fajne wracać samej po ciemku...

– Jasne. To zbierajmy się. – Felicja sięgnęła po kurtkę i zaczęła, aż dziewczyna weźmie swój kożuszek. Ponieważ trzeba było jeszcze pogasić światła i pozamykać wszystko, zaproponowała, że w tym czasie przyprowadzi samochód na podjazd pod drzwi. Nie miała ochoty tu stać i czekać.

Gdy już znalazły się w aucie, usiłowała naprowadzić rozmowę na ostatnie oraz minione wydarzenia w gminie, panienka jednak nie była zbyt rozmowna, a temat konsekwentnie bagatelizowała. Dziennikarka z kolei nie mogła ujawnić, że zna historię jej dziadków, bo teoretycznie nie miała do tego prawa. Tak więc plan dziennikarki – wyciągnięcia czegoś z dziewczyny – spalił na panewce. Śnieg dalej sypał, ale dojechały bez problemów. Osiedle było skupiskiem niewielkich, identycznych domków. Dziewczyna wskazała jeden z nich.

– To tutaj. Tu może pani stanąć. Dzięki – powiedziała, uśmiechając się krzywo.

Felicja wypuściła ją, nie wyłączając silnika. Zerknęła przy okazji na dom, w oknach paliło się światło.

– Mieszka pani z ojcem? – zagadnęła. – Chyba już też wrócił, bo się u was świeci.

– No właśnie. A mówił, że będzie później. Przecież mógł mnie zabrać po drodze. Pewnie myślał, że kończę wcześniej... Dobranoc!

Przez chwilę obserwowała, jak dziewczyna biegnie, ślizgając się, do furtki, po czym zaczęła wycofywać wóz. Nagle jednak znieruchomiała. Dopiero teraz na podjeździe posesji ujrzała duży biały samochód.

Była to terenówka Toyoty.

Noc, godzina 23.05

Śnieżyło leniwie, ale i mróz trzymał wciąż kilkunastostopniowy. Dwóch mężczyzn wracających z pubu – zamykanego teraz konsekwentnie przed jedenastą wieczorem – mijalo właśnie ciemny kryszewski park. Jeden holował drugiego, ponieważ obaj wypili tego dnia po kilka dużych kufli miejscowego piwa. Na zmianę to podśpiewywali pod nosem, to perorowali zawzięcie o polityce, choć żaden z nich nie miał tak naprawdę sprecyzowanych poglądów. Ogólnie wszystko było źle. I tyle. Źłe było zawsze, i dawniej, i obecnie. Teraz próbowali to sobie nawzajem gorączkowo udowodnić, co wcale nie oznaczało, że byli zgodni. Ależ skąd. Właśnie gdy jeden z mężczyzn po raz kolejny wykrzykiwał swoje zdanie, a drugi przerywał mu co chwila uparcie, by wtrącić własne trzy grosze, z oddali, od strony parku, gdzieś zza krzaków, dobiegł ich czyjś zduszony krzyk, następnie odgłosy szamotaniny, potem znów krzyk i kolejny odgłos: coś jakby skowyt, a potem charczenie. Chwilę później wszystko umilkło. Nie byli aż tak pijani, by nie rozumieć, co to może oznaczać. Krążący w żyłach alkohol dodawał im odwagi, choć zarazem hamował ruchy, widząc jednak przed sobą otwartą furtkę prowadzącą w głąb parku, ruszyli truchtem

w kierunku, skąd dobiegły ich głosy, głośno wzywając pomocy. Zdawało im się nawet, że całkiem wytrzeźwieli. W ciemnościach widoczność była kiepska – nie docierało tu światło latarni – ale jeden z mężczyzn przypomniał sobie w nagłym przypływie natchnienia, że w kieszeni powinien mieć zapalniczkę z latarką. Wymacał cenny przedmiot. Gdy zaświecił, w nikłym promieniu miniaturowej latareczki dostrzegł jakiś ruch u końca alejki, tam gdzie gęste zimozielone krzewy odcinały się na tle ogrodzenia, a od strony uliczki docierała mglista blada poświata. Pobiegli, ślizgając się i potykając o własne nogi. Gdy oczy przywykły do czerni, zaczęli rozróżniać w niej odcienie szarości. Naraz cień jakby zgęstniał, oderwał się od głębszego cienia i ruszył w przeciwnym kierunku. Właściciel latarki cudem nie stracił przytomności umysłu, skierował na poruszający się cień wąski snop światła. W jego blasku ujrzeni cudaczną postać, biegnącą, a może lecącą – trudno powiedzieć, gdy srebrna biel łączy się z drugą srebrną bielą od góry i od dołu – w stronę ulicy. Postać w rozwianym płaszczu lub może futrze, równie szarobiałosrebrzystym jak śnieg o zmroku. Zatrzymali się z otwartymi ustami. Nie mieli zamiaru gonić uciekającej postaci – była zbyt daleko i poruszała się za szybko. Gdy znikła w czerni poza zasięgiem światła latarki, nie wiedzieli nawet, czy była prawdziwa, czy tylko ją sobie wyobrazili. Już mieli odwrócić się i zakłopotani odejść w milczeniu, kiedy spod linii krzaków znów dobiegł ich jęk. Ponownie przyświecając sobie latarką, podążyli w tę stronę. Na zdeptanej połaci śniegu już z oddali zobaczyli leżący ciemny kształt. Jęk się powtórzył, więc podeszli bliżej. Dopiero wówczas dotarło do nich, co widzą. Człowiek kulił się na ziemi, dookoła widać było rozbryzgi krwi, rozbite szkło oraz skopany, brudny śnieg. Rozpoznali człowieka. Jęczał, czyli wciąż żył, mimo że padający bez przerwy drobny puch zdążył go już zasypać niczym cukier puder. Bystrzejszy z mężczyzn wyjął telefon komórkowy – solidny stary model, odporny na wszystko, nawet na pogodę – zdjął rękawicę i drżącymi palcami wystukał trzycyfrowy numer...

Tymczasem jego towarzysz zaczął wrzeszczeć z całych sił, alarmując śpiących w bloku naprzeciwko parku ludzi. W kilku oknach zapaliły się światła.

Felicja ocknęła się na moment, nasłuchując, jednak za chwilę przewróciła się na drugi bok, pewna, że coś jej się tylko przyśniło...

Dopiero mniej więcej o dziewiątej rano obudził ją ponownie telefon.

Kryszewo, nazajutrz

Dzwonił długo i wytrwale, ponieważ Felicja nie nawykła do tak wczesnych pobudek o tej ponurej porze roku, gdy dzień przychodzi późno i wczesnie odchodzi, szczególnie że swoją pracę mogła wykonywać w dowolnych godzinach. Upłynęło więc kilkanaście dobrych sekund, zanim oprzytomniała na tyle, by sięgnąć po telefon. Ktoś z drugiej strony linii był jednak uparty.

– Tak? Halo? – zapytała sennym, jeszcze zachrypniętym głosem, trąc powieki, by prędzej powrócić do rzeczywistości.

Jednak informacja przekazana jej pospiesznie przez Rybę sprawiła, że dobudziła się natychmiast.

– Ale jak to kolejna ofiara?! Trup?

– Prawie. Odratowali go. Miał szczęście, pijaczysko. Wiesz, kto to? Nowak!

– Nowak? Ten sam?

– Tak, ten sam! Drugi raz uniknął śmierci, widać mu nie pisana. Będzie długo żył. Został napadnięty nocą w naszym parku, kiedy wracał z pubu. Kumple od kieliszka go znaleźli, na szczęście w samą porę, cud, bo ich z knajpy wywalono. Oczywiście nasza królowa zadziałała, tyle że znów jej nie wyszło. Inny *modus operandi*, ale zdaje się, że wymuszony sytuacją. No, w każdym razie wszystko się dobrze skończyło. Będziesz u siebie wieczorem? Zajrzałym...

Dziennikarka z komórką przy uchu wyskoczyła z pościeli, jedną ręką pospiesznie wkładając dzinsy. Otworzyła lodówkę, wyjęła napoczętą butelkę coli, wypiła łyk. Wzdrygnęła się, bo napój był upiornie zimny, pomyślała jednak, że nie ma teraz czasu na kawę czy herbatę.

– Słuchaj!... – zawołała, bo policjant sprawiał wrażenie, jakby chciał się już rozłączyć. – Zaczekaj! Gdzie teraz jesteś? Ja zaraz mogę być na komisariacie, musisz ci coś koniecznie powiedzieć!

Ze słuchawki dobiegły ją jakieś trzaski.

– Felicja, jestem w terenie, teraz nie przychodź, to bez sensu. Zaczekaj w domu. Później do ciebie...

– Ale ja wiem, kto jest morderczynią! Królową śniegu, rozumiesz?! Jestem prawie pewna, że...

Nastąpiła chwila ciszy, po czym aspirant odezwał się zdziwionym tonem:

– Czekaj, czekaj! Niby kogo masz na myśli?

– To ta młoda bibliotekarka, jestem pewna! Wszystko pasuje! Sam mówiłeś, że gdyby to była osoba urodzona w roku siedemdziesiątym, to nie byłaby już dziś taka młoda i śliczna, a właśnie tak, według Nowaka, miała wyglądać ta postać, którą widział: cudna, młodziutka, jak z obrazka... To mogłaby być tylko jakaś córka albo wnuczka kogoś z tamtej epoki, ktoś z rodziny, no... kurczę, rozumiesz? Wszystko się zgadza! Ta mała jest wnuczką uczestników tamtej imprezy kołchozowej, i w dodatku ofiar... Musiało odbić biednej dziewczynie! To zresztą było słyhać z jej gadki, ewidentna charakteropatka. No i... Czekaj, bo właśnie się ubieram... No i wczoraj odwiozłam ją do domu. Zgadnij, czym ona jeździ? Tam stał samochód na podjeździe... Terenówka! Biała terenówka, rozumiesz?!

– Felicja! Hej!

– No, kurde... nie rozumiesz?!

– Felicja, zaczekaj... Bo o czymś nie wiesz – przerwał jej wreszcie. – My wiemy, kim jest sprawca. A raczej sprawczyni. Już ją zatrzymaliśmy, jest właśnie w drodze do aresztu, będzie dziś jeszcze przesłuchiwana na komendzie, ale przyznała się prawie od razu! Wszystko jest jasne...

– Co?!... Kto?!

Znów chwila ciszy.

– Teraz nie mogę mówić. Choć jak wyjdiesz na ulicę, to pewnie od razu się

kapniesz. Mimo wczesnej pory mieliśmy gapiów. Na szczęście dziennikarze tu nie dotarli. Wracaj spokojnie do łóżka, będę u ciebie za kilka godzin.

– Czy Greta?...

– Nie! Uspokój się. Niedługo wszystkiego się dowiesz. Muszę kończyć.

ASPIRANT ZYGMUNT RYBA

Widzę, że jesteście w szoku, czyli już wiecie. Domyślałem się, że cała gmina będzie o tym huczeć. Powiem wam, że i mnie to zbulwersowało. Wszystkiego bym się spodziewał, ale tego akurat nie... Jednak nie ma najmniejszych wątpliwości. Nie dość, że winowajczyni się przyznała, i to od razu, już podczas zatrzymania, to jeszcze zgubiła coś na miejscu zdarzenia, coś, co między innymi naprowadziło nas na jej trop. Czyli nazywając rzecz po imieniu, zostawiła istotny dowód na miejscu swej ostatniej niedosłej zbrodni. Bo z całą pewnością miało tam zostać popełnione kolejne morderstwo. To, że się nie udało, jest zasługą wyłącznie przypadku. Co zgubiła? Do tego wrócę później.

Ale *ad rem*, jak to mówią. Zacznijmy od wczorajszego wieczoru. Otóż nasz Miecio, to znaczy znany wam Mieczysław Nowak, odkąd wrócił z wytrzeźwiająki, z miejsca zajął się tym, co potrafił najlepiej, czyli piciem. Żaden odwyk na takiego nie podzielał, w końcu pił przez całe życie. Po incydencie w sklepie, którego Felicja była świadkiem, od razu poleciał do pubu. A już wcześniej strzelił sobie co nieco, i nie było to wyłącznie piwo. W knajpie zamówił sobie na kreskę kilka kolejek, z nikiem specjalnie nie gadał, tylko mamrotał coś do siebie, przysypiał. W efekcie przesiedział tam prawie do zamknięcia lokalu, bo kierownictwo dość poważnie potraktowało nasze apele, by zamykać pub o dwudziestej drugiej. O tej porze więc personel w osobach szefa i barmanki wyprowadził chwiejącego się na nogach Nowaka na zewnątrz, po czym wrócili, by wywalić kolejnych pijaków. Ci jednak stawiali czynny opór, tak więc potrwało to jakiś czas. Tymczasem Miecio udał się w stronę Leśnego Dołu, gdzie, jak pamiętacie, mieszka. Nie szedł jednak szosą, tylko opłotkami. Być może coś mu się poplątało, trudno prześledzić myśli pijanego. Mogło też być tak, że ktoś go w jakiś sposób zwabił do parku. Nie jest to ważne, fakt, że jakoś tam trafił. I tam został napadnięty. Tym razem, jak już wspomniałem Felicji rano przez telefon, wszystko odbyło się nieco inaczej niż poprzednio. Owszem, na jego drodze też pojawiła się tajemnicza „królowa śniegu”. Zapewne ponownie próbowała skusić go do wypicia bimbru albo czystego spirytusu, jednak on się nie dał, zaczął walczyć, wzywał pomocy, próbował uciekać. Prawdopodobnie ją rozpoznał, wiedział już, nawet po pijaku, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. To jej pomieszało szyki. Usiłowała siłą wlać w niego alkohol, ale się szarpał. W dodatku usłyszała z ulicy jakieś głosy, te dwa pijaczki też nieźle nadawały. W tym momencie chyba ogarnęła ją panika, no i zaatakowała tym, co miała pod ręką, czyli butelką. Najpierw raz, potem poprawiła jeszcze parę razy. Zamierzała zabić, to pewne. Ciosy zadawała z wielką siłą, w końcu to wysoka, postawna kobieta w sile wieku, a Nowak... no wiecie, na wpół przytomny, pijany, zdiadziały strach na wróble. Ale słysząc zbliżające się głosy, spłoszyła się, rozbiła butelkę, smyrnęła ją w krzaki i dała nogę.

Ci pijani faceci zobaczyli już tylko niezidentyfikowaną postać w rozwianym płaszczu. I znów by się jej pewnie udało, gdyby nie te dwa pijaczki. No i gdyby czegoś nie zgubiła. Mianowicie długopis – egzemplarz jedyny w swoim rodzaju, który zna chyba całe miasteczko, a raczej nawet cała gmina – stary enerdowski długopis z napisem *Ordnung muß sein*. Musiał jej wypaść z kieszeni podczas szamotaniny. Gdy tylko go znaleźliśmy, od razu wiedzieliśmy, do kogo należy. I kogo namierzamy. Tym bardziej że koledzy z Gdańska zdołali ustalić, kim naprawdę jest Renata Dudzińska...

Bo to skomplikowana historia. Otóż mniej więcej czterdzieści siedem lat temu została urzędowo zarejestrowana jako córka Antoniego i Katarzyny Mrągów, pracowników naszego pegeeru. Również ochrzczona w tutejszym kościele, a na chrzcie otrzymała imię Małgorzata. Ci Mrągowie to – jak się pewnie domyślacie – para, która poniosła śmierć podczas sylwestrowej nocy 1970 roku, a ślad po ich jedynym dziecku zaginął, choć tak naprawdę zaginął dopiero później. Po śmierci rodziców mała znalazła się pod opieką socjalistycznej ojczyzny: najpierw, krótko, w domu małego dziecka, a następnie w zwykłym domu dziecka, kierowanym przez znanego nam już ze słyszenia Waldemara Rogalskiego. Na terenie naszej gminy. Jak to się wtedy odbyło, nie pytajcie, w każdym razie zgodnie z prawem. Małgosia Mrąg przebywała w tej placówce do pełnoletności, a nawet nieco dłużej, do ukończenia nauki. Skończyła bez żadnych opóźnień szkołę podstawową, a potem średnią zawodową o profilu handlowym. Zwaną potocznie handlówką. Była zdolna i chciała się uczyć. Była też bardzo ładna, dlatego stary Rogalski wykorzystywał ją seksualnie przez kilka lat, odkąd skończyła osiem lat – przynajmniej ona tak twierdzi, a raczej nie zmyśla. Zamykał się z nią wieczorami w świetlicy pod pretekstem dodatkowej nauki. Czytał małej na głos baśnie Andersena, a gdy była starsza, kazał czytać jej. Miał szczególną obsesję na punkcie jednej z tych baśni, właśnie tej o Królowej Śniegu. Podobno dla każdej molestowanej dziewczynki miał inną bajkę. Perwersyjny skurwysyn. Podczas gdy ona czytała, on ją obmacywał i gwałcił. Trwało to niemal do samego końca jej pobytu w sierocińcu, dopóki miał nad tymi dziećmi władzę. Ponieważ jednak bał się ujawnienia, postarał się zapewnić młodej Mrągównie jak najlepsze warunki po opuszczeniu domu dziecka: pracę w sieci Społem, i to od razu na kierowniczym stanowisku – wykształcenie miała – oraz osobny pokój w gdańskiej czynszówce. Nie każdy wychowanek miał takie szanse. Przyjęła tę pomoc jako zapłatę za krzywdy, których od niego doznała. Jednak nie zamierzała na tym poprzestać, jej ambicje były większe. Chcąc mścić się na Rogalskim i szantażować go, poderwała starszego od siebie o kilkanaście lat milicjanta... nie, wtedy już chyba policjanta z Nowego Portu, którego poznała, gdy włamano się do sklepu, w którym pracowała jako kierowniczką. Mniej więcej w tym samym czasie urzędowo zmieniła imię i nazwisko na Renata Mrągowska, a następnie wyszła za mąż za tego glinę i przyjęła jego nazwisko – Dudzińska. Dlatego tak trudno było ją namierzyć. Dalsze jej losy są dość mgliste, ale wszystkiego się dowiemy. W każdym razie zadurzony w lasce policjant znalazł i zdradził jej dane wszystkich osób zamieszanych w śmierć jej rodziców. Wykorzystała je stosunkowo szybko, ponieważ po urodzeniu dzieciaka jej związek

zaczął się sypać. Podobno mąż ją zdradzał, być może zdradzali się wzajemnie, potem facet zginął... Dziwnie zginął, bo w pożarze własnego mieszkania, z którego szczęśliwym trafem Małgorzata vel Renata uratowała się wraz z małym synkiem. Od początku było coś niejasnego w tym wypadku, choć oficjalnie stało, że ogień został zaproszony przez nie zgaszony niedopałek, upuszczony na dywan przez samego starszego sierżanta Ernesta Dudzińskiego, który był wówczas... uwaga, uwaga... pod wpływem alkoholu. Dudzińska również wyraża się dosyć tajemniczo na ten temat. Uśmiecha się trochę znacząco. Całkiem możliwe, że biedny mąż był jej pierwszą ofiarą. No ale to na razie spekulacje. Nie uprzedzajmy faktów. W każdym razie po jego zejściu odebrała odszkodowanie, wyciągnęła więcej kasy od Rogalskiego, który panicznie się jej obawiał, a jednocześnie nadal pozostawał pod jej urokiem, stary oblech (to jej własne słowa), odremontowała po pożarze, a następnie sprzedała mieszkanie po mężu w Brzeźnie, po czym powróciła tutaj, do miejsca swego urodzenia, gdzie się wszystko zaczęło...

Powróciła z dokładnie obmyślonym planem. Kupiła sklep, a w zasadzie cały pawilon, czyli lokal usługowy na parterze razem z mieszkaniem na górze. Pieniądzy miała dość: znacznie większą kwotę otrzymała za lokal w mieście. Urzędziła się, szybko zyskując sympatię i zaufanie mieszkańców. Wszyscy ją polubili, bo była wesoła, grzeczna, serdeczna i z rozmachem poprowadziła swój sklepik. Zawsze dawała na kreskę, wiejskie dzieci częstowała cukierkami, zamawiała ciasta i weki od miejscowych gospodyń, a lokalnym pijakom rozstawiała na swoim podwórku dwa stoliki pod parasolami, by mogli letnią porą w spokoju popijać piwo, nie rzucając się w oczy zonom i sąsiadom. Wtedy jeszcze nie było pubu naprzeciwko. Szybko stała się częścią lokalnej społeczności. Następnie przystąpiła do realizacji swego prawdziwego planu... do aktu zemsty. Znała nazwiska osób uczestniczących w zdarzeniu, w którego wyniku zginęli oboje jej rodzice. Nigdy się nie dowiemy, kto bezpośrednio dokonał gwałtu i zabójstwa, ale ci właśnie ludzie w taki czy inny sposób przyczynili się do tej tragedii, przynajmniej w rozumieniu Dudzińskiej. Zemsty dokonała planowo, do każdej akcji starannie się przygotowując. Zaczekała tylko na odpowiednio mroźną aurę, dzięki czemu morderstwa wyglądały na wypadek, jakich wiele się zdarza zimową porą. Była młoda i urodziwa, zresztą do dziś przystojna z niej babka. Wykorzystała te atuty, uwodząc mężczyzn i upijając ich, a następnie pozostawiając na pewną śmierć, zawsze w nocy i na bezdrożach, gdzie trudno liczyć na przypadkowych przechodniów. Na kobiety miała inny sposób: udawała przyjaciółkę, wysłuchiwała zwierzeń. Rekwizytów nawiązujących do baśni *Królowa Śniegu* użyła czysto symbolicznie, trochę dla zabawy, a trochę dla kamuflażu, jak twierdzi. Z sierocińca ukradła egzemplarz, którym posługiwał się Rogalski, skorzystała z niego. Treść utworu znała na pamięć, dopasowała ją do sytuacji. Tyle dowiedzieliśmy się na razie od niej samej. W jeden sezon wykończyła wszystkie wytypowane osoby, natura jej sprzyjała. Nie ryzykowała wiele: gdyby coś poszło nie tak, nikt nigdy nie podejrzewałby celowego działania, nawet przyłapaną, by się wykręciła. Nikt jej jednak wówczas nie przyłapał. A ponieważ ludzie w okolicy pamiętali tamto nieszczęście, narodziła się legenda o kłątwie.

Pytanie, czemu teraz powróciła do swego procederu. Na bezpośrednio zadane

pytanie odparła, że nienawidzi pijaków, gardzi nimi, wzbudzają w niej obrzydzenie, bo nie dość, że sami robią z siebie szmaty, to jeszcze krzywdzą innych i są zagrożeniem, choćby na drodze. Że powinno się ich wszystkich wytępić. I że wszyscy ci alkoholicy w jakiś sposób są odpowiedzialni za jej osobiste nieszczęście. Nie do końca to rozumiem... Być może dotarła do faktów, których nie znamy. Oczywiście dojdziemy do tego z czasem. Na tym etapie podejrzewamy raczej, że w jej psychice coś pękło. Trudno ją za to do końca winić – nie sposób zaprzeczyć, że spierd... że spieprzono jej życie. W każdym razie przyznała się do wszystkiego, zrobiła to wręcz z zadowoleniem, tak jakby w duchu pragnęła, żeby ją złapano. Z pewnością sąd znajdzie w jej sprawie wiele okoliczności łagodzących, więc jest szansa, że uniknie surowej kary. Swoje jednak odsiedzi...

Podczas zatrzymania była spokojna. Mimo późnej pory nie spała, zdawało się, że wręcz czekała na nas. Na miejscu zabezpieczyliśmy wilgotną jeszcze odzież: białą pelerynę z kapturem obszytym futrem, białą czapkę z miękkiej wełny przetykanej srebrną nicią, i również białe zamszowe kozaki na niskim obcasie. Wszystko pasuje. Opowiedziała nawet, w jaki sposób wysłodziła Nowaka. Kiedy zrobił scenę w jej sklepie, zorientowała się, że przypuszczalnie ją rozpoznał, a przynajmniej zaczął się domyślać. Widziała, że zmierza do pubu, który zresztą widać z ich okna. Zostawiła syna za ladą i przeszła się tam wieczorem, żeby upewnić się, że wciąż tam siedzi. Drzemał przy stoliku. Widziało ją podczas tej czynności paru przechodniów. Potem wróciła do sklepu, młodego wysłała na górę, zamknęła interes (wtedy musiała w nerwach odruchowo schować długopis do kieszeni, zamiast jak zazwyczaj zostawić go na ladzie) i od tej chwili nie spuściła drzwi baru z oczu. Czekwała w pełnej gotowości, nawet w ubraniu wierzchnim, by potem nie tracić czasu. Wreszcie Nowak wytoczył się z knajpy i chwilę później pojechała za nim. Nawiasem mówiąc, oboje z synem mają dwa auta: starą furgonetkę, którą zwykle wożą towar, gdy są dobre warunki na drogach, oraz... stosunkowo nową terenówkę, która służy im zimą do celów zarówno służbowych, jak i prywatnych. Nie korzystają z niej zbyt często, w ogóle niewiele podróżują, ale przynajmniej raz w miesiącu bywają obowiązkowo na cmentarzu komunalnym, gdzie w roku siedemdziesiątym pochowano na koszt państwa rodziców Renaty... To tak na marginesie dodałem. W każdym razie tej nocy tradycyjnie wzięła terenówkę. Zaparkowała w bocznej uliczce przy parku, po czym tam zwabiła dziadka. Dalej już wiecie.

Pozwoliła się aresztować bez mrugnięcia okiem. Ostentacyjnie ubrała się w czern, jakby obchodziła żałobę. Nie stawiała oporu. Tylko ten jej synek się w końcu obudził, zszedł na dół i zaczął się rzucać. Krzyczał i prawie płakał, myślałem, że zacznie się z nami szarpać, bo wpadł w histerię. Ale Dudzińska go uspokoiła. Powiedziała, że ma tu zostać i pilnować sklepu, żeby ona miała do czego wracać. Zamilkł natychmiast i pokiwał głową, nagle jakby wydorósł. Widać, że kobieta ma u dzieciaka autorytet. Biedny chłopak, w sumie. Pojęcia nie mam, czy sam poradzi sobie z tym całym interesem. Zdaje się, że nigdy nie był zbyt chętny, ale w tej sytuacji... może... Oby mu się udało. Żal mi go. Przykro mieć matkę morderczynię i żyć z tym piętnem dalej jak gdyby nigdy nic, szczególnie w małej miejscowości. Więc kto wie, czy nie zdecyduje się jednak na sprzedaż lokalu. Inna sprawa, że

Dudzińską wszyscy tu lubili, tego młodego też, nie sędzę, żeby coś się zmieniło. Założę się nawet, że wielu mieszkańców będzie po jej stronie. Wbrew wszystkiemu.

No, to by z mojej strony było tyle. Podejrzana w areszcie, sprawa raczej przesądzona, wkrótce, jak zapowiada prokurator, dojdzie do procesu. Ponura historia, ale... no cóż, najważniejsze, że się w końcu wyjaśniła. Możemy spać spokojnie, żadna klątwa nam nie grozi. Nikt już więcej w Kryszewie nie zamarnie. Zresztą zima też pomału odpuszcza. No i czas najwyższy. Przecież tu nie Skandynawia, do jasnej ciasnej...

Chwilę później

– Mnie to się wszystko w głowie nie mieści – skomentowała Greta, sięgając do paczki papierosów Felicji. Zapaliła, choć normalnie unikała tego od lat. – W nałóg przez to wpadnę – dodała ponuro.

– Mnie też się nie mieści. Bardzo ją lubiłam. W życiu bym Renaty nie podejrzewała. Chociaż... jak teraz myślę, to wydaje mi się, że jej postać była jakby zbyt idealna, nie wiem, jak to ująć... trochę jak z romantycznych amerykańskich filmów: zbyt ciepła, zbyt gładka, zbyt optymistyczna. Taka nie do końca prawdziwa. Hologram. – Felicja również sięgnęła po papierosa. A ponieważ Ryba palił już drugiego z kolei, w pomieszczeniu zrobiło się po chwili niebiesko. Dziennikarka uchyliła lufcik, od rozpalonej kozy promieniowało dość ciepła, a po rewelacjach policjanta zrobiło im się aż za gorąco.

– Znaczą, dobrze się maskowała – skwitował aspirant. – Często jest tak z mordercami. Nie żebym miał wielkie doświadczenie, ale...

– Naczytałaś się – dokończyła za niego. – Masz rzecz jasną rację. Stworzyła siebie od nowa, wykreowała własną postać, i podejrzewam, że zaczęła to robić od razu po opuszczeniu domu dziecka. Być może już wtedy miała swój plan.

– Najważniejsze, że to już koniec tego koszmaru. – Greta się zadumała. – Może wreszcie będę mogła zapomnieć. Teraz przynajmniej wiem, że mojego ojca nie ścigała żadna „wyższa sprawiedliwość”, tylko po prostu nieszczęśliwa, poszkodowana kobieta. Pewnie wierzy, że jej zemsta miała sens. Biedna „królowa śniegu”...

– Biedna. Widziała wszystko w krzywym zwierciadle. Jak w tej baśni – dopowiedziała Felicja.

– Może tak, może nie. Prawdziwy świat nie jest czarno-biały.

W tym momencie Ryba przerwał im te rozważania:

– Tak szczerze, to nie do końca kminię, o czym gadacie. Przyznaję się bez bicia, że nie za wiele bajek czytałem za młodu, wolałem komiksy. – Mrugnął. – Powiem tylko, że to już rozstrzygnie sąd.

Zgodziły się z tym w milczeniu.

– Chłopca mi szkoda. Pan aspirant ma rację. Nie mam pojęcia, jak on sobie poradzi, był raczej rozpieszczany. Będzie potrzebował pomocy – dodała po chwili radna.

Felicja odparła krótko:

– Ma po dwudziestce, da radę.

– Po dwudziestce? Jesteś pewna? Wygląda na nastolatka.

– Tak mi mówiła Renata. Z opóźnieniem robi maturę, bo zawalił szkołę na samym początku. Wygląda smarkato, taki typ urody, ale jest dorosły. Młodzi ludzie szybko się podnoszą. Poradzi sobie, a jak cię znam, to nie dasz mu zginąć. Nie dacie – uzupełniła, mając na uwadze całe miasteczko.

Greta wzruszyła ramionami.

– Z tego wnoszę – podjęła – że nie zamierzasz jednak z nami zostać?

Ryba zaniepokojony rzucił okiem to na jedną, to na drugą kobietę.

– Jak to? Felicja coś kombinuje?

– Ostatnio wspomniała mi, że ma już trochę dość naszej prowincji i poszuka sobie czegoś innego.

– Nic takiego nie mówiłam! – odparła zakłopotana Felicja. – Nadinterpretowałam. Powiedziałam tylko, że nie wiem, co zrobię. Fakt, że dzwoniła moja matka, by oznajmić, że w pewnym trójmiejskim dzienniku jest wakat i że dopytywali o mnie. Jeszcze nie zdecydowałam...

Radna pokiwała głową.

– Ale się zdecydujesz. Wiem, że marzy ci się powrót do miasta, do tego pędu, anonimowego tłumu, do mnóstwa spraw, o których można pisać. No i może masz rację. W naszej gminie same nudy.

– No jasne! – Dziennikarka parsknęła śmiechem. – Same nudy. Co najwyżej jakaś seryjna zabójczyni przebrana za postać z bajki szaleje po lasach! A tak na serio, naprawdę jeszcze nie zdecydowałam. Przyznaję, że ta historia trochę mnie wykończyła, podkopała emocjonalnie. W pewnym momencie poczułam się nawet zagrożona. Po tym anonimie. Uwierźcie mi, to niezbyt sympatyczne uczucie, kiedy ktoś ci grozi, śledzi cię, a ty nie masz pojęcia, kto i z jakiego powodu. Sielanka gdzieś się ulotniła. Ale zobaczę jeszcze... Tak czy siak, zostanę tutaj do końca kontraktu. Czyli jeszcze przez parę miesięcy.

Aspirant nie skomentował tego, jednak wyraźnie posmutniał. Sięgnął po swoją kurtkę.

– Będę się zrywał – powiedział. – Felicja, tylko na razie nie opisuj nigdzie tej sprawy. Tylko tyle, ile ustalimy, okej?

– Jasne, nie musisz mi tego mówić. Znam swoje miejsce.

– No to zostawiam was, dziewczyny. Pani Greto...

– Greto – poprawiła radna.

– Greto, popracuj jeszcze nad nią. Niech nie będzie taką karierowiczką.

– Zwykle ona zarzuca to mnie.

Ryba nareszcie się uśmiechnął.

– Co tam wy! To ja jestem prawdziwym karierowiczem. Dostanę awans i oficjalnie będę kierował naszym komisariatem – dodał z dumą. – Bo nasz stary definitywnie odchodzi na emeryturę. A kiedyś może, kto wie, przejdę do kryminalnych? Nadaję się, co nie? – Zmrużył oko.

– Nadajesz, nadajesz – potwierdziła Felicja.

– No to bywajcie, dziewczyny!

Długo jeszcze siedziały, rozpamiętując minione wydarzenia nad kubkami mocnej czarnej kawy. Do późnej nocy. Rozstały się dopiero o świcie, kiedy o Gretę upomniał się mąż. Uściskały się na koniec jak dawniej. Obie myślały o tym, że coś się skończyło. Obie czuły na przemian ulgę i żal. Ale nie tylko. Również jakiś dziwny, niewytłumaczalny niepokój. A przynajmniej coś w tym rodzaju...

CZEŚĆ V

Mały Kay był zupełnie siny z mrozu, prawie czarny, ale nie spostrzegł tego wcale, gdyż Królowa Śniegu odjęła mu swym pocałunkiem wrażliwość na zimno, a jego serce stało się kawałkiem lodu.

Kryszewo, marzec

Końcówka lutego była raczej pogodna i – przynajmniej w porównaniu z wcześniejszymi tygodniami – dość ciepła: raptem kilka stopni poniżej zera i przez większość czasu świeciło słońce. Zdawało się, że przedwiośnie za pasem. Tymczasem jednak marzec rozczarował mieszkańców gminy Kryszewo, nie przynosząc wyczekiwanych pierwszych oznak wiosny, tylko kolejne ochłodzenie. Przez pierwsze dni napadało śniegu, po czym znów temperatura spadła nocą poniżej minus dziesięciu stopni. Nikt się tym jednak za bardzo nie przejął, bo wiadomo było, że nawet ta zima prędzej czy później musi się skończyć. Tym bardziej Felicja, która już pomału pakowała swoje manatki. Bardziej w przenośni niż dosłownie, czuła się jednak na wylocie. Doceniała więc uroki życia na prowincji z całym dobrodziejstwem inwentarza. Nawet pogoda jej nie przeszkadzała, przeciwnie, wszystko zdawało się piękne, nawet sypiący gęsto, lecz przecież nieskażony miejskim błotem i spalinami śnieg. Wiedziała, że potem już długo nie doświadczy tych dobrodziejstw. Matka uparła się, żeby choć przez pierwsze tygodnie zamieszkała z rodziną, chcieli się nacieszyć córką, blisko rok niemal w ich życiu nieobecną. Zgodziła się, choć niechętnie, nie miała jednak sumienia po raz kolejny sprawić rodzicom zawodu. Od czasu do czasu zastanawiała się, jak po tak długim czasie odnajdzie się w „wielkim świecie”. Czy praca w wielkiej redakcji, wieczna rywalizacja, pośpiech i nieustający wyścig szczurów będą jej jeszcze odpowiadać? Nie wiedziała tego. Jednak zaproponowano jej prowadzenie rubryki kryminalnej, więc... To jej przecież pasowało. Zawsze o tym marzyła. Czemu nie spróbować? Nigdy nie potrafiła długo usiedzieć w jednym miejscu, nosiło ją od dziecka. A atmosfera w Kryszewie stała się ostatnio zbyt ciężka. Przybita Greta, pełen wyrzutów Zygmunt, rozplotkowani mieszkańcy. I ta zbrodnia, ciężąca na nich wszystkich. Jak cień, który i ją ogarniał swym chłodem. Mroźny cień Królowej Śniegu – zaśmiała się w duchu. Szybko jednak przypomniała sobie Renatę Dudzińską z czasów, kiedy jeszcze nie miała pojęcia, kim ta sympatyczna kobieta jest naprawdę. I zrobiło jej się przykro. Nic już tutaj nie będzie takie samo. Sklep pozostawał zamknięty. Nie to, żeby brakowało punktów handlowych, było ich aż za dużo. Tyle że przywykła do tego. Młody tymczasem najwyraźniej nie otrząsnął się po aresztowaniu matki na tyle, by zająć się praktycznymi sprawami, choć wypytywany obiecywał, że wkrótce otworzy sklepik. Cóż, trudno mu się dziwić.

Felicja zakończyła pracę nad raportem o ostatnich wydarzeniach kulturalnych w gminie, wrzuciła go na portal i zamknęła komputer. Nastawiając wodę na herbatę, wyjrzała przez okno – zmierzch dawno już zapadł, prószyno lekko, lecz monotonnie, a gnane wiatrem płatki śniegu nie nastrajały optymistycznie. Nie chciało jej się wychodzić, mimo że lodówkę znów miała prawie pustą. Wytrzyma do

jutra. Chciała zadzwonić do Grety, która od kilku dni milczała, pogadać o wszystkim i o niczym, niezobowiązująco. Czas powrócić do normalności. Szczególnie przyjaciółce by się to przydało. Zanim jednak wzięła do ręki telefon, ten sam zadzwonił. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Ryby. Westchnęła.

– No, co słyhać? Dobry miałeś dzień? – zapytała neutralnie, sztucznie ożywionym tonem. Nie miała ochoty na intymne wynurzenia.

– Beretu nie urywa – usłyszała w odpowiedzi. – Szlag by to trafił. Nie rozumiem, co się, kurwa, dzieje, ale mamy kolejne zwłoki.

– Co takiego? – Zdębiała. – Ale jak to?...

– Tak to. Znów to samo. Właściciel pubu. W lesie. „Królowa śniegu” siedzi, lecz, jak widać, nie przestała działać – odparł policjant.

Nazajutrz, późny wieczór

Czy naprawdę wiedziała? Gdyby ktoś ją wtedy zapytał skąd, jak, dlaczego, nie umiałaby jednoznacznie odpowiedzieć. Jednak wiedziała, czuła, mimo że nikt nie chciał jej słuhać. Ryba powtarzał, że mógł to być wypadek, bo okoliczności były specyficzne: ofiara – Krzysztof Gruszczyński, właściciel baru oraz pizzerii – znaleziona została co najmniej po dobie, może dwóch. Przez ten czas śnieg i wiatr zatarły ślady, tak że trudno je było zidentyfikować i porównać z poprzednimi. Przy bocznej drodze, prowadzącej w głąb lasu, odnaleziono otwarty samochód Gruszczyńskiego. Jakby porzucony, pospiesznie porzucony. Mogło być tak, że pijany siadł za kierownicą, źle się poczuł, a może zwyczajnie zachciało mu się sikać. Albo rzygać. Lub chciał się po prostu przewietrzyć. Może wysiadł i dobrowolnie poszedł między drzewa za potrzebą, tam zasnął, usiadł albo się przewrócił, uderzył o jakiś konar, stracił przytomność, zasnął... i po ptakach. Nieważne, że podobno nie był pijakiem, jak twierdzi rodzina, znajomi oraz pracownicy. Każdy czasem wypije. Druga wersja mówiła coś o naśladowcy, że może ktoś załatwił w ten sposób własne porachunki, bo facet miał na pieńku z kontrahentami, a atrakcyjną historię o „królowej śniegu”, straszącej w Kryszewie, znali już chyba wszyscy. Możliwe. Jednak Felicja wiedziała swoje. Prześladowała ją wąska, blada twarz, delikatne rysy, i to spojrzenie: trochę flegmatyczne, trochę cyniczne, trochę jak gdyby nie z tej ziemi. Kiedy więc trzęsąc się z zimna, jak również z emocji, zobaczyła z daleka światło w oknie na poddaszu, zdecydowała się, że zaryzykuje. Zadzwoniła wprost do drzwi od strony podwórka, bo furtka była otwarta, zabezpieczona tylko haczykiem. Odpowiedziała jej jednak głucha cisza. Śnieg dalej posypywał, było po dwudziestej drugiej, na ulicy pustki. Nawet psy spały. Zadzwoniła ponownie, tym razem dłużej wduszając przycisk dzwonka. Nic. Pokręciła się jeszcze chwilę pod oknami. Sklep był zamknięty na głucho, ale światło w oknie na piętterku paliło się dalej. Zamierzała już wracać do siebie, gdy w bocznej uliczce – tej, na którą wychodziła brama posesji – ujrzała nadjeżdżające auto. Instynktownie ukryła się w głębokim cieniu za drzewami. Samochód jechał z góry, widziała tylko światła. Dopiero gdy zatrzymał się przed wjazdem, rozpoznała zarys furgonetki. Przypomniała sobie, że terenówkę

chwilowo zabezpieczyła policja. Z auta wysiadła postać, którą również z miejsca rozpoznała: drobna, szczupła sylwetka, miękki, koci chód, długie włosy związane w ogonek. Chłopak otworzył bramę, zawrócił do samochodu, wjechał na podwórze. Zakradła się bliżej, usłyszała trzask zamykanych drzwi wozu, jeden, następnie drugi. Zawrócił, by zamknąć bramę. Obserwowała go z bezpiecznej odległości, wciąż kryjąc się w cieniu po drugiej stronie uliczki. Coś niósł. Przysięgłaby, że jakieś ubrania, chyba białe futro, coś jeszcze: coś mniejszego, co dyndało mu na plecach. Połyskiwało w świetle ulicznych latarni. Gdy cofnął się w stronę wejścia do domu, to „coś” spadło mu prosto w śnieg. Nie zauważył tego, sprawdził jeszcze tył furgonetki, po czym otworzył drzwi wejściowe do domu i nie rozglądając się, zniknął w środku. Oczekała dłuższą chwilę z bijącym sercem. Podeszła, pchnęła furtkę. Pamiętał o bramie, lecz o furtce zapomniał, nadal była otwarta, tylko zatrzaśnięta, jednak ustąpiła, gdy nacisnęła klamkę. Wślizgnęła się na podwórko. Niemal nadepnęła na przedmiot, który upuścił. Schyliła się, wpatrując się z niedowierzaniem w... maskę. Damską maseczkę karnawałową, coś w rodzaju maski weneckiej. Biała, posrebrzana, posypana brokatem. Bardzo realistycznie wymodelowana, prześliczna, co musiała przyznać w duchu, pomimo ciarek, które poczuła na plecach. Wytłumaczyła je sobie panującym przenikliwym zimnem, w powietrzu mimo mrozu czuć było wilgoć. Schowała maskę do kieszeni kurtki. Nie wiedziała, co robić, działała jak automat. Przez szybę zajrzała do wnętrza auta. W mdłym świetle odbitej od śniegu latarni zobaczyła dwie duże i wypchane torby podróżne na siedzeniu pasażera, a także damskie kozaki – białe, obszyte kozuszką – porzucone pod siedzeniem kierowcy. Przez cały czas czuła niepokój, teraz się wzmógł. Obejrzała się na ulicę. Wiedziała, dokąd prowadzi. Uliczka w zasadzie była ślepa, pięła się na wzgórze, na którym stało kilka nowo pobudowanych domów, następnie zakręcała i kończyła się prowizorycznym rondem. Dalej był już tylko las...

Zdecydowała się. Pod osłoną furgonetki wyjęła swojego smartfona i wystukała numer aspiranta Ryby. Nie odbierał. Klnąc pod nosem, napisała SMS-a, myląc klawisze na dotykowym ekranie, który tym razem uznała za przekleństwo. Z emocji trzęsły jej się ręce, poza tym gołe palce momentalnie zdrętwiały od zimna. Kilka razy poprawiała tekst. Być może i tak nie brzmiał do końca jasno, ale nie miała zbyt wiele czasu do namysłu. Gówniarz w każdej chwili może nawiać, świadczyły o tym wypchane walizy. W końcu nacisnęła przycisk „wyślij”, nawet nie czytając tego, co przed chwilą napisała. I tak znała treść na pamięć:

Ryba, gdzie jesteś, pospiesz się, tkwię pod sklepem, zaraz wchodzę do środka, odkryłam coś niesamowitego, ale mogę potrzebować pomocy!!! To Kostek Dudziński, jestem tego pewna, właśnie wrócił, on się przebiera, rozumiesz? Ma spakowane walizki. Uwaga, wrócił od strony Osiedla Leśników, na pewno z lasu, sprawdźcie to, bo tam może być kolejna ofiara!!! Jest godz. 22.30, idę do niego! Zagadam go, a ty szybko przyjeżdżaj.

Felicja

Zanim schowała telefon, jeszcze raz zadzwoniła, od razu włączyła się jednak poczta

głosowa. Rozłączyła się, wyciszyła komórkę i zdecydowanym krokiem, choć ślizgała się po nieposypanym piaskiem zmarzniętym śniegu, podeszła do drzwi.

Nacisnęła dzwonek...

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, choć przysięgłaby, że ktoś stoi po przeciwnej stronie drzwi. Wiedziała, że to niemożliwe, jednak niemal słyszała jego oddech. Zadzwoiła jeszcze raz, następnie zastukała, i zbliżając usta do framugi, zawołała stłumionym głosem:

– Kostek, hej! Kostek, jesteś tam? Otworzysz? Mam ważną sprawę...

Odpowiedziało jej milczenie, jednak po kolejnej chwili drzwi się uchyliły. Chłopak zlustrował ją przez szparę, po czym otworzył szerzej. Miał na sobie tylko dzinsy i polar, był w samych skarpetkach. Zaskoczony, uśmiechał się trochę krzywo.

– A, to pani. Po co pani tu przyszła? – zapytał.

– Chcę cię tylko o coś zapytać. Mogę wejść na chwilę?

– Już późno. Chciałem iść spać. Ale oki, niech pani wchodzi, jak ma pani interes. Matka panią lubiła.

Odsunął się na bok, robiąc jej przejście. Gdy weszła do środka, obleciał ją strach. Nie było jednak odwrotu. Wiedziała, że gdyby nagle zrezygnowała, obudziłaby jego czujność. Teraz mogła już tylko grać na czas.

– Tam. – Wskazał otwarte drzwi naprzeciwko wejścia. – Piwko se pani ze mną strzeli?

– Strzelę – odparła poważnie.

Minęła drewniane schody prowadzące na górę i weszła do pokoju. Okazał się on niewielkim salonikiem z narożnym kominkiem, w którym nikt nie rozpałił ognia. Zrzuciła kaptur, rozpięła kurtkę. Nie zdejmowała jej, bo w pomieszczeniu było zimno. Usiadła w fotelu, ustawionym przy niskim stoliku z ceramicznym blatem, na którym stała tylko brudna kamionkowa popielniczka. Chłopak poszedł najwyraźniej do kuchni, bo z głębi mieszkania usłyszała odgłosy dzwoniącego szkła. W kącie, pod oknem dojrzała walizę na kółkach oraz kolejną dużą torbę sportową w kratę, w widoczny sposób wypchaną do granic możliwości. W ogóle rozglądając się, stwierdziła, że pokój sprawia wrażenie opuszczonego. W wazonach nie było żadnych kwiatów, na parapecie stała tylko na wpół uschnięta paprotka. Żadnych bibelotów, zdjęć, pamiątek, na ścianie dwa wyraźne ślady po obrazach, nawet półki na książki były prawie puste, znajdowało się tam jedynie kilka porzuconych egzemplarzy, bezładnie wspartych o regał, ponieważ najwyraźniej poprzewracały się same, gdy wyjęto resztę. Felicja nigdy tu wcześniej nie gościła, jednak zupełnie inaczej wyobrażała sobie mieszkanie Renaty Dudzińskiej. Tymczasem wrócił chłopak, niosąc butelki piwa i dwie wysokie, niezbyt starannie umyte szklanki. Ustawił wszystko na stoliku, nalał.

– To co za interes pani ma do mnie? – zapytał na swój sposób, flegmatycznie, z lekko ironicznym uśmiechem. – Chce pani coś ze sklepu? Może szlugi?

– A kiedy zamierzasz go otworzyć?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może kiedyś. Na razie nie mam do tego głowy.

Wyciągnął z kieszeni pomietą paczkę papierosów, poczęstował ją. Gdy wyjęła

jednego, pstryknął zapalniczką, podając jej ogień. Co jak co, maniery szczył ma – skonstatowała w duchu. Sam też zapalił.

– Więc? – nie odpuszczał.

– Kostek, dokąd jeździłeś po nocach? – wypaliła.

Zmrużył oczy.

– Widziała mnie pani?

Pokiwała głową.

– Tak się składa – odparła krótko.

Ponownie wzruszył ramionami, zanim odpowiedział niespiesznie:

– Tu i tam. Jeździłem sobie, a co, nie wolno? Jestem pełnoletni.

– Jasne. – Uśmiechnęła się. – Nie ma zakazu. Tylko byłam ciekawa.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Wyszczrzył zęby w czymś w rodzaju diabolicznego uśmiechu. Pociągnął ze swej szklanki długi łyk piwa. Zrobiła to samo. Było cierpkie i zbyt ciepłe.

– Ohydne, nie? Błeee... – Odstawił szklankę na stolik tak gwałtownie, że część piwa się rozlała. Nie zwrócił na to uwagi. – A może woli pani coś mocniejszego?

– Nie, dzięki.

– Za późna pora?

– Wybierasz się gdzieś? – Wskazała ruchem głowy walizkę.

Dopiero teraz stracił na pewności siebie. Natychmiast spoważniał, cyniczny uśmieszek znikł momentalnie z jego twarzy. Obejrzał się za siebie w popłochu.

– Że niby co?

– Pytałam, czy się gdzieś wybierasz z tymi walizkami? W jakąś podróż swego życia?

Milcząc, wpatrywał się jej prosto w oczy.

– Tylko zbieram rzeczy matki. Może czegoś potrzebować – odparł w końcu.

Dziennikarka parsknęła śmiechem.

– Aż tylu rzeczy? Zapakowałeś też to białe futro?

– Co?

– Białe płaszcz podbity futrem, z futrzanym kapturem?

– A co? – Nie spuszczał z niej wzroku. – Chce pani kupić?

– Lubisz się przebierać w damskie łaszki, Kostek? – brnęła, nerwowo ściskając w dłoni schowaną w kieszeni komórkę. W każdej chwili mogła zacząć wibrować. Byle tylko Ryba odebrał wiadomość. Byle odebrał... Telefon policjanta miała wbity w opcję szybkiego wybierania numerów. Liczyła, że jakby co, zdąży.

Chłopak wyglądał, jakby go zamurowało. W jego oczach błysnęły wreszcie jakieś emocje: może była to panika połączona z nienawiścią.

– Jeśli chce pani wiedzieć, czy jestem jakimś gejem, to...

– To mnie nie interesuje. Nie o to pytałam.

Milczenie. Długie, przeciągające się. Patrzyli sobie w oczy, czekając, aż to drugie ucieknie wzrokiem.

– Pani wszystko wie, prawda? – spytał w końcu retorycznie.

Odważemniła szczerze.

– Prawie wszystko – odparła spokojnie. – Reszty mam nadzieję dowiedzieć się od ciebie.

– I co pani zamierza potem z tą wiedzą zrobić?

– To już będzie zależało od tego, czy powiesz prawdę.

Rozluźnił się, nawet uśmiechnął.

– Powiem – zadeklarował. – Pani pyta. Proszę bardzo.

Wpatrywała się w jego ładną, prawie kobiecą twarz, podkreśloną zaczesanymi do góry bujnymi włosami o barwie ciemny blond, spiętymi z tyłu w dość długą kitkę. Delikatne, regularne rysy, wąskie nozdrza, pełne policzki, wyraziste łuki ciemnych brwi, jasne oczy o nieodgadnionym wyrazie. Wyglądał tak młodo i – zdawałoby się – niewinnie. Było jej go żal. Na początek zadała tylko jedno proste pytanie:

– Dlaczego?

– Dlaczego te męty musiały zdechnąć? – Uśmiechnął się szerzej. – Pani nie wie? Oni i tak by zdechli. Zachlali by się na śmierć i zamazali w pierwszym lepszym rowie, nawet bez mojej pomocy. Tylko że to by nie było sprawiedliwe. Za lekkie zejście. Chciałem, żeby się bali, żeby wiedzieli, że nadchodzi koniec. Nie zawsze mi się to udawało, bo niektórzy już byli pijani jak świnie, nie mieli pojęcia, co się z nimi dzieje. Ale chyba każdy z nich, przynajmniej w jakimś momencie, poczuł jednak, że coś się święci. Poza tym może nie zdążyli kogoś innego skrzywdzić. Bo te ścierwa krzywdzą. Swoje rodziny, zwierzęta, dzieci. Tak jak kiedyś skrzywdzili moją matkę.

– Do tego jeszcze wrócimy. Powiedz, nie czułeś żadnej litości? Nie przyszło ci do głowy, że to jednak ludzie? Może zagubieni, może nieszczęśliwi? Uważasz się za Boga? Bo chyba nie za Królową Śniegu? – zakpiła, ale chłopak chyba się nawet nie zorientował.

– A dlaczego nie? Ona jest spoko.

– Andersen utożsamiał jej postać z szatanem.

– Serio?

– Serio.

– Luzik! No dobra. Ja tam wierzę w Boga. – Wzruszył ramionami. – On by się o to na mnie nie obraził. Nie wchodziłem mu w kompetencje, to nie ja z nich zrobiłem alkoholików. Tylko pomagałem. Mówię pani, że i tak by zdechli z przepicia, prędzej czy później, bo ich życie nie miało żadnego sensu. Ja zrobiłem im z umierania teatr. Nawet nie cierpieli, to na serio lekka śmierć!

Pokiwała głową.

– Wracając do twojej matki. Dlaczego pozwoliłeś, żeby ją aresztowali zamiast ciebie?

Kostek Dudziński poczerwieniał na twarzy. Widziała, czuła jego wzburzenie.

– To nie fair! Nic pani nie wie! Matka sama chciała, żeby tak się stało! Kazała mi zostać i pilnować dla niej interesu! To wy jesteście chorzy, zamknęliście ją jak jakiegoś bandytę, zamiast zamykać takich meneli... Jeszcze z nich robi pani ofiary. Zagubieni, nieszczęśliwi? Ale beka! Wie pani, jak ja się teraz czuję? Ale kogo to obchodzi, nie?! Niech mnie pani nie oskarża, nie ma pani nawet pojęcia, jak my się z matką kochamy, zawsze mieliśmy tylko siebie na świecie! – wykrzyknął, jego głos na koniec się załamał. – Przez takie szmaty. Zresztą... – dodał i nagle umilkł.

– Zresztą?

– Nie, już nic.

– Matka cię prosiła, żebyś dopilnował interesu, ale jakoś tego nie robisz. Przeciwnie, zamierzałeś dać nogę. Ale kiedy nastąpiła pierwsza fala zabójstw, wtedy gdy ludzie zaczęli mówić o klątwie, ty byłeś w pieluchach. Ile miałeś, rok, dwa lata? Nie mogłeś tego zrobić. Więc?

Zachichotał.

– Pani nie gra idiotki! Nie jest pani idiotką, od początku wiedziałem, że nam pani zagraża. Może nawet specjalnie się pani wprowadziła do tej wiochy? Kim pani jest, jakimś szpiegiem? Stale przychodziła pani do sklepu i wypytywała o tę jebaną klątwę. I potem o nasze życie, nasze sprawy. Robi pani z siebie taką git laskę, glany, dzinsy, kaptur, choć jest pani stara jak matka. Od razu panią wyczułem. Pani dobrze wie, że wtedy gdy byłem mały, to matka ich załatwiła. Należało im się. To nie byli ludzie, tylko pierdolone potwory. Przez nich to wszystko. I wcale nie zamierzałem dać nogi. Chciałem zejść wam z oczu, a sklep bym przeniósł gdzie indziej. Miałem właśnie pakować rzeczy do bagażnika i spierdalać stąd, gdzie mnie oczy poniosą, kiedy pani się tu zjawiała. Rano już by mnie tutaj nie było. Nienawidzę tego miejsca!

– I gdzie indziej byś zabijał?

– Może. I nie tylko pijaków. *Ordnung muß sein!* – Zaśmiał się. – Ktoś musi oczyszczać świat ze śmieci. Mogę się pani pochwalić, że robiłem to już wcześniej, tylko nikt się nie kapnął. Pewnie dlatego, że takiej zimy już dawno nie było, pogoda mnie ograniczała. W tym roku mi wreszcie podpasowała! No to pozamiatałem...

Felicja przypomniała sobie młodą bibliotekarkę. Mówiła bardzo podobne rzeczy, choć raczej nie byłaby zdolna wcielić ich w czyn. Gorzej, jeśli te faszystowskie hasła – znów modne, i to najwyraźniej na całym świecie, jednak historia ludzi niczego nie nauczyła – padną na chory umysł. Wtedy się rodzą koszmary.

– Próbuję cię zrozumieć. Opowiedz mi wszystko od początku – poprosiła.

KOSTEK DUDZIŃSKI

Od początku to ja nie wiem. O niczym nie miałem pojęcia. Jak byłem mały, wydawało mi się, że mam szczęśliwe dzieciństwo, było nam z matką dobrze. Nie znałem ojca, ale nie był mi do niczego potrzebny. Matce też chyba nie. Nie rozumiałem wtedy, dlaczego nie mamy innej rodziny. Jej też nie potrzebowałem, matka była dla mnie najlepsza na świecie. Wszystko potrafiła. Czasem bywała smutna, ale wtedy mnie przytulała i znów było dobrze. O tym, przez co przeszła, wtedy jeszcze nie rozmawialiśmy, byłem smarkiem. Część mi opowiedziała, kiedy skończyłem jakieś szesnaście lat. O domu dziecka i o tym, jak do niego trafiła. To było po tym, jak mnie wysłali do szpitala na leczenie, bo pobiłem belfra, który się dobierał do chłopaków na WF-ie. Ma pani pojęcie? Nie jego zamknęli, tylko mnie! Jak jakiegoś czubka. Z tego powodu miałem tyły w nauce. Bo uczyłem się dobrze. Gnojki. Ale wtedy matka jeszcze mi wszystkiego nie powiedziała. Do tego, że dokonała pomsty za nasze krzywdy, przyznała się dopiero, jak ukończyłem osiemnastkę. Mówiła, że po tym jej ulżyło, wreszcie mogła dalej normalnie żyć. Już wtedy przysiągłem sobie, że ja zrobię więcej. Przede wszystkim dla niej, ale nie tylko. Również żeby oczyścić świat z takich parszywych mętów. Te menele przychodziły do naszego sklepu. Musieliśmy na nich patrzeć, słuchać tego bełkotu. Choć nigdy nie sprzedawaliśmy wódki, tylko co najwyżej piwo. Niczym nie gardzili, bo piwo tańsze. I jeszcze ten niby pub naprzeciwko. Pub, kurwa. Zwyczajna speluna! Może teraz wreszcie zamkną interes. Niektórzy u nas narabali się piwiska, a potem leźli do tej knajpy. Nigdy nie byli trzeźwi. Tłukli swoje żony i dzieciaki.

Hołota...

Czemu *Królowa Śniegu*? Matka czytała mi ją od małego, stale. Dużo o niej rozmawialiśmy. Znałem ją na pamięć. To była jedyna baśń, której mogłem słuchać, bo inne są głupie. Spodobała mi się Królowa Śniegu, jej postać. Dopiero później dowiedziałem się, dlaczego matka tak się na nią zapała. Przez zboka, który ją wykorzystywał w domu dziecka. Wtedy postanowiła, że będzie jak ta Królowa. I dla mnie nią była. Jest. Zawsze mówiła, że ja też mam być taki. Nie słaby i bezwolny, jak ten cały Kay. Nie tępy jak Gerda. Tylko Królowa jest tam silna, bo nigdy się nie mazgai, to ona rządzi. Później, kiedy już wiedziałem, o co chodzi, znalazłem książkę matki, którą zabrała z bidula. Starość, ale ma ładne obrazki. Matka z niej wycinała te kawałki, które zostawiała przy tych pijakach. Taki znak. Mnie było szkoda, wolałem się przebierać. Fajnie się czułem w tej roli. Była Moc! Adrenalina, rozumie pani. Niczego nie żałuję. Tylko dla pani wyciąłem kawałek. Zobaczyłem panią wtedy pod naszym sklepem i pojechałem za panią. To miało być jedynie ostrzeżenie, że za dużo pani węszy. Lubiłem panią, serio. Nie chciałem nic pani zrobić, dla mnie była pani w porzo. Ale moja kumpela z biblioteki powiedziała mi, że szpera pani

w przeszłości. Myślałem, że się pani wystraszy i przestanie. Ale pomyliłem się, nie?

Wszystko przez ten durny długopis. Lubiliśmy go, śmieliśmy się, że to hasło, które na nim jest – *Ordnung muß sein* – to nasza dewiza. Został po poprzednich właścicielach naszego sklepu, matka uznała to za znak. Ale nie przyniósł nam szczęścia, bo wyleciał mi wtedy w parku i po nim do nas doszli. Gdybym go wtedy nie zgubił, nigdy byście na nas nie wpadli! Nawet nie pamiętam, po cholere go wziąłem. Wtedy zastępowałem matkę za ładą, chyba coś zapisywałem i bezwiednie wsadziłem do kieszeni. Musiał mi wypaść podczas szarpaniny z tym staruchem.

Czy matka wiedziała, co robię? Ja jej się z tego nie zwierzałem. Ale na pewno się w końcu kapnęła. Nie jest kretynką. To chyba jasne, że nikt inny nie mógł być Królową Śniegu – tylko albo ona, albo ja, no nie?

Jak to robiłem? Po prostu. Miałem dobry punkt obserwacyjny, typowałem pijaków, śledziłem ich. Przebierałem się w aucie, rzeczy miałem częściowo po matce, a niektóre sam kupiłem przez Internet. Zawsze się nabierali. Pijak przecież nie myśli normalnie. Dostawali spiru i sami chlali, nikt ich nie musiał namawiać. Ja ich praktycznie nie zabijałem! Tylko zostawiałem tam, gdzie byli, resztę załatwiał mróz, czyli... he, he, he, sama Królowa Śniegu. W końcu każdy z nich by w ten sposób skończył. Tylko pomogłem. Robiłem tak samo jak matka, tylko ona się nie musiała przebierać, była seksy, lecieli na nią. Za to ja miałem dodatkowy dreszczyk. Emocje. Power. Taki hardcore, kuma pani? Gdyby mnie nawet ktoś dupnął, to co by mi mogli udowodnić? Nikomu krzywdy nie zrobiłem, sami chcieli. Dorośli byli, no nie? Nie musiałem ich targać na plecach. Każdy sam za siebie odpowiada. Biłem ich czy co? No, może czasem trzeba było sobie trochę ułatwić robotę. Na przykład temu staremu zbokowi odrobinę przyjechać, bo chyba mnie poznał, zaczął się wydzierać i szarpać. Sam mnie do tego zmusił. No i przez tego kmiota matkę zabrali. Jeszcze raz pytam: pani wie, jak ja się czuję? Wie pani, czym jest taka samotność, kiedy człowiekowi się wydaje, że tonie? Zawsze byliśmy we dwoje. Nie daruję skurwielowi. Jak to się mówi? Co ma wisieć, nie utonie?

Zaraz, zaraz! Co pani tam, kurwa, ma w tej kieszeni?!...

Po chwili

Telefon wibrował już dwa razy, nie odważyła się jednak po niego sięgnąć. W końcu jednak zauważył, że trzyma dłoń w kieszeni, a może dostrzegł napięcie w wyrazie jej twarzy, w każdym razie nagle stał się czujny.

– Nagrywa mnie pani?! – Podniósł się z krzesła, wyglądał na wzburzonego.

– Nagrywam? Skąd! – Uśmiechnęła się do niego niewinnie, myśląc w duchu, że żałuje, ale na to nie wpadła. A raczej wpadła, tyle że nie miała czasu na włączenie dyktafonu. – Dostałam wiadomość, ale nie chciałam ci przerywać. Mogę zerknąć?

Pospiesznie wyciągnęła komórkę z kieszeni, licząc na to, że w razie czego zdąży wybrać wbity w szybkich kontaktach numer Ryby. Na dotykowym ekranie nie

wymagało to dłuższych akrobacji. Dudziński jednak natychmiast był przy niej. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, jednym szybkim ruchem wyrwał jej telefon z dłoni i wyłączył, po czym odłożył aparat na stół, usuwając go z zasięgu jej rąk. Nie mogła się podnieść, bo stanął nad nią, szczerząc zęby.

– Myślała pani, że jest taka sprytna? – zagadnął niemal wesoło.

– Niby dlaczego?

Roześmiał się.

– Ale pani pogrywa! Myśli pani, że nie wiem, po co to wszystko? Podejrzewała pani, że jestem aż takim kretynem? Że wszystko pani wyśpiewam, a potem radośnie dam się doprowadzić na policję, do tego pani gacha, i zakuć w kajdanki? A może gach czeka pod drzwiami, co? Zobaczmy!

Szarpnięciem poderwał ją z krzesła, ona jednak odepchnęła go z całej siły, rzucając się w stronę drzwi. Był szybszy. Dopadł do niej, zanim zdążyła dobiec do przedpokoju. Zaczęła krzyczeć. Zatkanął jej usta ramieniem i siłą zaprowadził z powrotem na miejsce. Pchnął na krzesło.

– Nie wrzeszcz, nikogo tam nie ma. – Ponownie się uśmiechnął.

Patrzyła na niego, milcząc. W głowie miała pustkę, choć gorączkowo starała się myśleć. Najwyraźniej Ryba nie odebrał jej SMS-a. Nikt nie wiedział, że tu jest.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – zapytała, próbując przynajmniej zachować spokój.

– Napijesz się ze mną? Zrobię ci kilka fikołków, mogą być nawet z colą, jeśli wolisz. To znaczy, ty się napijesz, a ja będę patrzył. A potem zawiozę cię do lasu. I tam zostawię. Tak samo jak innych. Troszkę nam znowu przymroziło...

– A jeśli nie?

Schylił się, nie odwracając od niej wzroku, sięgnął ręką pod stół. Wyjął butelkę spirytusu. Wyglądała na nienapoczętą. Felicja poruszyła się niespokojnie. Zerknęła w stronę drzwi. Była gotowa bronić się do ostatniej kropli krwi, nie podda się tak łatwo.

– Jeśli nie – podchwycił – to będę musiał załatwić to inaczej. Bardziej siłowo. Ale wtedy może zabołec – dodał złowieszczo.

Ponownie zerwała się, tym razem przewracając krzesło. Od drzwi wejściowych dzieliło ją raptem kilka metrów, zdąży, gówniarz to nie osiłek. Dam radę! – myślała rozpaczliwie. Złapał ją jednak za poję kurtki, rechocząc.

– Ratunku! – krzyknęła, ile sił w płucach.

W tym samym momencie zdarzyło się wszystko naraz: Dudziński uderzył ją w twarz, ona rzuciła mu się z pazurami do oczu, wciąż wrzeszcząc ochryple, od wejścia rozległ się łomot, drzwi odskoczyły z nienacką, do środka z impetem wpadło kilku ludzi. Również krzyczeli. Kostek Dudziński – też z wrzaskiem – odskoczył od niej, rzucając się do okna. Dwie postaci powaliły go równocześnie na ziemię, trzecia chwyciła Felicję za ramię i wyprowadziła z mieszkania...

Mroźne powietrze owiało jej policzki, pomogło wrócić do przytomności. Ktoś trzymał ją mocno w objęciach, przemawiając uspokajająco.

– Felicja? Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?
Poznała głos Zygmunta Ryby. Niewiele myśląc, wtuliła się w jego ortalionową kurtkę, mamrocząc:
– Nie spieszyłeś się, cholera. Nic mi nie jest. Udało się.
– Udało. Złapałeś mordercę! – odparł.
Za jego plecami ujrzała jeszcze jedną postać.
– Greta?! Co ty tu robisz? – zapytała oszołomiona.
Radna, w białym sztucznym kożuszk, uśmiechnęła się, choć cała dygotała.
– Dzięki Grecie zdążyliśmy. Wszystko ci wyjaśnię, ale nie teraz. Działo się! – powiedział aspirant.
– Musicie szybko jechać pod Osiedle Leśników! On tam...
– Spoko! Załatwione. Już tam byliśmy. Znaleźliśmy człowieka.
– Kto tym razem?
Wtrąciła się radna:
– Nigdy byś nie zgadła. To Nowak!
– Jak to?... Ten sam Nowak? I co z nim?...
– Przeżyje, choć ma ranę na głowie – odpowiedział Ryba. – Ma facet fart, leżał nieprzytomny przy samej drodze. Do trzech razy sztuka. Temu to się dopiero udało! Będzie żył długo. Posterunkowy! – krzyknął. – Odwieź dziewczyny na komisariat. Dacie radę? Za jakieś pół godziny do was dołączę...

FELICJA

I wreszcie koniec tej historii. Chyba już definitywny. Mam satysfakcję ze swojego skromnego w niej udziału – szczególnie w finale – choć od policji (i od Grety) zebrałam za to niezłe cięgi. Wiem, wiem: to nie było z mojej strony zbyt mądre. Powinnam zawiadomić kogo trzeba i odpuścić, a nie włączyć samopas do klatki lwa. Tyle że ten dzieciak wcale nie kojarzył mi się z lwem. Nadal mi się nie kojarzy, choć mogłam skończyć w lesie w charakterze lodowego sopła. Tymczasem jednak mam się dobrze, a i Nowak dochodzi do siebie, po raz trzeci ocalony. Chłopaki zdążyli; nie będę ukrywać, że moja w tym zasługa. Gdybym się nie wtrąciła w „nie swoje sprawy”, zapewne nie miałyby szans. Z opowieści Grety i Ryby wywnioskowałam, że nikt o nim nie wiedział, mimo że po napaści na właściciela baru policja była w pogotowiu. Dokładnie „w akcji”. Patrolowali mianowicie teren, to znaczy okoliczne bezdroża, a dwóch funkcjonariuszy obserwowało sklep i mieszkanie Dudzińskich nad sklepem. Ponieważ przez cały czas paliło się światło i żaden samochód nie wyjeżdżał z posesji, wywnioskowali, że Kostek tam siedzi. Nie skumali chyba, że chłopaczek jest cwany. Furgonetkę z przebraniem przezornie zaparkował wcześniej w górze ulicy, wrócił do domu, pozapalał światła i wymknął się tyłem, gdy tylko zobaczył swoją upatrzoną niedoszłą ofiarę, czyli Nowaka wychodzącego z pubu, który – pomimo śmierci szefa – wciąż działa i zapewne będzie działał, bo są spadkobiercy. Nowaka musiał obserwować, zresztą zazwyczaj tak robił. Młody załatwił więc swoje i wrócił przez podwórze, czego obserwatorzy od frontu również nie mogli dostrzec. Pechowo dla niego się złożyło, że napatoczył się na wścibską i szaloną dziennikarkę, która trochę lepiej знаła warunki terenowe niż chłopaki z Gdańska. W tym czasie, gdy wysyłałam swojego SMS-a, Ryba był z patrolem oddziału prewencji w terenie, prywatną komórkę miał wyłączoną, tak więc moją wiadomość przeoczył. To był mój błąd, bo powinnam wysłać wiadomość na jego telefon służbowy. No ale tego nie przewidziałam, w końcu nie zostałam wtajemniczona w plany operacyjne. Cholerny Zygmus! Mógł mi powiedzieć o akcji, przecież nikomu bym nie zdradziła. I nie narażałabym się bez sensu. I tak by gnojka złapali podczas ucieczki, choć może nie bezpośrednio na gorącym uczynku. Trudno, tak się stało, jak się stało. W sumie ułatwiłam im zadanie, mają świadka, i to bez policyjnej prowokacji. Nie wiem natomiast, co by się stało, gdyby nie Greta i jej babska intuicja. Czy poradziłabym sobie z gówniarzem? Być może, nie jestem całkiem bezbronna, w swoim czasie trenowałam aikido. Trochę pamiętam. Nie takim napastnikom dawałam radę, kiedy byłam o dychę młodsza. Tym razem nie musiałam. Greta wydzwaniała do mnie, ponieważ miała doła. Pazika nie było w domu, a ona wiedziała, że siedzę zwykle do bladego świtu. I zawsze odbieram telefony, taki dziennikarski nawyk. Gdy uparcie ignorowałam połączenia, a potem

nagle wyłączył się mój telefon, Greta się zaniepokoiła. Słuchy o akcji policyjnej do niej dotarły, skojarzyła fakty, choć prawdy nawet nie przeczuwała. Zadziałał instynkt. Zadzwoiła od razu do Ryby, najpierw na prywatną komórkę, a potem na numer służbowy. Dopiero wtedy aspirant odczytał wiadomość ode mnie i postawił wszystkich na nogi. Dzięki temu Greta być może uratowała mi dupę. A ja uratowałam ją Nowakowi, bo dwóch chłopaków z prewencji od razu pojechało we wskazane przeze mnie miejsce i nawet oni z miejsca rozpoznali chudego starca ze strzechą siwych włosów, leżącego na poboczu leśnej drogi, stanowiącej przedłużenie ulicy Leśnej. Od czasów pierwszej napaści na Nowaka kojarzy go już chyba cała trójmiejska policja.

Co będzie dalej? Można by podejrzewać, że dwa procesy. Jeden Renaty Dudzińskiej, bo „pierwszą turę” ona osobiście uśmierciła – lub przynajmniej się do tego przyczyniła, gdyż jej czyn może być różnie interpretowany – w akcie odwetu. Przyznała się do tego, a do przedawnienia jeszcze daleko. Jednak drugi proces – młodego Dudzińskiego – stoi pod znakiem zapytania. Chłopak został skierowany na obserwację psychiatryczną. Był leczony już wcześniej, jako nastolatek, podejrzewano u niego wówczas schizofrenię. Ale równie dobrze może okazać się zwykłym socjopatą: inteligentnym i przebiegłym, lecz pozbawionym uczuć wyższych. Cóż, diagnozę niech postawią specjaliści. Od niej będzie uzależniony jego dalszy los.

Pytanie, czy zabijali „pomiędzy”. Trudno powiedzieć, może coś wyjdzie w dalszym śledztwie. W każdym razie Kostek twierdzi, że bezpośrednim bodźcem do działania była dla niego awantura w sklepie – z udziałem jednego pijaka – a potem już poszedł za ciosem. Szczególnie że aura sprzyjała...

I tak mi go żal. Żałuję obojga, choć nie usprawiedliwiam, a tym bardziej nie rozgrzeszam. Do bani mieli życie. Sprawiedliwości nie ma na tym świecie, a zło i dobro można rozpatrywać w kategoriach absolutu wyłącznie w baśniach. W życiu nie istnieje czerń i biel, tylko różne mieszanki odcieni. Nie mam pojęcia, dlaczego Kostek Dudziński postanowił zabijać ludzi, w dodatku przypadkowych, pod pozorem oczyszczenia świata ze „szkodników”, czyli (uogólniając) z alkoholików. Jego matce przyświecał logiczny w jej rozumieniu cel: robiła to w imię zemsty na konkretnych ludziach, odpowiedzialnych za śmierć jej rodziców. Odpowiedzialnych w szerokim sensie, bo przecież nie mogła wiedzieć, kto ich naprawdę skrzywdził. Usunęła więc z tego świata wszystkie osoby uczestniczące w zdarzeniu z roku 1970, również te, które były obecne, lecz nie pomogły, nie zaprotestowały, albo które brały udział w zatuszowaniu przestępstwa, przyczyniając się do ruiny także jej własnego dzieciństwa i młodości. Jednak syn? Twierdzi, że miał misję. A może po prostu – jak wielu seryjnych zabójców – pożył władzy nad ludźmi? Może naprawdę czuł się Bogiem albo Szatanem? Królową Śniegu?... Nigdy tak naprawdę się nie dowiemy, co dzieje się w umyśle drugiego człowieka. Moja refleksja jest smutna. Istnieje (niestety) pojęcie społecznego dziedziczenia biedy, nędzy czy patologii. Ale „dziedziczymy” również zło, szaleństwo i ból. Nienawiść. Pogardę. Nie w sensie biologicznym, nie w genach – a przynajmniej niekoniecznie. To spadek psychiczny. Dziedzictwo, z którym, tak jak w przypadku biedy, nie poradziła sobie cywilizacja, a nauka bywa bezradna. Kostek Dudziński był od dzieciństwa skazany na zbrodnię,

ponieważ wychował się w nienawiści, zatruli go nią najbliższa osoba. Ponieważ dla Renaty Dudzińskiej nienawiść stała się karmą niezbędną jej do przetrwania. W tym sensie nie zawinili. Oni również byli ofiarami. I dlatego mi ich tak żal. I nic tego nie zmienię...

Z tego samego powodu nie uwierzyłam w domniemaną winę ojca Grety. Mógł narobić głupot, ale nie skrzywdziłby nikogo z premedytacją. Dowodem na to jest sama Greta. Ona odziedziczyła po swoich rodzicach dobro. Nie ma w niej nic mrocznego. Kompletnie nic, i ludzie ją za to kochają. Z tego też powodu napiszę swój reportaż. Dla pamięci, nie dla siebie. Zmieniłam się. Ano właśnie, na koniec pozostał mi jeszcze osobisty dylemat. Greta namawia mnie, bym z nimi została. Ryba nie namawia, nie śmie, ale obrzuca mnie swoim ciężkim spojrzeniem przy każdym naszym spotkaniu. Nie ukrywam, że nie reaguję na nie obojętnie. Zresztą... dobrze mi tu. Dobrze mi z tymi ludźmi. Jednak to poważna decyzja: wracać do wielkiego miasta, gdzie mogłabym rozwijać dziennikarską karierę i żyć pełnią życia, czy pozostać tutaj, gdzie mam prawdziwych przyjaciół oraz poczucie realnego sensu w tym, co robię? Gdzie pachnie żywicą, śniegi zasypują lasy aż po konary drzew, gdzie ludzie rozpoznają się na ulicy, bo jeszcze mają twarze, nie nikną w anonimowym tłumie?

Co ostatecznie wybiorę?

Nie wiem.

Diabeł zaś uważał, że to było ogromnie zabawne.

EPILOG

Kwiecień, + 11°C. Godz. 23.07

Panujące dookoła ciemności, spotęgowane dodatkowo przez las, rozpraszało wyłącznie blade światło księżyca, przefiltrowane przez gałęzie drzew – już nie do końca łyse, lecz obrastające zalążkami młodych liści, nie licząc oczywiście tych iglastych, pnących się optymistycznie w górę jaśniejszymi odrostami. Panował spokój, umilkły nawet podmuchy wiosennego wiatru, śnieg dawno stopniał, jedynie w najgłębszych zakamarkach, pod starymi drzewami, bieleły gdzieś tam ostatnie, wodniste, żałośnie poszarzałe placki, obsypane zgniłymi liśćmi i rudym igliwiem. Gwiazd nie było widać, niebo było mgliste, jedynie księżycowi udawało się przebić przez tę mleczną papkę. Pachniało żywicą, mchem i mokrą ziemią. Jednak wracający z pubu mężczyzna wcale tego nie czuł. Był pijany. Nie, nie to, żeby wypił zbyt wiele... może ćwiartkę. No, możliwe, że ciut więcej. Tak dla kurażu. Do chałupy już niedaleko, wystarczy przekroczyć szosę, potem kolejny kawałek na przełaj przez ten las, do wioski, gdzie już czeka zgrzewka piwka – albo i dwie – poprawi sobie humor, noc jeszcze długa. Gdy zatoczył się spomiędzy drzew na pobocze, rozejrzał się raz i drugi w popłochu. Niczego nie zauważył, żadnego mającego na drodze kształtu, ani samochodu, ani człowieka, ani upióra. Co najwyżej sowa zahukała gdzieś w oddali. Uspokoił się. Był sam. Wreszcie dotarł do znajomego zakrętu szosy, odludnej, wąskiej, typowej bocznej drogi; rzadko ktoś się tutaj zapuszczał o tej porze. Po przeciwnej stronie rozpoznawał już wydeptaną ścieżkę przez las, prowadzącą prosto do domu. Panująca tam ciemność trochę go przerażała, wolał jednak to, niż iść poboczem dookoła. Zanucił pod nosem fałszywie, by dodać sobie odwagi...

Kierowca ciężarówki jechał szybko, może zbyt szybko, nie spodziewał się jednak nikogo na tej drodze, szczególnie w nocy. Nawet zwierzęta rzadko tędy przebiegały. A on spieszył do ciepłego domu, światła miasta, żony i śpiących już pewnie dzieciaków – wracał z długiej trasy. To z tego powodu wybrał tę boczną szosę, bo była znacznie krótsza. Dlatego nawet nie zdążył się zdziwić, gdy wyjechał z impetem zza zakrętu i tuż przed maską swego wozu ujrzał zataczającą się na drodze postać starego, chudego mężczyzny z siwą czupryną. Dostrzegł go wyraźnie w świetle reflektorów, jego przerażona twarz wryła mu się w pamięć, nigdy już jej nie zapomni. Usiłował go wyminąć, rozpaczliwie modląc się w duchu – a może i na głos – zanim w niego uderzył. Mężczyzna odbił się od maski, po czym padł bez ruchu na rozmokłym asfalcie, bezwładny i poskręcany jak szmaciana lalka. Dopiero wtedy kierowcy udało się zahamować.

Przez dłuższą chwilę siedział za kierownicą, nie mając odwagi podejść do

nieruchomego ciała. W końcu to jednak zrobił. Ujrzał szkliste oczy wpatrzone w ciemne niebo. I ciemniejącą wokół plamę. Płacząc, drżącymi dłońmi wyjął z kieszeni telefon komórkowy, aby wezwać pomoc...

Nowak, zanim jego głowa roztrzaskała się na asfalcie, w ostatnich chwilach swego życia ujrzał oślepiające światło. Na jego krańcu, na granicy wiecznego mroku, majaczyła biała postać, którą już dobrze znał. Czuł od niej przejmujące zimno, jednak zdało mu się ono niemal przyjazne w porównaniu z ogniem trawiącym go od środka. Nie wiedział, co nim zawładnęło: strach czy ulga wynikająca z pogodzenia się z losem. Nie zdążył się nad tym zastanowić. Odpłynął. *Królowa...* – wyszeptał jeszcze w myślach, bo wargi już odmówiły mu posłuszeństwa.

KONIEC BAŚNI

OD AUTORKI

Czy to baśń, czy nie baśń...

Królową Śniegu chciałam napisać od dawna. Pomysł na tę historię ścigał mnie w szczególności od chwili, gdy zamieszkałam poza miastem. Bo tu, gdzie przyroda wciąż walczy z człowiekiem o prymat, żyje się inaczej, świat rządzi się własnymi prawami i żaden szczelny klosz nie uchroni nas przed kapryсами żywiołu – zwłaszcza gdy dobrowolnie się spod niego wymykamy. Natura to piękna, lecz kapryśna bogini. Bywa też mściwa. Pomyślałam sobie, że ponieważ jesteśmy jej częścią, mogłabym pokusić się o coś w rodzaju personifikacji tych cech matki Natury. I do razu skojarzyłam tę myśl ze słynną baśnią Andersena. W końcu jego *Królowa Śniegu* to nic innego, jak potęga sił surowej północnej przyrody, mrozu, śniegu i lodu, w połączeniu z ludzką naturą – naszymi słabościami, przywarami, emocjami. Wadami i zaletami. Mieszkam na północy naszego kraju, gdzie zimy bywają trudne. I tak pomału rodziła się moja własna *Królowa Śniegu*. Przez ładnych kilka lat obserwowałam, rozmawiałam z ludźmi – z „autochtonami” oraz „uciekierami z wielkiego miasta” (do których sama się zaliczam) – słuchałam ich niesamowicie ciekawych opowieści, oglądałam stare rodzinne zdjęcia. Czytałam artykuły z dawniejszej i dzisiejszej prasy, śledziłam media tradycyjne oraz internetowe. Dokopywałam się – w sensie niemal dosłownym, bo z uwagi na historyczne realia regionu materiały te symbolicznie zapadły się pod ziemię – do najróżniejszych lokalnych legend i ludowych podań. Aż w końcu moja *Królowa* nabrała realnych kształtów. Staralam się w niej przekazać nie tylko pewną prawdę o nas samych (lub raczej tylko moje prywatne wyobrażenie tej prawdy), lecz również choć w przybliżeniu oddać różnice pomiędzy życiem w mieście i na prowincji, dawniej i obecnie, a także przybliżyć dość jeszcze dziką urodę nieskalanej do końca cywilizacją przyrody. No i rozliczyć się z baśnią, a dokładniej z bajkową wizją dobra i zła, czerni i bieli – w zimowej, czarno-białej tonacji.

Akcja powieści została umieszczona w fikcyjnym miasteczku z tego powodu, że miejsce jest w zasadzie bez znaczenia. Jest umowne. Podobnych gmin istnieje wiele. Ważne było dla mnie, by rzecz rozgrywała się na Pomorzu. I tylko tyle. Nie będę jednak ukrywać, że wizerunek książkowej gminy Kryszewo ma wiele wspólnego z okolicami, które wybrałam na „miejsce swojego życia”. I które pokochałam. Czyli z podmiejskimi okolicami Gdańska, gdzie znajdziemy miejscowości nabierające w ostatnich latach charakteru miejskiego, nowoczesne i prężne, jednak o bogatej i skomplikowanej przeszłości. Gdzie dawne tradycje współgrają ze współczesnym pragmatyzmem, a i mieszkańcy stanowią społeczny oraz kulturowy konglomerat. Przy tej okazji zapewniam, że nie działa u nas żadna zadawniona klątwa, postaci z bajek – ani ich złowrogie wcielenia – nie krzywdzą ludzi, a przestępstw oraz

społecznych problemów nie mamy więcej niż gdziekolwiek indziej. Opisana historia żyje wyłącznie na kartach mojej książki i jest literacką fikcją.

Mogę tylko liczyć na to, że opowieść Was wciągnie, bohaterowie poruszą emocje, a opisywane wydarzenia zachęcą do refleksji na temat odwiecznego dylematu dobra i zła. Może dodam jeszcze tylko na koniec, że baśnie Andersena (wszystkie) uwielbiam od dziecka, a tę o Królowej Śniegu uważam za jeden z piękniejszych i mądrzejszych, uniwersalnych tekstów dotyczących natury ludzkiej i nie tylko – to filozoficzne przesłanie dla nas wszystkich, zawsze aktualne.

Anna Klejzerowicz

PODZIĘKOWANIA

Podziękowania tradycyjnie należą się wielu osobom, które wspierały mnie podczas powstawania tej powieści. Na początek może Wydawcy, bez którego nie narodziłaby się w sensie materialnym. Dziękuję więc serdecznie całemu zespołowi wydawnictwa Filia – za zaufanie i za pracę nad książką. Osobne podziękowania kieruję do redaktora mojej książki, Pana Jacka Ringa.

Dziękuję rodzinie, za zrozumienie i kibicowanie, mężowi Krzysztofowi za tradycyjne już czytanie książki w odcinkach – co bywa niewdzięcznym zadaniem – na etapie jej pisania, no i za to, że na bieżąco poprawia moje literówki i inne skuchy.

Agnes A. Rose, autorce bloga „W Krainie Czytania i Historii”, za pozwolenie zacytowania jej świetnego opracowania na temat *Królowej Śniegu* Hansa Christiana Andersena. Dziękuję, Agnieszko! Nie podaję linka, bo na papierze i tak nie moglibyście z niego skorzystać, ale serdecznie polecam i namawiam – wyszukajcie go w Internecie i śledźcie, bo naprawdę warto.

Dziękuję moim sąsiadom oraz mieszkańcom Gdańska i jego okolic za ciekawe historie, które mnie zainspirowały.

Grażynie Strumiłowskiej – za fachową pomoc w warstwie psychologicznej. Dzięki, Grażynko, uświadomiłaś mi wiele ważnych niuansów.

Markowi Okońskiemu, niezmiennie, bo wspiera mnie swoją „policyjną” wiedzą.

Dziewczynom z zespołu redakcyjnego portalu „Książka zamiast kwiatka” – za przyjaźń, wsparcie moralne, za to, że jesteście.

Na koniec – żeby było dobitniej – Przyjaciołom i Czytelnikom. Bo bez Was nie byłoby NIC.

Wam wszystkim jestem najserdeczniej wdzięczna.

ak

Linki:

<http://wkrainieczytania.blogspot.com/>

<http://wkrainieczytania.blogspot.com/2016/10/hans-christian-andersen-basnie.html>

Czasem dobrzy ludzie robią złe rzeczy.



W serii z nadinspektorem Tomem Douglasem
ukazały się dotąd powieści:

Obce dziecko oraz Zabij mnie znów.

FILIA MROZNA STRONA

mrocznastrona.pl

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[PROLOG](#)

[CZEŚĆ I](#)

[CZEŚĆ II](#)

[CZEŚĆ III](#)

[CZEŚĆ IV](#)

[CZEŚĆ V](#)

[EPILOG](#)

[OD AUTORKI](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Reklama](#)

[Karta redakcyjna](#)

CZY DOBRO – TAK JAK W BAŚNI – POKONA ZŁO?

KRÓLOWA SNIEGU

A black and white photograph of a snowy forest. The trees are dark and bare, with snow on the ground and branches. In the middle ground, a person is visible, standing in the snow. In the foreground, there is a large, dark red bloodstain on the snow.

Wyjątkowo długa i mroźna zima, małe miasteczko pod Gdańskiem
i morderca, który zbiera krwawe żniwo.

ANNA KLEJZEROWICZ

FILIA